

**ETYKA, KOŚCIÓŁ, GENY, KULTURA**  
Falk, Fikus, Glapiński, Hołówka, Maksymiuk, Nycz

nr 4 (23), 2017

KWARTALNIK

# Teraz Polska

KREATYWNA POLSKA / NOWOCZESNY BIZNES / ZRÓWNOWAŻONY ROZWÓJ / EDUKACJA



TERAZ POLSKA



ISSN 2299-1395



# Teraz Polska

Promujemy  
polskie  
marki



TERAZ POLSKA





## Kojące poczucie wspólnoty

**N**adeszła zima. Cykl przyrody – odzwierciedlający cykl życia każdego ziemskiego stworzenia – zatoczył koło. Dla wielu przedsiębiorców grudzień to najbardziej intensywny okres roku, w którym finalizują projekty, domykają budżety, podsumowują wyniki. Wiele branż, w tym odgrywające kluczową rolę w krajowej gospodarce (handel, transport czy produkcja żywności), pracuje na najwyższych obrotach do samej Wigilii Bożego Narodzenia, kiedy to... diametralnie zmienia się konwencja naszego życia. Zostajemy wyszani z codzienności i przenosimy się do innej rzeczywistości, gdzie ludzie siedzą przy stołach, w gronie rodziny i przyjaciół, mają dla siebie czas, rozmawiają. Nieraz się pokłócą (oczywiście o politykę), ale gdzieś głęboko odczuwają satysfakcję z faktu, że w tych dniach, podobnie jak w latach ubiegłych, doświadczają kojącego poczucia wspólnoty i jedności. W święta znajdujemy też czas na lekturę. Szczzerze zatem polecam najnowsze wydanie magazynu „Teraz Polska”.

W przeddzień świąt Bożego Narodzenia poprosiliśmy naszego znanego członka Kapituły „Teraz Polska”, kardynała Kazimierza Nycza, by opowiedział nam o miejscu i roli Kościoła katolickiego we współczesnej Europie i Polsce. Obecnie w ramach rozmaitych medialnych dyskusji o Kościele ścierają się dwie postawy: jedni wypowiadają się w takim duchu, jakby on w ogóle nie istniał (lub jakby miał przestać istnieć), drudzy zaś poddają się syndromowi obłożonej twierdzy i nie pozwalają formułować pytań, uwag czy krytyki. Na tym tle staramy się wprowadzić nową jakość, czyli rozmawiać o Kościele – jego misji, aktualnym statusie i problemach – bez kontrowersji i konfrontacji, a rzeczowo i rozumiejąco.

Nasi czytelnicy nie muszą wybierać – niczym dzieci w szkole podstawowej – między religią i etyką. Wywiad z przedstawicielem kościelnej hierarchii zestawiliśmy z rozmową z etykiem prof. Jackiem Hołówką. To swoisty dwugłos, uczący, że powinniśmy czerpać pozytywną inspirację z różnych tradycji myślowych.

Świat zmienia się nieubłaganie, lecz czy człowiek nadąża za tempem owych zmian? Na pewno powinien próbować, dlatego

też publikujemy rozmowę z nestorką polskiej biologii i genetyki oraz zasłużoną popularyzatorką nauki prof. Magdaleną Fikus. Oddajemy również łamy najmłodszemu pokoleniu badaczy – dr Anna Wójcicka opowiada, jak łącząc naukowe ambicje i ducha przedsiębiorczości, udaje jej się oferować Polakom najtańsze badania genetyczne na świecie.

Cieszymy się z dobrych parametrów krajowej gospodarki. W ekonomii trzeba jednak, niczym w mistrzowskiej partii szachów, przewidywać rozmaite warianty. Któż zrobi to lepiej niż były członek Kapituły „Teraz Polska” prof. Adam Glapiński, akademik, ale też szef Narodowego Banku Polskiego? Zapraszamy do przeczytania jego eseju o możliwościach i szansach wzrostu gospodarczego.

W przeszłości nieraz konstatowaliśmy, że urzędnicy zajmujący się promocją gospodarczą nie nadążają za skutecznością i dynamiką największych globalnych przedsiębiorstw. Dziś spostrzegamy, że na wielu polach dystans ten został odrobiony, najlepiej zaś widać to na przykładzie efektów działania Polskiej Agencji Inwestycji i Handlu, o której również piszemy.

Nie byłoby nas bez kultury. Jerzy Maksymiuk i Feliks Falk dowodzą, że za prawdziwym tworzeniem może stać wyłącznie pasja. Niejeden powie, że to nestorzy i próżno szukać podobnych postaci w zmerkantylizowanym młodym pokoleniu. Nic bardziej mylnego!

Magazyn „Teraz Polska” ponownie wyłonił laureatów konkursu na okładkę naszego pisma. Każdego roku, w grudniu, udowadniamy, że w młodym pokoleniu jest duch, ferment i kompetencje. I nie chodzi tylko o plastyków.

Wyłaniamy również autorów najlepszych prac magisterskich dotyczących promocji i rozwoju Polski. A kiedy się widzi zdolnych młodych ludzi, kipiących energią, inteligencją i pracowitością, to dobry nastrój udziela nam się nie tylko podczas świąt.

Składam Państwu serdeczne życzenia pogodnych, rodzinnych świąt Bożego Narodzenia i wszystkiego najlepszego w Nowym Roku.

*Krzysztof Przybył*

*Redaktor naczelny  
Prezes Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego „Teraz Polska”*



MAGAZYN  
FUNDACJI  
POLSKIEGO GODŁA  
PROMOCYJNEGO

[www.terazpolska.pl](http://www.terazpolska.pl)

**Magazyn  
TERAZ POLSKA**

**Redaktor naczelny:**  
Krzysztof Przybył  
**Redaktor prowadzący:**  
Marzena Tataj  
**Redakcja:**  
Kamil Broszko,  
Anna Siedlińska  
**Projekt okładki:**  
Stanisław Gajewski

**Adres redakcji:**  
ul. Górskiego 1,  
00-033 Warszawa  
tel. 22 201 26 90  
e-mail:  
[m.tataj@terazpolska.pl](mailto:m.tataj@terazpolska.pl)  
[www.terazpolska.pl](http://www.terazpolska.pl)

**Wydawca:**  
Fundacja Best Place  
– Europejski Instytut  
Marketingu Miejsc  
na zlecenie  
Fundacji Polskiego  
Godła Promocyjnego  
„Teraz Polska”  
[www.bestplaceinstitute.org](http://www.bestplaceinstitute.org)

**Projekt graficzny  
i skład:**  
Tamburyn, [www.tamburyn.eu](http://www.tamburyn.eu)

**Korekta:**  
Justyna Kwaśniok

**Druk:**  
Miller Druk Sp. z o.o.  
[www.m-druk.pl](http://www.m-druk.pl)

### Temat numeru

- 6 **Marzenie o Kościele chwalonym przez wszystkich nigdy się nie spełni.** Z kardynałem **Kazimierzem Nyczem** rozmawia *Kamil Broszko*.
- 10 **Etyka nie reaguje na alarm.** O roli etyki w szkole podstawowej, w dyskusjach o uchodźcach i w tworzeniu samochodów autonomicznych z prof. **Jackiem Hołówką** rozmawia *Kamil Broszko*.
- 16 **Śmierć jest regułą życia.** O granicach poznania oraz o tym, czy nauka okiełzna raka, z prof. **Magdaleną Fikus** rozmawia *Kamil Broszko*.
- 21 **Era genu.** O roli badań genetycznych we współczesnej medycynie z dr **Anną Wójciką** rozmawia *Kamil Broszko*.

### Gospodarka

- 28 **Nowy model wzrostu dla Polski – głos w dyskusji.** *Adam Glapiński*
- 33 **Polska Agencja Inwestycji i Handlu, czyli filozofia synergii.** O nowej metodzie wspierania zagranicznych inwestorów i krajowych eksporterów z **Tomaszem Pisulą** rozmawia *Marzena Tataj*.
- 36 **Telewizja to nie tylko polityka.** Z **Maciejem Staneckim** rozmawia *Piotr Wolniewicz*.
- 39 **Nowoczesna przestrzeń dostępna dla wszystkich,** czyli jak nowa technologia pomaga niepełnosprawnym.

### Polacy

- 41 **Dyrygentura to osobista wypowiedź.** O dążeniu do doskonałości z **Jerzym Maksymiukiem** rozmawiają *Marzena Tataj* i *Kamil Broszko*.
- 46 **Fanatyzm wyklucza człowieka niepoddającego się schematom.** O zmaganiach jednostki z niesprawiedliwym losem z **Feliksem Falkiem** rozmawiają *Kamil Broszko* i *Marzena Tataj*.
- 51 **Byłem snajperem GROM-u.** O operacjach specjalnych, dylematach i etyce żołnierza z **Karolem Soyką** rozmawia *Kamil Broszko*.

### Idee

- 56 **Ogród sztuk.** O Galerii Opera w Teatrze Wielkim z **Marcinem Fediszem** rozmawia *Kamil Broszko*.
- 60 **Scenografia wystaw historycznych.** *Weronika Griszel*

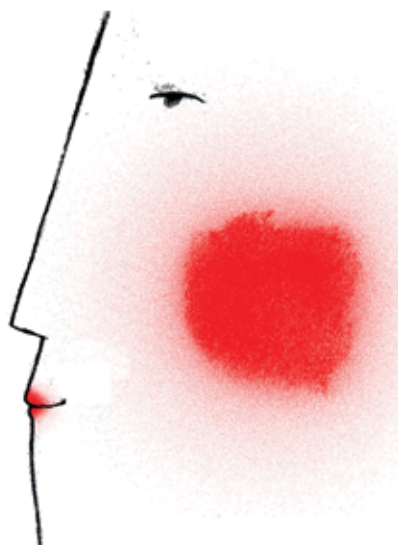
### Regiony

- 62 **Inny wymiar kultury.** *Katarzyna Połeć*

### Felieton

- 67 **Nie od razu Kraków zbudowano.** *Adam Szejnfeld*
- 68 **Kurs na ścianę.** *Marcin Rosołowski*

- 69 Wydarzenia



# XI EDYCJA KONKURSU TERAZ POLSKA PROMOCJA I ROZWÓJ



NA NAJLEPSZĄ PRACĘ MAGISTERSKĄ DOTYCZĄCĄ  
KONKURENCYJNOŚCI, INNOWACYJNOŚCI I PROMOCJI POLSKI

## Nagrody główne

### nagroda I stopnia

**Anastasiya Yevtushenko,**

E-commerce jako innowacyjna forma przedsiębiorczości

### nagroda II stopnia

**Marcin Metrycki,** Etnocentryzm

konsumencki na przykładzie decyzji zakupowych odzieży wśród studentów Uniwersytetu Warszawskiego

### nagroda III stopnia

**Agnieszka Pluszczewicz,** „Kaszëbë”.

Projekt koncepcyjny kaszubskiego centrum kulturalnego w kompleksie budynków dawnej latarni morskiej Rozewie II w Jastrzębiej Górze

## Nagrody specjalne

#### Ministra Rozwoju i Finansów

**Aleksandra Szulc,** Analiza możliwości realizacji morskich projektów wiatrowych w polskiej części Morza Bałtyckiego

#### Ministra Rolnictwa i Rozwoju Wsi

**Dorota Komisarek,** Konkurencyjność polskich produktów rolno-spożywczych pochodzenia roślinnego na jednolitym rynku europejskim

#### Instytutu Adama Mickiewicza

**Gabriela Będkowska,** Udział Instytutu Adama Mickiewicza w kształtowaniu polskiej dyplomacji kulturalnej

#### Ministra Sportu i Turystyki

**Marta Wilga,** Możliwości wykorzystania programu Rail-to-Trail w rozwoju turystyki w Polsce

#### Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

**Katarzyna Kuca,** Zarządzanie pamięcią zbiorową na przykładzie działalności instytucji kultury w Krzeszowicach

#### Prezesa Zarządu Telewizji Polskiej SA

**Joanna Pachtałko,** Rola dyskursu „magii Podlasia” w kreowaniu nowego wizerunku województwa podlaskiego na przykładzie filmu krótkometrażowego „Cząstka Podlasia”

## Wyróżnienia

**Natalia Krakowiak,** Competitiveness and Piracy in Polish Computer Game Industry in 21st century

**Małgorzata Linkiewicz,** Wpływ blogosfery na decyzje zakupowe konsumentów w Polsce

**Anna Kmieciak,** Kobiety w zarządach spółek giełdowych

#### Wyróżnienie Instytutu Adama Mickiewicza

**Adrianna Gajczak,** Dyplomacja kulturalna Polski w Chinach na przykładzie działalności Instytutu Adama Mickiewicza

#### Wyróżnienie „Teraz Polska”

**Rafał Stępień,** Wykorzystanie technologii bezprzewodowych do wspomaganie poruszania się osób niewidomych w środowisku miejskim

#### ORGANIZATORZY



Polska Agencja  
Inwestycji i Handlu  
Grupa PFR

#### PARTNERZY

Deutsche Bank



POLSKA  
ORGANIZACJA  
TURYSTYCZNA



Politechnika  
Warszawska

#### PATRON MEDIALNY

TVP INFO

#### PATRONI HONOROWI



Rada Ministrów  
Kancelaria Premiera



MINISTERSTWO  
KULTURY  
I DZIEDZICTWA  
NARODOWEGO

Ministerstwo  
Kultury  
i Dziedzictwa  
Narodowego



Ministerstwo  
Sportu i Turystyki



Ministerstwo Rolnictwa  
i Rozwoju Wsi



MINISTERSTWO  
KULTURY  
I DZIEDZICTWA  
NARODOWEGO



INSTYTUT  
ADAMA  
MICKIEWICZA



PARP

PRACE MAGISTERSKIE  
WERYFIKOWANE  
plagiat



# Marzenie o Kościele chwalonym przez wszystkich nigdy się nie spełni

O Europie, pluralizmie oraz relacjach między Kościołem i polityką z kardynałem **Kazimierzem Nyczem** rozmawia Kamil Broszko.



**Kazimierz Nycz** (ur. 1950 r.)

– polski duchowny rzymskokatolicki, doktor nauk teologicznych, w latach 1988–2004 biskup pomocniczy krakowski, w latach 2004–2007 biskup diecezjalny koszaliński-kołobrzeski, od 2007 r. arcybiskup metropolita warszawski i ordynariusz wiernych obrządku wschodniego w Polsce, od 2010 r. kardynał prezbiter.

**Kamil Broszko:** Dziś w całej Europie silne są tendencje sekularyzacyjne. Czy Kościół jakoś na nie odpowiada?

**Kazimierz Nycz:** Można dziś zaobserwować trend laicyzacyjny, który dotyka Kościoła w poszczególnych krajach Europy. Z drugiej strony zauważa się, także w Polsce, że ludzie zaczynają dostrzegać niebezpieczeństwa wynikające z laicyzacji, szczególnie związane z kryzysem aksjologicznym, kryzysem wartości. W związku z tym ów proces laicyzacji, który trwa w Europie od kilku dziesięcioleci, zaś szczególnie intensywny jest w ostatnich latach, zaczyna być postrzegany jako niebezpieczny dla jednostek i społeczeństw. Stąd tu i ówdzie słychać wołanie niektórych intelektualistów o powrót do wartości. To jest ciekawe, zważywszy na słowa papieża, św. Jana Pawła II, który jakieś 30 lat temu przestrzegał przed laicyzacją i otwierał ludziom oczy, choć wtedy nie zawsze przyjmowano jego ostrzeżenia. Czasem wręcz mówiono, także w Polsce, że jest prorokiem fałszywym, katastrofistą, a sytuacja nie jest taka zła. Zaś on powtarzał słowa o Europie bez wartości. Przekonywał, że dla Europy kluczowe jest wracanie do ciągle żywych korzeni – chrześcijańskich oraz sięgających cywilizacji greckiej i rzymskiej. Dzisiaj, niemal 13 lat po śmierci Jana Pawła II, widzimy, że był prorokiem. Podobny pogląd miał jego następca, papież Benedykt XVI. Nieco inaczej podchodzi do tego papież Franciszek. On przedstawia swoją diagnozę Europy opisowo i wprost, nazywając ją babcią, która nie rodzi dzieci. Kiedy użył tego określenia w Strasburgu, wielu Europejczyków poczuło się obrażonych. Lecz czy w tym opisie rzeczywistości nie ma racji? Czy nie jest to uzasadniona przestroga?

**KB:** Osoby, które wieszczą konieczność przywrócenia świadomości chrześcijańskich korzeni Europy, wskazują na problem rozbicia tożsamości.

**KN:** Trend odwrótu od laicyzacji po części jest odreagowaniem ostatnich lat, kiedy owa laicyzacja była szczególnie nasiloną. Jednak przede wszystkim wynika z uświadomienia sobie przez wiele osób, że nie ma spraw, od których można uciec. Jeżeli faktycznie dokonuje się odwrót od laicyzacji, uważam to za pozytywną konsekwencję poszukiwania przez Europę swojego mocnego fundamentu. Nie da się usunąć chrześcijańskich korzeni Europy, zapomnieć o nich, zlekceważyć lub ośmieszyć. Nie da się również – co było w Europie przez wiele lat praktykowane – budować alternatywy dla religii (nie tylko chrześcijaństwa), którą miała być laickość czy świeckość. Trzeba umieć odwołać się do wymiaru chrześcijańskiego, z którego Europa wyrasta. Przy całej tolerancji dla innych źródeł tożsamości uczynił to Jan Paweł II. Twierdził, że Europa jest jak wielka rzeka: ma wiele dopływów, ale – czy nam się to podoba, czy nie – jej główny nurt jest chrześcijański. Przestrzegał także, że rzeka nie może żyć tylko siłą dopływów. Jeżeli nie będzie miała źródła, wcześniej czy później wyschnie. A więc w ten sposób pokazywał ową tożsamość chrześcijańską. Takie myślenie wraca w pewnych krajach, co wynika z przeświadczenia

wielu osób, że dotychczasowy projekt europejski się nie udał, ponieważ dotyczył tylko warstwy ekonomicznej, politycznej czy militarnej, zaś te wyznaczniki jedności europejskiej nie wystarczą. Europa powinna być wspólnotą budowaną na tożsamości duchowej, z której wyrastamy.

**KB:** Wiele osób poszukuje w Kościele jednolitości myślenia, spójnych zasad. Czy jednak Kościół nie staje się w ostatnich latach – wbrew opinii krytyków zarzucających mu niereformowalność – nieco bardziej pluralistyczny?

**KN:** Niektórzy głoszą tezę, że nie powinno się wartościować religii i że wszystkie religie są w pewnym sensie równorzędne, wszystkie należy szanować i nie odnosić własnej tożsamości do żadnej z nich. Takie tendencje są określane w teologii mianem irenistycznych. We wspomnianej kwestii bardzo klarowny był głos papieża Benedykta XVI, który – jak sądzę – przejdzie do historii jako wielki myśliciel (nawet jeżeli, jak to w życiu bywa, następca przyćmiewa poprzednika). Ilekroć w gronie kardynałów czy biskupów odbywały się dyskusje, które dotyczyły współistnienia różnych koncepcji myślowych, różnych religii, współpracy między religiami w duchu ekumenizmu, Benedykt XVI zawsze wstawał i powtarzał: najpierw tożsamość. Kiedy określimy swoją tożsamość, możemy zrobić kolejne kroki w kierunku współpracy. Bez jej określenia religia przestanie być fundamentem.

Odpowiadając wprost na pana pytanie: myślę, że faktycznie jest więcej pluralizmu w Kościele. Z jednej strony ludzie potrzebują jasnego, jednoznacznego, czasem nawet bezkompromisowego głosu Kościoła we wszystkich sprawach, zaś z drugiej strony niektórzy oczekują większego pluralizmu. Ostatnio odbywał się w Warszawie Działanie Dialogu – trzy debaty na styku nauki, kultury i życia społecznego oraz czwarta wewnętrzkościelna. W tych debatach wyartykułowały się głosy czterech ważnych i różniących się między sobą polskich teologów. Tymczasem wśród uczestników debaty dało się odczuć oczekiwanie jednoznacznych odpowiedzi ze strony Kościoła, a nie różnorodności opinii. Zatem kwestia pluralizmu w Kościele, również w Polsce, wydaje się aktualna. Oczywiście należy zaznaczyć, że są sprawy zasadnicze, doktrynalne, dotyczące nauki Kościoła, sprawy ważne, określone przez sobory i dogmaty, w których Kościół musi być jednoznaczny – nie ma możliwości interpretacji rozszerzającej czy zawężającej. Natomiast jest też szereg spraw dotyczących zwłaszcza rozmaitych sytuacji życiowych, które mogą dopuszczać interpretacje rozszerzające. Ludzie, którzy oczekują, że w nauczaniu Kościoła będzie jednoznaczność i dokładność, pewnie się nigdy tego nie doczekają. Ale byłoby rzeczą niedobłą, gdyby Kościół szedł w kierunku relatywności.

**KB:** Kościół, odkąd istnieje, bywa oskarżany. Ta tendencja nasiliła się mniej więcej w czasach Woltera. Dziś standardem jest, że jeśli oskarża się instytucję, odpowiada ona,

wykorzystując środki masowego przekazu czy media społecznościowe. Odpowiedź Kościoła na stawiane zarzuty jest najczęściej zdawkowa lub zgoła żadna. To może rodzić u niektórych przekonanie o przyznaniu się do zarzucanych win.

**KN:** Kościół zawsze był i musi pozostać znakiem sprzeciwu. Tak mówił Chrystus. On sam był znakiem sprzeciwu. Rzeczywiście od czasów oświecenia ataki na Kościół na pewno są silniejsze. Gdyby dziś Kościół nie atakowano, byłoby to bardzo niebezpieczne, bowiem oznaczałoby, że ułożył się ze światem i podążył za trendami. A Kościołowi tego nigdy nie wolno uczynić. Nawet gdyby był słuchany przez nielicznych, to zawsze będzie głosił prawdę, którą mu powierzył Chrystus, prawdę, którą niesie Ewangelia i tradycja Kościoła. O to, że tak jest i tak zawsze będzie, możemy być spokojni. Marzenie, że wreszcie Kościół będzie przez wszystkich chwalony, nigdy się nie spełni. Kościół nie może iść ze światem, w tym znaczeniu, że zmieni nauczanie, ponieważ jest niemodne lub niepoprawne politycznie. Kościół będzie sobą, jeżeli będzie wierzył Chrystusowi i jego nauce. Natomiast jeżeli chodzi o obecne możliwości, które pozwalają reagować na wszystkie głosy krytyczne i hejt, nie chciałbym, żeby Kościół się zachowywał jak straż pożarna, która jeździ na syrenie i gasi poszczególne pożary... Oczywiście w przypadkach ewidentnego naruszenia prawdy trzeba sprostować, wyjaśnić, tłumaczyć. Natomiast moim zdaniem Kościół musi się bronić poprzez pozytywne głoszenie Ewangelii, głoszenie prawdy, którą jest Chrystus. I pogodzić się z faktem, że dla wielu ludzi będzie to prawda niepopularna i będzie za nią atakowany. Natomiast ważne jest, aby ludzie Kościoła, czyli wszyscy wierni, swoim niekonsekwentnym życiem, niespójnym z Ewangelią, nie dawali podstaw do tego typu ataków. Oskarżenia, które płyną z założeń negujących religię, zawsze będą. Oczywiście rozsądny dialog ze światem, który jest przeciwny Kościołowi ze względu na podstawowe założenia, jest możliwy. Między innymi Dziedzinec Dialogu, który wymyślił papież Benedykt XVI, powstał po to, żeby Kościół nie zamykał się na rozmowę. Żeby artykułował swoje nauczanie i swoje przekonania także w ramach dialogu, w którym uczestniczą ludzie wierzący, niewierzący, ludzie innych wyznań, innych przekonań, innych światopoglądów. Ważne w tym wszystkim, żebyśmy się umieli słuchać i szanować. Taki był duch tegorocznego Dziedzina Dialogu. I rzeczywiście tego typu dialog jest możliwy.

Gdyby dziś Kościoła  
nie atakowano,  
byłoby to bardzo  
niebezpieczne,  
bowiem oznaczałoby,  
że ułożył się ze  
światem i podążył za  
trendami. A Kościołowi  
tego nigdy nie wolno  
uczynić.

z punktu widzenia tych tradycji myślowych można skomentować głosy, by Kościół w ogóle nie mieszał się do polityki?

**KN:** Aby odpowiedzieć na pytanie, potrzebnych jest wiele różnic. Niedawno w Kościele obchodziliśmy 29. niedzielę, w którą upamiętniamy rozstrzygnięcie tego problemu przez Jezusa. Przychodzi do Jezusa grupa faryzeuszów i chce go „podchwycić w mowie” – przeprowadzić z nim dyskusję i skłonić do wypowiedzenia nieprawomyślnych tez. Faryzeusze wiedzą, że to nie będzie łatwe, więc proszą o pomoc przedstawicieli Heroda. Ten, jak wiadomo, jest reprezentantem cesarza. Planują pokazać cesarską monetę i skłonić Jezusa, by zanegował ideę płacenia podatku, a w następstwie tej wypowiedzi – oskarżyć go. Tymczasem Jezus odpowiada, by to, co cesarskie, oddać cesarzowi, a co boskie – Bogu. W tamtych czasach wypowiedzenie owych słów było jak odkrycie Ameryki. Ten punkt widzenia przeszedł trwającą 2 tys. lat ewolucję. Znalazła ona finał

w zapisie soborowym, którym się posługujemy w rozwiązywaniu kwestii wynikających ze wspomnianej przez pana relacji. Najważniejsze są tutaj pojęcia autonomii i współpracy. Świat, społeczeństwa, rządy, polityka są autonomiczne w stosunku do Kościoła, ale mogą i powinny z nim współpracować. Drugi punkt widzenia na tę sprawę wynika z pytania, czy katolik, porządny, praktykujący, żyjący wiarą na co dzień, który jest jednocześnie na przykład ministrem, też miesza się do polityki. Zaś gdybym miał ocenić postawę duchownych, to widzę raczej samoograniczenie się w aspekcie wypowiedzi politycznych. Przecież duchowni jako obywatele poszczególnych krajów mają prawo mieć swoje poglądy i je wyrażać. Stosują jed-

nak autocenzurę, aby ludzie nie podejrzewali ich, że łamią zasady autonomii albo że są dla zwolenników jednej partii, a nie dla wszystkich. Tymczasem pasterze Kościoła – od papieża po każdego, kto pełni funkcję kapłańską – nie muszą być dla wszystkich. Natomiast świeccy nie tylko mają prawo, ale wręcz obowiązek uczestniczyć w życiu społecznym i politycznym. Nie wolno dopuścić do sytuacji, w której wiara będzie zamykana w przedsionku kościoła. Bo kiedy człowiek z tego kościoła wychodzi po niedzielnej mszy i odrzuca swą chrześcijańską tożsamość, staje się poganinem, staje się areligijny. To tworzy swoistą schizofrenię, nie wolno do niej dopuścić. Mądre zaangażowanie w politykę jest nazwane w encyklice podstawowej dla zadań świeckich roztropną troską o dobro wspólne. Pewnie nie ma piękniejszej definicji polityki niż ta, którą tam zawarto. Oby tylko w ten sposób chciano ją uprawiać.

**KB:** Od kiedy istnieje Kościół, ścierają się koncepcje opisujące i definiujące jego miejsce i rolę w tzw. życiu ziemskim. Jak

**KB:** W dzisiejszych czasach kształtowanie świadomości społecznej poprzez odwoływanie się do ideałów wydaje się



być w odwrocie. Rezygnują z tego modelu szkoły, organizacje młodzieżowe, uniwersytety, mass media, twórcy. Czy rezygnuje również Kościół?

**KN:** Kościół swoją funkcję profetyczną pełni; jest to jedna z podstawowych funkcji Kościoła nauczającego. Jeżeli coś się zmieniło, to fakt, że nie potrafimy jednakowo donośnym głosem tej funkcji profetycznej realizować w stosunku do poszczególnych zagadnień życia społecznego, które nie są obojętne dla Kościoła. Mam na myśli takie kwestie, jak choćby obrona życia, bioetyka, godność człowieka czy demografia. Może są faktycznie momenty, kiedy się wycofujemy i mówimy ciszej. Natomiast, jak powiedziałem, funkcja profetyczna jest realizowana przez nauczanie homiletyczne i katechetyczne, obecne w nauczaniu religii i nauczaniu katechizm. Oczywiście czasem oczekuje się, żeby Kościół donioślej coś powiedział czy surowiej ocenił. Jednak chyba nie jest to do końca jego rolą. Z drugiej strony zdarza się sytuacja przeciwna. Jeżeli przeczyta się dzisiaj przemówienie papieża Jana Pawła II wygłoszone w parlamencie u zarania naszej wolnej państwowości, to można odnieść wrażenie, że papież w pewnym sensie przekroczył rolę profety czy proroka i zdecydował się na udzielenie konkretnych rekomendacji związanych z kierunkiem budowania demokracji w Polsce. Wtedy powszechnie go za to chwalono, oczekiwano takiej zdecydowanej wypowiedzi. Gdyby dziś miało miejsce podobne wystąpienie, prawdopodobnie reakcja byłaby zupełnie inna. Zatem przekraczanie przez Kościół wymiaru profetycznego i dzielenie się konkretnymi propozycjami i rozwiązaniami trafia na różny grunt. Kiedy w okresie komunizmu z ambony broniono praw czy godności człowieka – jak to czynił prymas Wyszyński oraz ówczesni biskupi i księża – Kościół był chwalony. Kiedy dzisiaj wypowiada się bardziej zdecydowanie, posądzany jest o to, że się miesza do polityki. Myślę, że trzeba zachować proporcje wynikające ze zdrowego rozsądku. Uważam, że na pewno osoby i instytucje świeckie powinny wymagać od siebie więcej w kwestii upowszechniania ideałów i dobrych wzorców. Kościół też będzie o pewnych sprawach przypominał. Chodzi tylko o to, żeby nie naruszać zasad wynikających z faktu, że Kościół jest dla wszystkich i do wszystkich idzie z Ewangelią, prowadząc do zbawienia. Społecznego wymiaru wiary w życiu każdego człowieka i każdej społeczności nie da się schować czy zamknąć, nawet jeśli tak chciałby świat.

**KB:** Sporo się dzisiaj mówi, również w publicystyce, o podziale polityczno-światopoglądowym między Polakami.

Myślę, że jeżeli Kościół  
będzie dla wszystkich,  
to spełni swoją rolę,  
która jest misją  
także wobec  
społeczeństwa,  
bo przecież naszym  
najważniejszym  
przykazaniem jest  
przykazanie miłości.

Część komentujących zwraca uwagę, że Kościół jest tylko po jednej stronie owego podziału. Inni zaś przekonują, że obie strony mają szansę się spotkać jedynie w Kościele.

**KN:** Kościół może, a nawet powinien być miejscem spotkania ludzi o różnych poglądach i przekonaniach. Dlatego że moim zdaniem Kościół nie ma i nie chce mieć gotowej recepty na to, która partia jest dobra i do której wolno należeć. Ta kwestia musi być pozostawiona osądowi sumienia człowieka. Kościół może podać pewne kryteria. W dzisiejszej Europie definitywnie kończy się czas tzw. partii chrześcijańskich, chadeckich, które spełniały niewątpliwie ważną rolę w przeszłości. U nas na początku lat 90. również toczyła się dyskusja, czy tworzyć partię chrześcijan. Różne padały odpowiedzi – jedni byli za, drudzy byli przeciw. Dzisiaj widać, że obecność katolików czy chrześcijan w różnych partiach jest rozwiązaniem optymalnym. Pozostaje pytanie, czy Kościół mógłby jeszcze więcej robić, oprócz tego, że gromadzi przy ołtarzu ludzi o różnych preferencjach politycznych. Czy mógłby jakoś zredukować podział w społeczeństwie, który niewątpliwie nastąpił. Na marginesie trzeba dodać, że podziały polityczne w społeczeństwie to typowa cecha demokracji. Natomiast sposób wyrażania przekonań jest tak emocjonalny i tak nieszanujący drugiej strony, że dochodzi przy byle okazji – przy obiadach, kolacjach, wśród księży i wśród świeckich – do niepotrzebnych napięć i silnej polaryzacji. Wielu ludzi mówi: wykluczamy pewne tematy z rozmowy, bo nie po to się gromadzimy w gronie rodzinnym, żeby się spierać i w efekcie na siebie gniewać. Myślę, że jeżeli Kościół będzie dla wszystkich, to spełni swoją rolę, która jest misją także wobec społeczeństwa, bo przecież naszym najważniejszym przykazaniem jest przykazanie miłości.

**KB:** Niniejszy numer magazynu ukaże się w przededniu świąt Bożego Narodzenia, chciałbym zatem poprosić o złożenie życzeń naszym czytelnikom.

**KN:** Życzę czytelnikom magazynu „Teraz Polska”, żeby była między Polakami jedność. Nie taka, która jest jednorodnością. Nie taka, która się zaczyna dopiero wtedy, gdy nas wróg zaatakuję. Życzę jedności, która pozwoli nam pracować dla wspólnego dobra, każdemu według jego uzdolnień i talentów. A gdy się różnimy – a są sprawy, w których pewnie zawsze będziemy się różnić – to abyśmy się różnili, jeśli nie pięknie, to przynajmniej przyzwoicie. Święta Bożego Narodzenia są wspólnym polskim narzędziem do budowania mądrej jedności, która nie wyklucza różnorodności. Niech Pan Bóg to wspiera i błogosławi.

# Etyka nie reaguje na alarm

O roli etyki w szkole podstawowej, w dyskusjach o uchodźcach i w tworzeniu samochodów autonomicznych z prof. **Jackiem Hołowką** rozmawia Kamil Broszko.

**Kamil Broszko:** Czy etyka to dyscyplina teoretyczna czy nauka w działaniu? I czy może nam, zwykłym ludziom, w czymś pomóc?

**Jacek Hołowka:** Etyka to jest pewien dział filozofii. Jeśli chodzi o typ myślenia, etyka ma dokładnie taką samą charakterystykę jak filozofia, czyli jest logiczna, dociekliwa, czasami wykorzystuje intuicję, bardzo często i bardzo chętnie wykorzystuje wiedzę potoczną. Etyka ma bardzo istotne konsekwencje praktyczne, bo jest normatywna, to znaczy nie dąży do ustalenia faktów albo twierdzeń, tylko do sformułowania w miarę spójnego systemu zaleceń, jak mamy traktować siebie i innych.

**KB:** Ciągłe borykamy się z różnymi dylematami, życie przynosi nowe sytuacje, które rodzą nowe pytania. Gdzie w krytycznej sytuacji szukać etyki?

**JH:** Etyka to nie jest straż pożarna, która reaguje na alarm. To jest dział filozofii. Wobec tego etyka jest obecna przede wszystkim w bibliotekach, w książkach, ale także w rozmaitych sformułowaniach. Jednym z systemów etyki jest etyka umowy społecznej. Polega ona na tym, że ludzie dobrowolnie godzą się, żeby relacje między nimi były jakoś uregulowane, a nie wyglądały tak, jak w społeczeństwie otwartym. Zawierana jest pewnego rodzaju umowa. Na przykład między bokserami obowiązują inne niż powszechne normy traktowania, bo kiedy się bije pięściami, ale nie kopie, to jest to uważane za właściwe traktowanie drugiej osoby. Tak więc etyka nie jest po to, żebyśmy wszyscy lepiej żyli. Ona służy zrozumieniu, co należy zrobić, żebyśmy lepiej żyli. Czasami ludzie chcą nawiązać z innymi takie relacje, w ramach których dąży się do jakiejś zgody i wspólnych celów. Zaś inni robią to, co chcą, na własną rękę.

**KB:** W szkole podstawowej trzeba dokonać wyboru między religią i etyką. Czy te dwa porządki się wykluczają?

**JH:** To jest kompletny absurd. Nie pyta się rodziców, czy chcą, żeby dziecko uczyło się etyki, tylko zaczyna się od pytania o uczestnictwo w religii. Rozsądne szkoły mówią, że decyzja zależy co najmniej w takim samym stopniu od rodziców co od dzie-

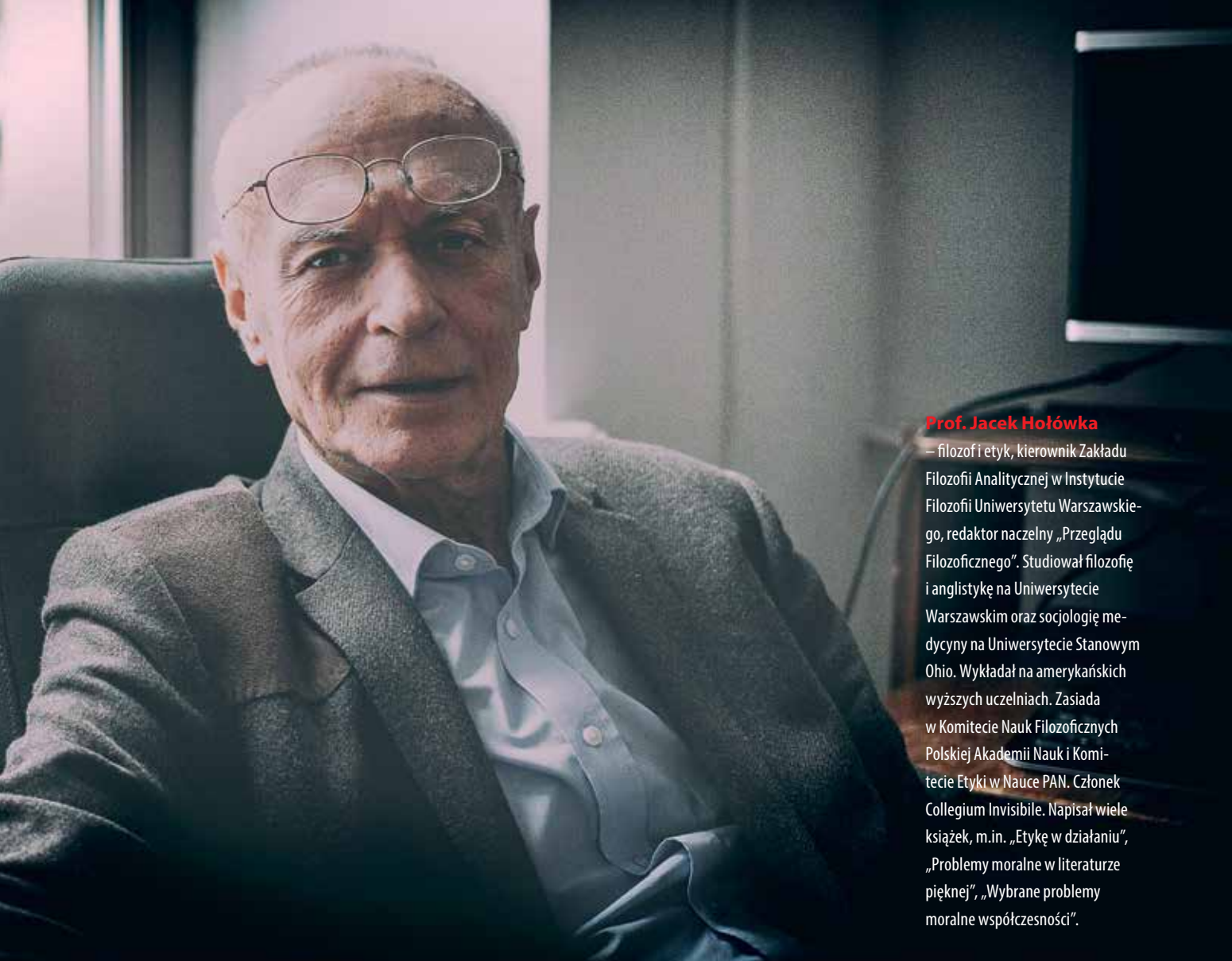
cka. Najlepsze ze szkół przede wszystkim próbują poznać zdanie ucznia. Etyka jest traktowana jako zajęcia uboczne, zastępcze. Jeśli rezygnuje się z wykształcenia religijnego – a faktycznie z katechizacji, ponieważ religia w szkole to nie są pogłębione rozważania teologiczne czy filozoficzne na temat religii – dziecko musi chodzić na etykę. A ponieważ jedne i drugie zajęcia są organizowane o tej samej porze, nikt nie może wysłać swojego dziecka zarówno na religię, jak i na etykę, co jest kompletnym absurdem, a nawet moim zdaniem jest to w znacznym stopniu demoralizujące.

**KB:** Bo codzienność uczy nas, że religia wyklucza etykę.

**JH:** Nawet jeśli tego nikt nie mówi, to domysł jest taki, że dzieci, które są religijne, są z definicji moralne, postępują, jak należy. A dzieci, które chodzą na etykę, nie mają inspiracji, jak miałyby się zachować, żeby to było społecznie akceptowalne, ponieważ odrzucają Boga. Wielu ludzi zakłada, że jedyna wiarygodna wersja etyki to etyka religijna, mało kto myśli o tym, że istnieje bardzo silna i długa tradycja rozważań etycznych w filozofii. Wiarygodnych, wielkich systemów, które zyskały miliony zwolenników i znakomite poparcie ze strony dobrych teoretyków, jest co najmniej kilka. Mianowicie jest

© KAMIL BROSZKO/BROSZKO.COM





**Prof. Jacek Hołówka**

– filozof i etyk, kierownik Zakładu Filozofii Analitycznej w Instytucie Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego, redaktor naczelny „Przeglądu Filozoficznego”. Studiował filozofię i anglistykę na Uniwersytecie Warszawskim oraz socjologię medycyny na Uniwersytecie Stanowym Ohio. Wykładał na amerykańskich wyższych uczelniach. Zasiada w Komitecie Nauk Filozoficznych Polskiej Akademii Nauk i Komitecie Etyki w Nauce PAN. Członek Collegium Invisibile. Napisał wiele książek, m.in. „Etykę w działaniu”, „Problemy moralne w literaturze pięknej”, „Wybrane problemy moralne współczesności”.

etyka formalistyczna, czyli etyka Kanta, etyka utilitarystyczna, czyli Bentham i Milla, etyka cnoty, skonstruowana jeszcze w starożytności przez Platona i Arystotelesa, etyka umowy społecznej, tworzona przez Locke’a i Hume’a, a rozwijana przez późniejszych autorów.

**KB:** Powinniśmy te wszystkie systemy znać, aby tworzyć lepsze społeczeństwo?

**JH:** Problem polega na tym, że trzeba skrupulatnie odróżniać moralność od etyki. Na co dzień interesują nas postawy moralne. Nie ma wątpliwości, że przed jakąś charakterystyką albo identyfikacją moralną ucieczki nie ma, tzn. każdy człowiek ma jakiś system, jakiś styl, jakiś sposób reagowania na zaczepki, na prośby, na trudności. Jedni udają, że ich nie widzą, inni się szybko angażują, jedni okazują postawę altruistyczną, inni egoistyczną. Reakcja w dużej mierze zależy od moralności. Przenika ona nasze życie społeczne bardzo silnie i w każdej sytuacji. Natomiast postawy moralne są dość niekonsekwentne. Po pierwsze, każdy z nas może zmienić swój sposób reagowania. Po drugie, wyraźnie się różnimy między sobą – jedni są bardziej rygorystyczni, inni są bardziej pobłażliwi. Jedni wymagają więcej od siebie, inni – od młodych, jeszcze

inni – od kobiet. Wobec tego, żeby znaleźć jakieś uzasadnienie dla moralności, trzeba się odwołać do etyki, która – podobnie jak każda inna dyscyplina – dopuszcza pewien poziom finezji i pewien poziom krytycznego myślenia. Tak samo jest z gotowaniem: każdy z nas potrafi gotować, ale mało kto robi to porządnie, w sposób ciekawy i smaczny. Jeżeli chcemy zorganizować dobre przyjęcie, to osoby, które się na tym znają, aranżują je bez wsparcia, a osoby, które się nie znają, wiedzą, gdzie szukać pomocy. Szukają w Internecie, sięgają po książkę kucharską, orientują się, co można kupić w sklepie, i potem przygotowują danie w oparciu o odpowiednie przepisy. Można powiedzieć, że książka kucharska jest jak etyka, a to, co codziennie jemy, to jest moralność.

**KB:** Ile moralności dziedziczymy? Czy jest dyscyplina, która pomaga odpowiedzieć na takie pytanie?

**JH:** To należy do socjologii – istnieje socjologia moralności. W tej dziedzinie największym autorytetem w Polsce była prof. Maria Ossowska, jej kontynuatorzy to prof. Krzysztof Kiciński i prof. Jacek Kurczewski. Istnieje bardzo silna presja społeczna, żeby zachowywać się w sposób społecznie akceptowalny, a owa społecz-



na akceptowalność dotyczy w dużym stopniu właśnie moralności. Nie jest ona przekazywana w genach, choć rozmaite czynniki, które mogą mieć wpływ na moralność, prawdopodobnie mogą być dziedziczne, jak choćby poziom agresji, nieśmiałość, skłonność do niepewności czy wątpliwości i różne parametry związane z temperamentem. Natomiast sposób wzajemnego traktowania jest stale formowany poprzez praktykę relacji między ludźmi. Jeśli ktoś jest zbyt hałaśliwy, zbyt pewny siebie, zbyt krzykliwy, nie zwraca uwagi na innych ludzi, to w wielu środowiskach będzie „przycinany”. Usłyszy: „nie narzucaj się, daj innym osobom też coś powiedzieć”. Stale toczy się taki pośredni proces wyuczania moralności, z którego nie zdajemy sobie sprawy. Można ludzi nauczyć oglady, można nauczyć delikatności, okazywania uczuć i łagodnego obycia. To jest część moralności.

**KB:** A gdyby zechcieć zwiększyć dawkę wspomnianych cech w społeczeństwie, kto mógłby podjąć się owego nauczania? Może właśnie etycy?

**JH:** Na pewno nie, etyka to nie policja. Policja skłania ludzi do zachowań zgodnych z prawem.

**KB:** Ale tylko tych, którzy zboczyli z właściwej ścieżki. Ja zaś myślę o powszechnych zmianach świadomości.

**JH:** W niektórych krajach działa Armia Zbawienia, która świadczy za religią, za moralnością, ma bębny, trąbki, zbiera pieniądze, zakłada noclegownie, daje jedzenie... To dobra, pożyteczna działalność, natomiast nie zmienia społeczeństwa. Pomaga jedynie ludziom, którzy spadli na dno. A jaki byłby cel zmiany postaw moralnych całego społeczeństwa? Jestem bardzo sceptycznie nastawiony do takiej propozycji, przede wszystkim dlatego, że ma bardzo złą tradycję. W okresie komunistycznym przez wiele lat próbowano wdrożyć etykę komunistyczną, opierającą się na poświęceniu, ufności do partii komunistycznej, zapobiegliwości w wymiarze lokalnym, podporządkowaniu się pewnym wzorcom i pewnym planom przemysłowym, wychowawczym, usługowym, społecznym. To było sterowanie bardzo natrętne, a jednocześnie upiększane zapewnieniem, że wszystko się dzieje w dobrych intencjach. Nie bardzo wierzę, że można człowieka, który jest światły, w miarę wykształcony i w miarę wrażliwy, traktować nie podmiotowo, a instrumentalnie. Że można nim sterować i mówić, jak powinien się zmienić, aby wszystkim żyło się lepiej. Zawsze pojawia się ten sam paradoks: jeżeli ktoś w sposób nieskrępowany i nieodróżniony apeluje lub nagabuje przypadkowe osoby do tego, żeby były bardziej moralne, efekt jest taki, że ludzie sami w sobie przywoici przemieniają się w cierpiętników, a osoby, które mają twardy charakter i twarde serce, kpią sobie z tego rodzaju zaleceń i szukają wokół siebie potencjalnych ofiar. Poprzestańmy na takim poziomie moralności, jaki mamy. A jeśli nam się to nie podoba, apelujmy do filozofii albo sumienia i wrażliwości poszczególnych osób – ale nie o to, aby zmieniały cały swój sposób myśle-

nia. Moralizatorstwo jest bardzo przykrym sposobem zwracania się do ludzi. Każdy z nas ma wady, popełnia jakieś błędy. Ja na przykład przetrzymuję książki z biblioteki. Trochę się tego wstydzę, jestem z siebie niezadowolony, ale nie chciałbym, żeby ktoś mi mówił: „Panie Hołówka, pan się musi zmienić. To niedopuszczalne. Jeśli chce pan przetrzymywać książki, niech pan je sobie kupi”. Po pierwsze, pewnych książek nie da się kupić, po drugie, książki są mi naprawdę potrzebne, czasem przez długi czas, po trzecie, czasem niechcący o czymś zapomnę. Takie błędy i słabości powinny być wybaczone bez pouczania, bez korygowania i tłumaczenia komuś, że powinien być bardziej rygorystyczny wobec siebie i bardziej wymagający. Powiedziałbym nawet, że takie nieogłędne nauczanie moralności to jest rodzaj impertynencji. Uważam, że nie powinno się tak robić.

**KB:** Należy odrzucić może naiwne, ale idealistyczne marzenia o zasadniczych pozytywnych przemianach świadomości społecznej?

**JH:** Nie liczę na duże zmiany, bo jestem trochę mizantropem. O ludziach mam średnie wyobrażenie: ani nie są źli, ani nie są specjalnie dobrzy. Najczęściej są przeciętni. Ale ta przeciętna w naszym kraju i w naszej epoce nie jest najgorsza. Nie mamy wokół siebie wojny, agresywnych gangsterów, nie mamy okupantów, którzy by nas dręczyli, i wreszcie nie mamy opresyjnego systemu politycznego, jak jeszcze 30 lat temu. Apelowanie do ludzi niczemu dziś nie służy. Proszę zwrócić uwagę, że ludzie sami dość skutecznie się korygują, tylko potrzeba na to trochę czasu. Dziesięć lat temu przechodzenie przez jezdnię w Warszawie było dość niebezpieczne, ponieważ wielu kierowców prowadziło samochody w sposób szalony. Obecnie niejednokrotnie widzę, że pieszy zbliża się do pasów, a kierowcy się zatrzymują. Nie było w tej sprawie żadnej akcji, nikt nie nakazywał, nikt nie straszył mandatami, nie publikowano zdjęć zabitych dzieci ani portretów szczególnie agresywnych kierowców. Ludzie sami się nauczyli, jeden od drugiego. Człowiek chce być łagodny i chce być miły dla innych, jeśli widzi, że w podobny sposób będzie traktowany. Nadal zdarzają się osoby szorstkie, lekceważące innych czy choćby powodujące zbyt duże ryzyko, ale ich liczba maleje, ponieważ warunki życia są coraz bardziej spokojne, coraz bardziej pokojowe i w gruncie rzeczy nikomu się nie dzieje straszna krzywda.

**KB:** A jeśli społeczeństwo samo odczuwa potrzebę pewnych zmian – wyrażoną choćby poprzez powtarzalne hasła, np. „więcej etyki w polityce!”, „więcej etyki w szpitalach!”, „więcej etyki w sądach!” – to kto powinien na nią odpowiedzieć? Filozofowie?

**JH:** I filozofowie i niefilozofowie, wszak źródła są otwarte i dostępne. Do czego służy filozofia w odniesieniu do problemów normatywnych? Do rozwiania wątpliwości. Służy komuś, kto nie wie, jak postąpić w danej sytuacji. Jaki jest na przykład poziom



dopuszczalnego karania dzieci za upartą agresję w szkole? Nie można tego puszczać płazem, nie można też stosować surowych kar cielesnych – trzeba umieć to wyważyć. Można zastosować jakąś sekwencję reakcji. Najpierw zwracać uwagę, potem prosić, następnie przestrzegać, wreszcie jakoś tłumić zachowania, które są niedopuszczalne. Mniej więcej wiemy, co należy robić. Ale czasem dopadają nas różne wątpliwości. Czy przykładowo w rodzinie powinniśmy więcej uwagi kierować w stronę dzieci czy osób starszych? Trudno o jednoznaczną odpowiedź. Są rodziny, w których należy szczególnie pomóc dzieciom. Są też takie, w których należy troskliwie opiekować się babcią, dziadkiem czy jeszcze innymi starszymi osobami. Co może zatem podpowiedzieć filozofia? Jakimi zasadami powinniśmy się kierować, abyśmy nie mieli wątpliwości. To jest jej cel. Nie wychowywanie, nie sterowanie i zaprogramowywanie ludzkiego postępowania, tylko skłonienie do refleksji i do tego, żeby przebadać swoje intuicje, intencje i skutki swoich działań. Do tego służy filozofia, abyśmy byli bardziej oświeceni i bardziej refleksyjni, a więc abyśmy lepiej sobie radzili w sytuacjach, które budzą wątpliwości. Natomiast nie jesteśmy w stanie zablokować złych instynktów, zmęczenia, złośliwości albo chęci odegrania się na kimś słabszym. Kiedy takie zachowania widzimy blisko siebie, powinniśmy je potępiać. A raczej zniechęcać do nich, bo samo ostre potępienie nic nie daje. Stereotypowe, szerokie potępienie jakiegoś szczególnego zakresu ludzkiej działalności nie ma sensu. Mówienie, że policja jest skorumpowana, nie

**Drobne błędy i słabości powinny być wybaczone bez pouczania i tłumaczenia komuś, że powinien być bardziej rygorystyczny wobec siebie.**

ma sensu. O kim mówimy coś takiego? O przeciętnym policjancie, którego spotkamy na ulicy i który kieruje ruchem?

Wobec tego wspomniane przez pana postulaty są przede wszystkim skupieniem się na złym przedmiocie oskarżenia. Poza tym są gołosłowne, ponieważ nie wolno dopuszczać do uogólnień. Oczywiście możemy mieć swoje zupełnie prywatne poglądy. A jeżeli ktoś będzie miał pieniądze i zechce zbadać od strony socjologicznej wspomniane zagadnienia, wyniki z pewnością będą ciekawe. Kto jest bardziej podatny na korupcję: mieszkańcy wsi, małych miasteczek czy dużych miast? W jakiej branży można osiągnąć wyraźne korzyści poprzez przekupstwo albo skonstruowanie relacji pseudogangsterskich: w przedsiębiorstwach usługowych czy w firmach doradczych? Można dywagować, ale dopóki nie mamy uchwytanych danych, nie będziemy potrafili nic ważnego na ten temat powiedzieć. Poza tym takie badania są raczej mało przydatne, dlatego że postawy moralne z czasem się zmieniają, to znaczy są takie okresy, gdy na przykład lekarze są silnie zmotywani i bardziej skłonni do poświęcenia i rzetelnego wykonywania

swoich obowiązków, i są takie, kiedy z powodu nadmiaru zajęć nie są w stanie wykonywać swojej pracy, jak należy. Każdy ma swoje obserwacje. Znam ludzi, którzy zmuszeni do podjęcia leczenia wyjeżdżają jak najdalej od Warszawy, bo uważają, że na prowincji lekarz ma dla nich więcej czasu. Są też tacy, którzy twierdzą, że w Warszawie są najlepsi specjaliści i tutaj, płacąc umiarkowaną cenę, uzyskają najlepszą poradę. Wątpię, czy oba te przekonania są dobrze uzasadnione, lecz ludzie mają do nich prawo, bowiem starają się postępować tak, aby czuć się lepiej i pewniej.

**KB: W dzisiejszych czasach każdy dzień przynosi nowe odkrycia naukowe. Czy etyka jest na bieżąco w kwestii śledzenia nowoczesności oraz opracowywania koncepcji rozwiązywania zupełnie nowych dylematów?**

**JH:** Nie, bo etyka nie ma autorytetu. Etyka to system porad, a nie nakazów. Nie ma kogoś, kto mógłby powiedzieć: jestem etykiem i powiem wam, jak macie postępować. Inna sprawa, że całe sfery nowej ludzkiej działalności wymagałyby aktualnych rozstrzygnięć. Weźmy choćby arogancję w Internecie. Komentarze są najczęściej wulgarne, agresywne, nieuzasadnione, bardzo niesprawiedliwe, pisane najwyraźniej przez osoby, które korci, żeby kogoś upokorzyć, komuś dokuczyć, kogoś ośmieszyć. Narażeni są wszyscy. Również moi koledzy profesorowie. Ja sam niejednokrotnie czytałem komentarze na swój temat. To było takie kopanie na ślepo. Choć prawdę powiedziałwszy, jeśli ludzie mają się szarpać na ulicy, to już wolę,

kiedy na siebie plują i Bogu ducha winnych obmawiają w Internecie. To przez chwilę jest przykre, ale potem człowiek myśli, że nie warto się złościć na kogoś, kto zanim położy się spać, musi się na kimś wyżyć. To po prostu żałosna postać.

**KB: Usilne poszukiwanie w etyce odpowiedzi wynika trochę z potrzeby naszych czasów. Obecnie analizuje się dylematy związane z funkcjonowaniem samochodu autonomicznego. Dotychczas w krytycznej chwili, na milisekundy przed wypadkiem, decydował instynkt kierowcy. Teraz na określone scenariusze trzeba będzie zaprogramować maszynę. Może pojazdy wyprodukowane w Stanach Zjednoczonych zostaną zaprogramowane zgodnie z zasadami utilitaryzmu, w Wielkiej Brytanii – zgodnie z etyką Hume'a, w Niemczech – zgodnie z etyką Kanta?**

**JH:** Straszny scenariusz pan przedstawia! Moim zdaniem nic takiego się nie zdarzy. W Polsce odbyła się bardzo ciekawa dyskusja na podobny temat, prowadzona w latach 60. pomiędzy Kołakowskim a Lemem. Stanisław Lem wyraźnie opowiadał się za tym, żeby wprowadzić bardziej rygorystyczny sposób egzekwowania prawa. Nie poprzez stosowanie przymusu, lecz jednolitej interpretacji. On uważał, że sądy są zbyt grymaśne, zbyt nieprzewidywalne i zbyt zróżnicowane. Zresztą to, na co narzekał, nie zmieniło się.

Nie obowiązuje u nas zasada precedensu. Oczywiście w wariantcie sztywnym jest ona nieuzasadniona – nie możemy pewnych przewin traktować dziś tak, jak 200 lat temu. Trzeba się trzymać możliwie najdalej od skrajności. Lem twierdził, że wyroki sądowe powinny być zautomatyzowane i powinny zapadać bez widzenia oskarżonych i świadków, bez badania okoliczności, które wydają się dla sprawy nieistotne. Przecież Temida ma zawiązane oczy... Trzeba przedstawić istotne fakty i pozwolić, żeby w oparciu o zebrane wcześniej dokumenty i analogie sąd podjął decyzję. Tak uważał Stanisław Lem, bardzo mądry człowiek. Zaś Kołakowski twierdził, że te rozwiązania są niedopuszczalne. Nie chcemy się zgodzić na to, żeby nasza przyszłość i nasze kary były ustalane przez jakiegokolwiek maszyny. Oczekujemy i domagamy się, aby sędzia miał jakiś rodzaj wrażliwości, jakiś rodzaj współczucia. Żeby nie przychodziło mu łatwo wydanie szczególnie wysokiego wyroku i żeby umiał wziąć pod uwagę pewne czynniki, które nie dadzą się skodyfikować. W każdym istotnym przypadku pojawiają się nowe okoliczności, które powinny być rozpatrzone. Nie muszą być decydujące, ale muszą umożliwiać osobie mającej ludzkie doświadczenie i ludzką wrażliwość wzięcie pod uwagę wspomnianych czynników. Kołakowski domagał się, żeby zachować ludzkich sędziów w sądach. Tak dyskutowało dwóch bardzo mądrych ludzi.

**KB: Czy może powstać moralność w maszynie?**

**JH:** Nie, w żadnym razie. Maszyna nie może być oceniana pod względem moralności, ponieważ nie ma świadomości, nie podejmuje decyzji, nie planuje i nie rozważa swojego przyszłego postępowania. Wracając do samochodu autonomicznego. Po pierwsze, te samochody powinny być dopuszczone tylko w takich miejscach, jak autostrady, które są z każdej strony obudowane płotem. Podobnie jak w przypadku pociągów TGV, które jadą z prędkością 300 km/h, ale mają wydzielone tory, więc nikt się nie niepokoi, że dojdzie do jakiejś tragedii. Natomiast dopuszczenie samochodów autonomicznych do otwartego ruchu w miastach wydaje się absolutnie niepraktyczne i trudne do wyobrażenia. Dlatego że taki samochód istotnie nie będzie miał pewnych kompetencji, nie będzie myślał jak człowiek. My, prowadząc samochód, bierzemy pod uwagę wiele rozmaitych czynników. Wiemy, że jeśli po obu stronach drogi rośnie żywopłot, to wzrasta prawdopodobieństwo, że na ulicę wybiegnie dziecko. Wiemy, czego się spodziewać w różnych sytuacjach. Gdy przejeżdżamy nad Wisłotradą obok budki z piwem, bierzemy pod uwagę, że mogą się tam znaleźć nietrzeźwi. Autonomiczny ruch musiałby być zorganizowany w taki sposób, że jakiś gigantyczny komputer będzie sprzężony z funkcjonowaniem całego miasta. Samochód jadący po mieście musiałby cały czas interaktywnie komunikować się z tym komputerem, który przekazywałby instrukcje, gdzie należy zwolnić z powodu bliskości szkoły czy miejsca szczególnie zagrożonego wypadkiem. Jeśli komputer weźmie pod uwagę taki ogrom czynników, to samochód autonomiczny będzie jeździł po

mieście z prędkością 15 km/h. Jeśli nie weźmie ich pod uwagę, ryzyko błędu będzie znacznie większe niż w przypadku ludzkiego kierowcy. Mam zatem nadzieję, że nikt nie zechce za wszelką cenę wprowadzać samochodów autonomicznych, chyba że w jakichś specjalnych warunkach, np. testowania na poligonie.

**KB: Od dłuższego czasu w mediach ścierają się poglądy dotyczące przyjmowania w Europie uchodźców. Argumenty są raczej wtórne. Może dlatego, że nie zaprasza się etyków?**

**JH:** Ma pan rację odnośnie jakości samych argumentów. Natomiast etyk nie ma w tej sprawie nic do powiedzenia. Nie będziemy zapraszać matematyka z wyższym wykształceniem, aby wytłumaczył dzieciom tabliczkę mnożenia. Żeby się nauczyć mnożenia do stu, wystarczą rodzice i starsi koledzy. Podobnie jest w odniesieniu do dość bolesnych i trudnych problemów społecznych. Cóż w tej sprawie może powiedzieć filozof? Może poradzić: zastanówmy się, jak chcielibyśmy ten problem rozwiązać, żeby zminimalizować cierpienie osób, które się znalazły w bardzo trudnej sytuacji, a zarazem nie stworzyć fałszywych obietnic i nie narzucać innym, postronnym osobom rozwiązań, których nie będą w stanie zaakceptować. Niestety, przede wszystkim Niemcy, ale także inne kraje stworzyły niepotrzebnie takie wrażenie, że zdołają skutecznie pomóc olbrzymiej liczbie ludzi. To był projekt nie do zrealizowania i jego główni zwolennicy próbują się dzisiaj powoli z niego wycofywać. W całej sytuacji najbardziej problematyczny jest fakt, że podważono wiarygodność działającego doskonale systemu opieki nad uchodźcami, w którym od lat uczestniczyły praktycznie wszystkie kraje Europy. Podważono procedury, ustalenia, przepisy. Każdy kraj w minionych latach przyjmował 1–5 tys. uchodźców i dokonywał pewnej selekcji. Przyjmowano przede wszystkim tych, którzy byli zagrożeni w swoim własnym kraju, tych, którzy mieli szansę łatwo się adaptować w nowym miejscu, i tych, którzy nie ujawniali, że stanowią zagrożenie dla lokalnej ludności. Niektóre kraje, na czele ze wspomnianymi Niemcami, postanowiły zakwestionować dotychczasowy system i szeroko otworzyły bramy. Wpuszczono przypadkowe osoby, nie pytając, jaką kto ma przeszłość, przed czym ucieka i dokąd zmierza. To było krańcowo nieodpowiedzialne. Natomiast samo pytanie, czy przyjmować uciekinierów, czy nie, jest jak pytanie, czy powinniśmy myć ręce. Co jakiś czas na pewno powinniśmy, natomiast jeśli ktoś będzie mył ręce co kilka minut, to powinien pójść do psychiatry. Jeżeli ktoś twierdzi, że przyjmie dowolną liczbę uciekinierów, powinien wiedzieć, skąd weźmie się dla nich mieszkania, pracę, kto ich nauczy lokalnego języka. Przede wszystkim zaś powinien znać odpowiedź na pytanie, czy owi uciekinierzy naprawdę chcą być obywatelami kraju, do którego przybyli, czy tylko planują wykorzystać sprzyjający system społeczny, a równocześnie wprowadzać w nowy kraj swoją kulturę, swoje przyzwyczajenia, a także, niestety, swój często bardzo agresywny sposób traktowania innych. Nawarstwiło się sporo naiwnych błędów popełnionych w imię górnolotnych

haseł. Złośliwość między ludźmi powoduje wielkie szkody. Natomiast nie mniej szkód powoduje naiwna górnolotność – poprzez fałszywe dążenie do świętości albo krańcowego poświęcenia.

**KB:** W 1991 r. ukazała się pana książka „Etyka w działaniu”, w której tolerancja jest jedną z kluczowych wartości i zmiennych. Czy dziś owa tolerancja ma dla pana profesora podobną rangę?

**JH:** Tak, uważam, że tolerancja jest czymś bardzo ważnym, tzn. powinniśmy się nauczyć żyć ze wszystkimi ludźmi, powinniśmy się nauczyć szukać kompromisu, możliwości spotkania w pół drogi ze wszystkimi, którzy nie deklarują się otwarcie jako wrogowie społeczni. Jeśli ktoś deklaruje, że chce być terrorystą albo chce zarabiać na morderstwie, na rabunku, chce w jawny sposób łamać prawo, to wobec takiej osoby nie będziemy stosowali zasady kompromisu. Natomiast nie powinno stanowić problemu inne wyobrażenie o dobrym małżeństwie, inne zdanie odnośnie tego, co należy jeść w piątek, sobotę czy w niedzielę, inny pogląd na to, jak należy wychowywać dzieci, aby się nauczyły samodzielności. Można dyskutować, jeśli obu stronom na tym zależy, lub milcząco się akceptować, jeżeli dla żadnej ze stron druga nie jest uciążliwa. Możemy sobie całkiem dobrze wyobrazić olbrzymie przedmieścia zamieszkałe przez ludzi mających niezłe dochody, gdzie w jednej willi będzie mieszkał Francuz, w następnej muzułmanin, w kolejnej Żyd, a w dalszych ateista, Anglik, Polak itd. Niech będą wobec siebie przyjaźni, a jeśli działają sobie na nerwy, niech nie

Niemcy, ale także inne kraje, stworzyły niepotrzebnie takie wrażenie, że zdołają skutecznie pomóc olbrzymiej liczbie ludzi.

robią hałas, nie przerzucają pomyj ani śmieci przez płoty – niech starają się być dla siebie łatwo dającymi się tolerować sąsiadami. W takiej konfiguracji nie widzę żadnego zagrożenia. Na obrzeżach wielkich miast i w dzielnicach willowych różnorodność może być czymś atrakcyjnym. Natomiast wielka różnorodność w czynszowej kamienicy, w której jest 50 czy 500 mieszkań, a w każdym mieszkaniu po 5–10 osób, tworzy getto. Przy tak dużej liczbie ludzi i takiej różnorodności kultur, w miejscu, gdzie mieszkają się zapachy różnych kuchni, jest hałas i występują zachowania dokuczliwe dla innych, będzie stale dochodziło do agresji. Tego rodzaju budynki natychmiast stają się częścią slumsów i wyglądają przerażająco. Ja bywałem za granicą, mieszkalem w domach akademickich i zapewniam, że brany jest tam pod uwagę czynnik kulturowy. I nie można w tym kontekście mówić o jakichkolwiek formach rasizmu. Chce się jedynie dobrać ludzi o mniej więcej podobnych oczekiwaniach i podobnej kulturze. Jeżeli na jakimś uniwersytecie jest np. 50 studentów czy doktorantów z krajów arabskich, dobrze

ich zakwaterować razem – aby łatwiej im było przeżyć ramadan. Komuś, kto nie ma podobnych przekonań religijnych, trudno dopasować się do tego, że życie zamiast za dnia toczy się w nocy. Tu nie chodzi o brak akceptacji. Po prostu czasem dwa odmienne style życia są nie do pogodzenia albo cudem udaje się je pogodzić. Naszym obowiązkiem jest starać się nie przeszkadzać innym.

**KB:** Wcześniej zasugerował pan profesor, że filozofowie nie rozwiążą poważnych i złożonych problemów społecznych. Kto zatem mógłby przewidzieć, do czego doprowadzą decyzje polityczne, nawet podejmowane ze szlachetnych pobudek?

**JH:** Powinniśmy czytać dużo literatury pięknej, powieści, w szczególności dzieła XIX-wieczne, brytyjskie, rosyjskie, francuskie, niemieckie. Gdybyśmy przeczytali sporo tego typu literatury, nie popełnilibyśmy kardynalnych błędów, jak wpuszczenie olbrzymiej liczby uciekinierów z krajów, w których obowiązuje zupełnie inna kultura niż w Europie. Trzeba im pomóc w miejscu, z którego uciekli. Tam konstruować inny system polityczny, inwestować, czyli umożliwić zarabianie na życie. Trzeba unikać jawnych błędów i okazywać innym dużo życzliwości. Tego uczy nas przede wszystkim dobra literatura.

**KB:** Ale nie da gotowych recept, nie odpowie na pytanie, jak pomagać w miejscach, z których przybywają uchodźcy. Niektórzy przykładowo uważają, że pomocne może być zaszczepianie liberalizmu gospodarczego, inni – że to najgorsze zło.

**JH:** Jedynym możliwym rozwiązaniem są rządy pośrednie (z ang. *indirect rule*). Czyli to, co Brytyjczycy próbowali realizować pod koniec XIX w. i na początku XX w. Trzeba wprowadzać medycynę, oświatę, infrastrukturę techniczną, które pozwalają lepiej żyć. Trzeba powoli pracować z najmłodszym pokoleniem, budować szkoły oraz pomagać w uczeniu podejmowania decyzji o przyszłym życiu. Należy stworzyć enklawy, które będą na tyle bezpieczne, że ci, którzy nie chcą się podporządkować określonej systemowi myślenia, nie będą mogli go zniszczyć. Prawdę powiedziawszy, bardzo łagodny neokolonializm, który nie wprowadza ideologii, a pomaga rozwiązać praktyczne problemy miejscowych, to według mnie jedyna możliwa opcja. Potrzebne są akcje humanitarne, instytucje i organizacje, które potrafią podjąć dialog z lokalną ludnością, współpracować ze sobą, przyjaźnie żyć i stworzyć coś dla całej społeczności. Taki model jest najbardziej obiecujący.

**KB:** Może taki funkcjonalny neokolonializm, ale nie w wykonaniu państwa czy korporacji, lecz prowadzony przez trzeci sektor, pozwoli uniknąć grzechów klasycznego kolonializmu?

**JH:** Tak, ma pan całkowitą rację.

# Śmierć jest regułą życia

O tajnikach genetyki, granicach poznania oraz o tym, czy nauka okiełzna raka, z prof. **Magdaleną Fikus** rozmawia Kamil Broszko.

**Kamil Broszko:** Czy biologia potrafi dać nam odpowiedź na pytanie, kim jesteśmy?

**Magdalena Fikus:** Oczywiście, że nie. To pytanie jest bardzo głębokie, można powiedzieć, że cała nauka szuka na nie odpowiedzi. Począwszy od nauk humanistycznych (które w Polsce niekoniecznie są uznawane w ogóle za naukę), kończąc na fizyce. Pytamy, czym jest życie i czy nastąpiła ewolucja, a jeżeli tak, to czy mamy prawo uważać się za najbardziej doskonały produkt owej ewolucji. Załóżmy, że z punktu widzenia fizjologii faktycznie przyjmujemy, że jesteśmy najbardziej doskonałym produktem. Ale już z punktu widzenia szerszej analizy działań człowieka trudno utrzymać przekonanie o naszej doskonałości – wystarczy wspomnieć wojny, ludobójstwa itp.

**KB:** Skoro cała nauka nie jest gotowa, by odpowiedzieć na fundamentalne pytanie, to gdzie powinniśmy owej odpowiedzi szukać?

**MF:** W tym kontekście przypomnę pewne wydarzenie. W tym roku w ramach epilogu Festiwalu Nauki zorganizowaliśmy debatę oksfordzką pt. „Nauka czyni Boga zbędnym”. To jest hasło, które zostało sformułowane nieprecyzyjnie, ale tego typu postawienie problemu jest typowe dla debat oksfordzkich – stawiana teza jest

tylko punktem wyjścia do dyskusji. W związku z tym każdy człowiek na sali rozumie ją inaczej. Według mnie tak postawiona teza oznacza, że nauce w rozumieniu ścisłym Bóg nie jest potrzebny. Tytuł debaty nawiązuje do słynnego stwierdzenia Pierre’a Simona de Laplace’a: „Ta hipoteza nie była mi potrzebna”. Osobiście się z tym zgadzam, nauce hipoteza Boga nie jest potrzebna. Oczywiście nie byłoby debaty oksfordzkiej, gdyby wszyscy uważali podobnie. Wśród przeciwników tezy był między innymi wybitny polski fizyk Krzysztof Meissner. Stwierdził on, że nauka, w tym fizyka, doszła do odkrycia takich zjawisk, których sama nigdy nie będzie w stanie wytłumaczyć (chodzi np. o fakt istnienia w całym Wszechświecie tych samych praw fizyki, bardzo precyzyjnie rządzących owym światem, albo kwestię nieprzekraczalnej prędkości światła).

**KB:** To znaczy, że doszliśmy do kresu poznania?

**MF:** Obrońca tezy, że Bóg jest potrzebny nauce, stwierdził, że fizyka doszła do odkryć, których nigdy nie wyjaśni. Jeżeli tak jest z fizyką, a pozostałe nauki – m.in. chemia, biologia, nauki inżynierskie – zawsze dochodzą do sformułowania swoich praw językiem fizyki, to znaczy, że one też nigdy nie osiągną pełnego poznania. Meissner mówi, że można wobec tych zjawisk przyjąć dwa stanowiska: że coś jest, bo jest, albo że coś jest, bo istnieje jakaś niewytłumaczalna siła transcendentna. Z dotychczasowych doświadczeń nauk przyrodniczych i biologicznych wynika, że wciąż nie dotarliśmy do kresu i pozostało bardzo dużo różnych zjawisk do odkrycia, bardzo wiele ogólnych praw do sformułowania. Możemy jednak zapytać, dlaczego w świecie i w Kosmosie obowiązują ogólne prawa przyrody. Czy dlatego, że ktoś za tym stał? Taka teza



**Magdalena Maria Fikus** (ur. 1936 r.) – polska biolog, biochemik, specjalistka w zakresie biochemii i fotochemii kwasów nukleinowych, biofizyki komórki, inżynierii genetycznej, profesor nauk przyrodniczych, propagatorka i popularyzatorka nauki. W 1958 r. została absolwentką Wydziału Biologii i Nauk o Ziemi Uniwersytetu Warszawskiego. W 1965 r. uzyskała stopień naukowy doktora, a w 1975 r. stopień doktora habilitowanego. Tytuł naukowy profesora otrzymała w 1989 r. Do 1965 r. pracowała w Państwowym Zakładzie Higieny, następnie w Katedrze Biofizyki UW, pod kierunkiem prof. Davida Shugara. Pod koniec lat 60. przebywała na stażu naukowym na Uniwersytecie Stanforda w USA. W 1975 r. podjęła pracę w Instytucie Biochemii i Biofizyki Polskiej Akademii Nauk. Za pracę popularyzatorską i dydaktyczną została nagrodzona m.in. Nagrodą im. Hugona Steinhausa (1998 r.), tytułem Fenomena „Przekroju” (2005 r.), dwukrotnie tytułem Popularyzatora Roku. W 1997 r. współtworzyła pierwszy polski Festiwal Nauki. Odznaczona Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski. Przewodniczy Radzie Upowszechniania Nauki PAN.





Bliźnięta jednojajowe (fotografia ilustracyjna)

wywołuje we mnie opór, jednak nie potrafię jej odrzucić poprzez satysfakcjonującą argumentację.

**KB:** Czy w dzisiejszych czasach poszukiwanie odpowiedzi na podstawowe pytania interesuje w ogóle społeczeństwo?

**MF:** Zainteresowanie naszą debatą było ogromne. Na salę dostała się połowa spośród wszystkich chętnych. Widocznie była to za mała sala. W każdym razie po dyskusji oksfordzkiej odbyło się głosowanie wszystkich obecnych, w którym zwyciężyła teza, że Bóg jest potrzebny nauce. Po powrocie do domu pomyślałam, że chciałabym przy okazji następnego Festiwalu Nauki zorganizować kolejne, podobnie frapujące spotkanie. Debatę oksfordzką powinna być racjonalnym sporem, nie mogę zatem posadzić naprzeciwko siebie zwolenników i przeciwników szczepionek, ponieważ jako naukowiec uważam, że na tym polu nie ma dyskusji: szczepionki umożliwiają walkę i przeciwdziałanie wielu chorobom. Ludzie, którzy przychodzą na nasze spotkanie, oczekują „twardej” nauki. Nie gimnastyki umysłu, która może być rozumiana jako domena humanistyki. Oczywiście pytania mogą być niejako z pogranicza, jak w tegorocznej debacie albo w roku ubiegłym, kiedy zapytaliśmy, czy sztuczna inteligencja zagrazi ludzkości. Dwa lata temu zadaliśmy pytanie, czy należy ingerować w ludzki genom. Zastanawiając się nad przyszłorocznym zagadnieniem, rozważam debatę o naturze człowieka. Istnieją badania genetyczne postulujące istnienie „genu Boga”, zwiększającego mistyczne potrzeby człowieka. Prof. Jerzy Vetulani w swojej ostatniej książce rozmawia z teologiem i twierdzi, że istnieje w mózgu nisza dla Boga. Być może zatem w przyszłym roku trzeba będzie zająć się mózgiem, bo on fascynuje ludzi.

**KB:** Jednak dla nauki wciąż pozostaje tajemnicą.

**MF:** W pewnym stopniu tak, choć z drugiej strony doszliśmy w podejściu do organizmu ludzkiego do daleko idących interwen-

cji i wiary, że jeszcze dalej idące interwencje będzie można wykonać. Jeśli dziś ktoś stwierdzi, że przeszczepimy w przyszłości mózg, nie jest uznawany za głupca. Są ludzie, którzy argumentują, że można przeszczepić głowę. Chirurdzy w Gliwicach właśnie przeszczepili choremu szyję. A jaki będzie dalszy ciąg? Tego nie wiemy.

**KB:** A czy nauka przyszłości pójdzie w kierunku odpowiedzi na odwieczne pragnienie nieśmiertelności?

**MF:** Niektórzy uważają, że można zapewnić nieśmiertelność poprzez przepisywanie całej naszej wiedzy na maszynę. Nie do końca tak jest, bo receptory, które odbierają wrażenia zmysłowe, również są elementem całego układu przetwarzania informacji. Zatem technologiczna puszka, w której zamknijemy nasze wspomnienia, nie będzie tożsama ze świadomością charakterystyczną dla żywego człowieka. Kiedy ja myślę o śmierci – a każdy starszy człowiek o niej myśli – najstraszniejszy wydaje się fakt, że nie będzie już mojego świata. Dla mnie świat się skończy. Choć będzie trwał, to przestanie istnieć. Utrata świadomości w śmierci wydaje mi się najstraszniejsza, ale nie sądzę, żebyśmy byli w stanie czymś zastąpić naszą świadomość. Uważam, że istnienie człowieka to czas od narodzin do śmierci, czas ograniczony, a w stosunku do trwania Wszechświata to nie jest nawet mrugnięcie okiem. I pojawia się pytanie, czy to już jest wszystko, co mogliśmy dla tego świata zrobić. Tu wkraczamy w pole naszych świadomych działań. Jesteśmy w stanie mocno ingerować w życie osobiste i ogromnie w świat, który nas otacza i z którym jesteśmy ściśle związani.

**KB:** I być może, mając świadomość ograniczonego czasu na ziemi, człowiek tak dalece w ten świat ingeruje.

**MF:** To prawda. Dzisiejszy świat nijak się ma do świata w czasach, kiedy formował się nasz genom i rodziła nasza świadomość. Nasz genom formował się 3 mln lat temu, a współczesny świat zaczęli-

śmy budować zaledwie 100 lat temu. Genom, czyli nasza biologia, za tym światem nie nadąży. Próbuje, ale nie jest w stanie zareagować na tak szybkie zmiany. Mnie szczególnie trapi problem edukacji. Nasz sposób edukowania ludzi jest XIX-wieczny, a mamy XXI w. Przez 14 lat byłam współorganizatorką warszawskiego Festiwalu Nauki. Niedawno zakończył się 21. festiwal. Zajmowałam się nim 14 lat, a od 7 lat nie jestem już bezpośrednim organizatorem, ale towarzyszę inicjatywie z wielką sympatią. Uważam, że nie mamy dzisiaj pomysłu, jak przekazywać wiedzę naukową. Istnieje „doktor Google” i każdy, kto ma zasięg w smartfonie, doraźnie sięga po informacje. Fizyki wciąż uczy się na poziomie XIX w. Fizycy mówią, że nie można o mechanice kwantowej opowiadać w szkole. A dziś cała fizyka jest oparta na mechanice kwantowej! Powinniśmy być w stanie nauczyć więcej niż 100 lat temu, ale z jakiegoś powodu w dziedzinie edukacji i rozwoju społecznego doszliśmy do ściany. Znajdujemy się w zamkniętej, malutkiej, europejskiej bańce. Czasem nam się wydaje, że świat niewiele się zmienił, lecz zmienił się nadzwyczajnie. Biologia może tutaj tylko bezradnie rozłożyć ręce.

**KB: A może odpowiedzią jest integracja nauk, interdyscyplinarność?**

**MF:** Jestem kiepsko wykształcona w dziedzinie matematyki i fizyki. Kończyłam studia w 1958 r. i wtedy sobie nie wyobrażano, że biologowi taka wiedza może być potrzebna. Mam teraz młodszych kolegów, którzy są często po studiach informatycznych, potrafią programować – i to też są biolodzy. W ciągu 60 lat nauki przyrodnicze zrozumiały, że potrzebują nauk ścisłych. Dzięki temu nauka się nie kończy – zawsze będą do rozwiązania jakieś problemy, bardziej lub mniej podstawowe. A czy we wszystkich naukach dojdziemy do ściany, o której mówi Krzysztof Meissner? Uważam, że skoro fizyka do niej doszła, to podobny los czeka wszystkie nauki ścisłe. I co się wtedy stanie? Nie wiem. Może będzie się musiała cofnąć do wyjaśniania jakichś dodatkowych szczegółów albo będzie musiała opisywać w sposób bardziej zintegrowany to, co się dzieje wokół nas. Dziś integracja nauk wydaje się głównym celem w naukach przyrodniczych i ścisłych. W mojej dziedzinie nie ma już pojedynczych odkryć. Nie ma geniusza, który dokonałby odkrycia porównywalnego z mendelowskim (że to geny decydują o dziedziczeniu). Ważnych i ciekawych odkryć – przykładowo dotyczących fal grawitacyjnych – dokonują zespoły liczące nawet tysiące ludzi. Oczywiście pojedyncze nazwiska firmują projekty i odbierają Nagrodę Nobla. Zresztą nienadążającą za współczesnością, bo nie wiadomo, według jakiej metody wybrać tego najważniejszego spośród tysięcy ludzi, którzy uczestniczą w odkryciu, zarówno od strony technologiczno-inżynierskiej, jak również od strony koncepcji teoretycznej czy interpretacji wyników. Moim zdaniem nauka zmierza w kierunku wielkiej integracji różnych specjalizacji, a biologia – na przykład ku poszukiwaniu genów związanych z chorobami psychicznymi. To są prace, w których biorą udział setki osób i dziesiątki pracowni. Powstaje coś w rodzaju zbiorowego umysłu. Nie mogę powiedzieć, że zbli-

żamy się do końca badań naukowych. Będą one trwały, dopóki jest człowiek, dopóki ma mózg i chce współpracować, z innymi ludźmi i z inteligentnymi maszynami. A jakie będzie sobie stawiał pytania? Nie umiem powiedzieć. Natomiast dziś wiadomo, że największym wyzwaniem jest kwestia mózgu: jak on działa, na czym polega i dlaczego galaretowata substancja, której kilogram w sobie nosimy, jest tak niezwykle strukturalnie i funkcjonalnie.

**KB: Ale wydaje się, że złożoność systemu nauki nie przybliża, a czasem wręcz oddala od odpowiedzi na pytania podstawowe.**

**MF:** Niewykluczone, że pomogą nam maszyny, które pozwolą na szybszą analizę, integrację, dezintegrację, syntezę i spojrzenie z szerszej perspektywy. Trudno dziś stwierdzić, ile naszych naukowych zadań przejmą. Pozostaje pytanie, czy wtedy w ogóle będzie potrzebny ludzki mózg. A przecież jego używanie, np. w pracy badawczej, to wielka przyjemność.

**KB: Czym właściwie jest komórka i dlaczego jest tak ważna?**

**MF:** Komórka składa się z różnych części, które – co najważniejsze – są cały czas w dynamicznej relacji. Błona, która stanowi barierę między światem zewnętrznym i wewnętrznym, jest ciągle przebudowywana. Komórka pod wpływem różnych bodźców może zmieniać skład tej błony. Błona to ściana, przez którą „niektórzy” przechodzą, a inni nie. To, czy przechodzą, zależy od jej składu. Zdarza się, że warunki zewnętrzne, zadane przez nas albo obiektywnie istniejące, zmieniają skład tej ściany i coś, co nie mogło wcześniej przez nią przeniknąć, teraz może. Życie to jest nieustająca dynamika, nieustające zmiany. W komórce znajduje się jądro i inne różnorodne struktury – to wszystko cały czas się zmienia. Póki trwa życie, trwa też dynamika w komórkach. Najciekawsze jest to, w jaki sposób komórka żyje. Istnieje określony napór na ścianę, który się zmienia wraz z tym, jak komórka rośnie. Z czasem jest tak duża, że musi się podzielić. To proces w pewnym sensie analogiczny do życia całego organizmu. Podczas badania zachowań komórek trzeba mieć świadomość, ile trwają poszczególne zmiany i jak długo możemy ową komórkę badać, zaniedbując fakt, że w międzyczasie coś w niej się zmienia.

**KB: Czy jest możliwe, że dziedziczymy zaawansowane treści psychiczne, przykładowo idee, przemyślenia, emocje, pamięć poprzednich pokoleń?**

**MF:** Wszystko zależy od tego, jak „święte” są nasze geny... W każdej komórce – niezależnie od tego, czy jest to komórka palca, czy komórka wątroby – znajduje się ten sam zestaw genów. Fakt, że mamy różniące się między sobą palec i wątrobę, wynika z różnego działania tych genów. W zdrowym organizmie istnieje bardzo precyzyjna regulacja. W palcu pewne geny działają, a inne „śpią”. Zaś w wątrobie działają inne geny, a pozostałe nie są używane. Jeżeli zatem wszystko przypisać genom, to można spojrzeć na komórkę i na życie całego organizmu w ten sposób, że wszystkie

cechy można jakoś opisać poprzez działanie genów. Czyli są one wszędzie takie same, ale w różnych tkankach działają różnie, np. z różną intensywnością, lub są w ogóle wyłączone. Na te geny w ciągu naszego życia wpływa również otoczenie: to, co jemy, pijemy, palimy, w jakim miejscu żyjemy, jakie powietrze wdychamy itd. Nie możemy abstrahować od tego, w jakim środowisku umiejscowiony jest nasz organizm. Co innego w przypadku pojedynczej komórki bakteryjnej, którą zawieszamy w jakimś roztworze, dodajemy cukier, sól, kwas, a następnie obserwujemy, co się z nią dzieje, jak żyje. Człowiek zaś jest dużo bardziej skomplikowany i ma na niego wpływ wszystko, co go otacza. Z dużej populacji ludzi wybrano bliźnięta jednojajowe (monozygotyczne), które powstały z jednego zapłodnionego jaja. Zatem na początku dwa organizmy były identyczne genetycznie. Skoro bliźnięta jednojajowe mają taki sam zasób informacji genetycznej, zatem powinny być identyczne, bo w sensie genetycznym są klonami.

Ale identyczne nie są. Bracia Kaczyńscy, wbrew pozorom, znacząco się różnili, a było to widać najlepiej pod koniec życia Lecha. Wyglądali inaczej, chorowali na różne choroby. Na bliźniętach jednojajowych można zbadać, jakie cechy i w jakim stopniu są dziedziczone. Wzrost jest dziedziczony mniej więcej z 90-proc. dokładnością, to znaczy, że jeżeli jedno z bliźniąt jest niskie, to na 90 proc. drugie też będzie niskie. Ale są cechy, których prawdopodobieństwo dziedziczenia u dwojga bliźniaków wynosi 10 proc. (np. skłonność do chorób reumatycznych), mimo że na starcie w życie bliźnięta otrzymały ten sam zestaw genów. W sumie uważa się, że geny odpowiadają za 50 proc. cech,

z którymi żyjemy i które przejawiamy w swoim życiu. A 50 proc. to reszta, czyli wszystko, co napotykamy na swej drodze. Oczywiście, jeżeli jeden bliźniak spędziłby życie w Himalajach, a drugi na bagnach Bangladeszu, to różnice między nimi byłyby dużo większe. Z badaniem genów i wnioskowaniem o dziedziczeniu jest jeszcze taki problem, że istnieje cały wachlarz odmian genów, tzw. alleli. U bliźniąt jednojajowych odmiany genów będą takie same, ale u różnych ludzi będą różne. Są geny, które mają po kilkadziesiąt alleli. Na przykład może to oznaczać, że cała populacja przetwarza jakąś substancję z pożywienia (np. glukozę), ale z różną intensywnością. O sposobie tego przetwarzania mogą decydować różnice w allelach. Ta mnogość wariantów wynika z całego naszego dziedzictwa. Każdy z nas będzie inaczej reagował na identyczne środowisko, bo ma inny allel. Są takie allele, które zwiększają prawdopodobieństwo zachorowania na chorobę Alzheimera. Wszyscy mamy pewien rodzaj genów uczestniczących w rozwoju tej choroby, ale one występują w różnych wariantach, zatem tylko u niektórych się ona rozwinie. Są takie allele

pewnych genów, które zwiększają prawdopodobieństwo zachorowania na różne typy nowotworów. Jeżeli jest jakiś typ genów, który sprzyja jakiejś chorobie, to warianty alleli przekładają się na reakcję na określony typ środowiska. Jeden pali papierosy przez całe życie i ginie w wypadku samochodowym, a drugi umiera wcześniej, bo choć nie palił, zapadł na nowotwór płuc. Uważam się za osobę długowieczną. Mój ojciec zmarł wcześniej na nowotwór płuc, a nie palił papierosów. Moja matka umarła 10 lat później. Ja żyję dłużej niż moi rodzice. Nie wiem, czy mam jakieś geny długowieczności. Żyłam higienicznie, uprawiałam dużo sportów... Czy to przełożyło się na długość życia? Nie wiem. Mój znajomy przeszedł bardzo ciężki zawał. Kiedy z niego wychodził, zapytał lekarza: „Panie doktorze, przez całe życie uprawiałem biegi, narciarstwo, pływałem. Dlaczego w wieku 70 lat miałem zawał?”, a lekarz odpowiedział: „Gdyby pan nie uprawiał sportów, toby pan tego zawału nie przeżył”. Sposób, w jaki żyjemy, determinuje, jak długo będziemy żyć, ale śmiertelności nie przeskoczmy, bo to już jest reguła biologiczna.

W perspektywie najbliższych 10–20 lat będziemy umieli skutecznie zapanować nad rakiem. Natomiast nie da nam to nieśmiertelności całkowitej i nie wykluczy śmiertelności z powodu nowotworu.

**KB:** Mój wykładowca na uniwersytecie, prof. Wiesław Łukaszewski, mawiał, że wysoki wskaźnik długości życia mają profesorowie wyższych uczelni, bowiem inteligencja jest dodatnio skorelowana z umiejętnością przeżycia.

**MF:** Może tak być. Szczególnie jeśli profesorowie biegają i jeżdżą na nartach. Bo umiarkowane eksploatowanie organizmu doskonale wpływa na jego stan. Ale już na przykład ciężki wysiłek, jak praca w kamieniołomach, wprost przeciwnie.

**KB:** Czy jest szansa, że nauka poradzi sobie z rakiem?

**MF:** Dziś mówi się, że będziemy w stanie poskromić tę chorobę. Tak jak okiełznaliśmy cukrzycę: są określone leki i jeżeli się je bierze, to się z cukrzycą żyje. W ten sam sposób doszliśmy do tego, że można żyć wiele lat, chorując na AIDS, bo są leki, które trzymają chorobę w ryzach. Jeżeli chodzi o raka, to prowadzi on do niezwykle skomplikowanej dezorganizacji systemu. Aby do niej doszło w formie klinicznej, musi zajść kilkanaście albo kilkadziesiąt kolejnych procesów związanych ze zmianami na kolejnych piętrach regulacji genetycznej. Przykładowo rozwój raka płuc trwa przez 20 lat. Jest nawet taka zasada, która określa, kiedy warto rzucić palenie. Ja rzuciłam w wieku lat 50 i jest to moment, kiedy jeszcze warto to zrobić. Wszystkim zainteresowanym polecam książkę „Cesarz wszech chorób. Biografia raka” (Wydawnictwo Czarne) autorstwa Siddharthy Mukherjee. Opisana jest w niej między innymi historia radzenia sobie z tą chorobą. Przykładowo w XIX w. obcinano kobietom piersi bez żadnego znieczulenia – straszliwa

praktyka. Później pojawił się rentgen i naświetlanie, a na końcu pojawiła się chemioterapia, która jest osiągnięciem ostatnich 50 lat. Dziś coraz częściej myśli się o lekach w kontekście skutecznej walki z rakiem. Szczególnie takich, które pozwolą zareagować na indywidualny przypadek choroby. Mamy te same geny, ale ich zestawy i konfiguracje są różne, zatem jeżeli weźmiemy pod uwagę fakt, że jesteśmy o krok od zbadania zestawu genów u każdego człowieka, określenia alleli i ich cech, to w ciągu najbliższych 5–10 lat będziemy wykonywali indywidualny profil genetyczny. Dziś problemem jest koszt takiej analizy. W przypadku raka piersi, jeżeli wiadomo, że ma się określone allele, to wiadomo też, że pomoże określony lek o określonej strukturze chemicznej. Jeśli kobieta nie ma danego allelu wrażliwego na ten lek, to nie ma sensu jej nim leczyć, bo nowotwór nie będzie reagował. Rak to choroba zazwyczaj związana ze zużywaniem się organizmu. Jednak coraz częściej występuje u ludzi młodych (wszystkie białaczki występują również u dzieci). Jego przyczyna leży w naruszeniu pracy wielu genów, więc nie ma nadziei na znalezienie jednego leku, który będzie leczył każdy typ raka. Są choroby, w których nieprawidłowo działa tylko jeden gen, lecz nowotworów są dziesiątki i w każdym przypadku działają dziesiątki genów. Żeby stwierdzić, czy dany allel oznacza mniej lub bardziej poważne zagrożenie, musielibyśmy wiedzieć, z czym go porównać. Dopóki nie wykona się porównania na jakimś tle (np. w grupie tysiąca osób), to nadal nie wiadomo, jaki szczegół budowy zagrożonego genu jest kluczowy. Zatem badania ludzi muszą być masowe, co da możliwość porównania dużej liczby wyników. Jednym słowem, nie możemy liczyć na to, że zaczniemy panować nad jakimś nowotworem bez dalece zaawansowanej analizy genomów tysięcy różnych ludzi. Ale to wszystko współczesna nauka jest w stanie sobie wyobrazić. To jest kwestia pieniędzy, ludzi, laboratoriów i maszyn. Będziemy zatem dążyć do indywidualizacji podejścia medycznego, terapii indywidualnej.

Myślę, że w perspektywie najbliższych 10–20 lat będziemy umieli skutecznie zapanować nad rakiem. Natomiast nie da nam to nieśmiertelności całkowitej i nie wykluczy śmiertelności z powodu nowotworu. Cały organizm zużywa się na bardzo wielu poziomach. Mamy w sobie cudowne maszyny, jak choćby serce, które potrafi być niezawodne przez 90 lat, lecz nawet ono w końcu przestaje bić. O nieśmiertelności zatem nie możemy rozmawiać w perspektywie biologicznej. Wciąż jesteśmy w dość prymitywnym okresie, ale jakże zaawansowanym w porównaniu z czasami, gdy obcinano kobietom piersi bez znieczulenia!

**KB:** Mass media co jakiś czas donoszą o pojawieniu się antybiotykoodpornej bakterii. Czy jest możliwe, że taki całkiem prosty organizm zagrozi ludzkości?

**MF:** Uważam, że nie, ponieważ człowiek nie jest prostym organizmem i potrafi poznać powody, dla których prosty organizm jest groźny. Zawsze będzie trwał wyścig, zawsze znajdziemy nowy

antybiotyk czy inny nowy lek. Na świecie jest 7 mld ludzi, w tym trochę osób twórczych. Jeżeli widzimy, że są bakterie, na które nic nie działa, szukamy dalej. Być może okaże się, że pewna liczba ludzi umrze, zanim znajdziemy skuteczny lek, ale w mikroorganizm albo wirus, który unicestwi ludzkość, nie wierzę. Gdy się pojawił HIV, dominowała narracja, że wybije całą ludzkość, lecz nic takiego się nie stało. W tej chwili, aby się dowiedzieć, jak wyglądają geny nowego mikroorganizmu, wystarczą dwa dni. Kiedyś potrzeba było zespołu ludzi i dwóch lat ich pracy. Jeżeli już mówimy o jakimś zagrożeniu dla ludzkości, to myślę, że najpoważniejsze jest związane z działalnością samego człowieka.

**KB:** Chodzi o wojny albo niszczenie środowiska?

**MF:** Jedno i drugie. Wystarczy podać przykład wycinania puszczy amazońskiej. W Polsce też mamy podobny przykład – wycinana jest Puszcza Białowieska i chwilowo nie umiemy temu przeciwdziałać. Codziennie ginie wiele drzew, na każdym drzewie są setki organizmów. Niszczymy życie pewnych gatunków na planecie w sposób całkowity, a wielu z nich nawet nie zdążymy poznać. Ale nie zniszczymy całkowicie Ziemi. Życie będzie ewoluować i „wymyślać” sposoby ominięcia przyszłych zagrożeń. Sama ludzkość też nie jest zagrożona. Ludzie dalej rozmnażają się, a liczba przedstawicieli gatunku cały czas rośnie, więc w sensie biologicznych kryteriów oznacza to, że gatunek ma się dobrze. Jeszcze sobie nie zagroziliśmy.

**KB:** Istnieje dziś wiele biologicznych interpretacji sfery uczuć, jednak ludzie – nieraz również dobrze wykształceni – trochę je odrzucają, być może uważając, że taki opis odziera z romantyzmu albo pozbawia przekonania o istnieniu magicznego pierwiastka w więziach międzyludzkich.

**MF:** Wiadomo, że można chemicznie wywołać pożądanie biologiczne, umilić seks itd. Wiadomo też, że czynnikami realnymi, uchwytymi, czyli cząsteczkami, można wywoływać różnego rodzaju wrażenia emocjonalne. W życiu osobistym spotykamy wiele osób, ale w naturalny sposób skłaniamy się ku niektórym z nich. Istnieją pewne oddziaływania, których jeszcze nie rozumiemy. Czy całość relacji międzyludzkiej można opisać w kategoriach cząsteczek? Nie wiem. I chyba wolałabym nie wiedzieć, pozostawić rzecz encyklopediom i podręcznikom, zaś dla siebie zachować sferę uczuć i tajemnicy. Ostatnio oglądałam telewizyjne show, w którym dwoje ludzi bierze ślub chwilę po tym, jak się pierwszy raz spotyka. W ogóle tego nie rozumiem. Tych ludzi dobrał komputer, więc być może nie biologia, a właśnie komputery są dziś postrzegane jako rozumiejące i determinujące relacje międzyludzkie. Zostawmy naszym emocjom i odczuciom określanie, jaki mamy stosunek do innych osób. Wolałabym, żeby nasze relacje były owiane jakąś tajemnicą. Abyśmy nie robili koktajlu z hormonów, który miałby decydować, kogo pokochamy. Wolałabym, żeby zostało po staremu, ale nie umiem tego umotywować, chyba tylko swoim wiekiem.





# Era genu

**Anna Wójcicka** – doktor habilitowana nauk medycznych, laureatka konkursu Very Important Polish Innovator (organizowanego przez Fundację „Teraz Polska”), stypendium ministra nauki i szkolnictwa wyższego dla wybitnych młodych naukowców oraz licznych nagród ministra zdrowia i międzynarodowych towarzystw naukowych. Odebrała staże badawcze na Wydziale Genetyki Medycznej Vrije Universiteit w Amsterdamie, w Laboratorium Endokrynologii Molekularnej Imperial College w Londynie oraz w Comprehensive Cancer Center na Uniwersytecie Stanowym Ohio. Jest pracownikiem Uniwersytetu Warszawskiego i Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. Współzałożycielka firmy Warsaw Genomics – startupu Uniwersytetu Warszawskiego, który wprowadza nowoczesne badania diagnostyczne do polskiej medycyny. Firma została nagrodzona w VII edycji konkursu Innovator Mazowsza (I miejsce), a w konkursie Central European Startup Awards zdobyła tytuł najlepszego polskiego startupu biotechnologicznego.

O roli badań genetycznych we współczesnej medycynie z **Anną Wójcicką** rozmawia Kamil Broszko.

**Kamil Broszko:** Spotykamy się w bardzo nowoczesnym i pięknym budynku, który mógłby być symbolem zmian zachodzących w polskiej nauce...

**Anna Wójcicka:** Polska nauka niewątpliwie rozwija się i zmienia. Znajdujemy się w Centrum Nowych Technologii Uniwersytetu Warszawskiego. Już sama nazwa miejsca, w którym pracujemy, obliuguje nas do działania i tworzenia.

**KB:** Czy nauka jest teraz na jakimś szczególnym etapie swojej własnej ewolucji?

**AW:** W zakresie genetyki medycznej, którą się zajmuję, jesteśmy w niezwykle ciekawym momencie. Mamy solidne podstawy do badań nad podłożem chorób (w 2003 r. poznaliśmy genom człowieka i wiemy, gdzie szukać uszkodzeń i przyczyn licznych schorzeń), ale wciąż pozostało wiele do odkrycia. Nauka boryka się też z pewnym problemem: nie umiemy jeszcze uzyskiwać z wyników otrzymywanych w nauce tyle wiedzy, ile byśmy chcieli. Jest bardzo dużo ciekawych projektów badawczych, w ramach których dokonuje się istotnych odkryć, lecz te trafiają do szuflady. Nasza spółka powstała po to, abyśmy wyniki badań, które od

wielu lat prowadzimy w zakresie diagnostyki chorób człowieka, mogli przekazać społeczeństwu (czyli podatnikom finansującym projekty badawcze).

**KB:** Osobom mającym wyobrażenie o tradycyjnych uniwersytetach mogą mieszać się dwa porządki. Pracuje pani w budynku Uniwersytetu Warszawskiego, czyli uczelni publicznej, ale wspomniała o prowadzeniu badań w ramach firmy.

**AW:** W ramach uniwersytetu stworzyliśmy i prowadzimy startup Warsaw Genomics. Jest on typową spółką odpryskową uczelni. Uniwersytet jest coraz bardziej otwarty na inicjatywy związane z gospodarką i dziś działa przy nim siedem startupów. Od pół roku na uczelni funkcjonuje także inkubator przedsiębiorczości – międzywydziałowa jednostka, która powstała, aby umożliwić studentom wyjście poza klasyczny program studiów. Niestety, studia w Polsce niespecjalnie pobudzają do samodzielnego myślenia, tworzenia projektów, budowania zespołów. W inkubatorze nie chodzi wyłącznie o to, żeby studenci nauczyli się zakładania firm i innych aspektów działalności gospodarczej, ale żeby umieli pracować w grupie oraz stworzyć i poprowadzić własny projekt,

co jest ważne zarówno z perspektywy naukowej, jak i późniejszej pracy. Środowisko wokół nas bardzo się zmienia.

**KB:** Czyli mamy trend polegający na spotkaniu nauki z biznesem w celu realizacji wdrożeń i osiągnięcia sukcesu komercyjnego.

**AW:** Tak, choćby dlatego, że uniwersytet nie może samodzielnie prowadzić działalności, którą realizują jego firmy odpryskowe. My zajmujemy się diagnostyką genetyczną; jesteśmy podmiotem diagnostyczno-leczniczym, który ma prawo wydawać wyniki badań genetycznych. To wymaga wpisania do właściwych rejestrów, certyfikacji, zatrudnienia odpowiedniego personelu. Uczelnia nie mogłaby nawet wnioskować o wpisanie do tych rejestrów, stąd też konieczność utworzenia właściwego podmiotu prawa gospodarczego. Natomiast nadal istnieją pewne trudności, związane choćby z brakiem jednoznacznych uregulowań, które ułatwiałyby istnienie firm przy uczelniach. Sporym problemem jest też dzielenie czasu pomiędzy pracę naukową a pracę jednoznacznie związaną z działalnością w ramach firmy. Bo jeżeli o godzinie 22 wpadam na jakiś pomysł, to czyją własnością o tej porze jest moja głowa? Jestem wtedy naukowcem czy pracownikiem firmy? To są trudne, nie do końca uregulowane zagadnienia, ale mamy świadomość, że im więcej firm będzie powstawało przy uniwersytetach, tym większa będzie potrzeba, żeby stworzyć jednoznaczne regulacje prawne. Myślę, że poza możliwością bezpośredniego wdrażania wyników badań firmy uniwersyteckie są istotne z jeszcze jednego powodu: pokazują naukowcom, że w firmach też może się dziać bardzo dużo ciekawych rzeczy. W nauce się zostaje, ponieważ chce się tworzyć, poszukiwać, odpowiadać na rodzące się wciąż pytania. Trudno oczekiwać podobnej specyfiki pracy w korporacjach, ale można ją znaleźć w firmach uniwersyteckich i w ten sposób budować pomost między nauką i gospodarką.

**KB:** Wspomniała pani o wewnętrznej potrzebie przekazania społeczeństwu swoich odkryć. Czy wszyscy naukowcy żywią podobne przekonanie?

**AW:** Na pewno nie, ale nie można tego oczekiwać od wszystkich. Nauka jest też po to, by odpowiadać na podstawowe pytania – dużej części takich wyników nie prześlemy bezpośrednio społeczeństwu. Ja mam jednak do swoich działań podejście raczej utylitarystyczne – ich skutki powinny być pozytywne. W gronie moich współpracowników też dostrzegam taką potrzebę. Projekty badawcze prowadzę nie po to, by realizować swoje hobby, ale z nadzieją, że jakoś zmienią rzeczywistość. Nam nie chodzi o to, żeby być i przetrwać, tylko żeby wpływać na świat, przynajmniej wokół nas. Musimy udostępnić ludziom nasze wyniki, przekazać je poprzez edukację i wdrożenia.

**KB:** Marnotrawienie wyników to polska specyfika?

**AW:** Nie, to byłoby zbyt daleko idące stwierdzenie. Czasem potrzeba wyników kilkunastu czy kilkudziesięciu prac, by zrozu-

mieć jakiś mechanizm i wyciągnąć jednoznaczne wnioski. Równocześnie jednak badań naukowych jest mnóstwo; w tematyce, którą śledzę, codziennie w bazach danych pojawia się kilka lub kilkanaście nowych publikacji, natomiast bezpośrednio wdrożenie wyników tych prac ma miejsce niezwykle rzadko. Jest to być może spowodowane także brakiem narzędzi, które w sposób jednoznaczny pozwalają przełożyć wyniki prac naukowych na praktyczne zastosowanie. Problemem jest też to, że wszystko, co tworzymy na uczelni, jest oczywiście jej własnością intelektualną. Więc to od niej zależy, co dalej się stanie z wynikami.

**KB:** Może to problem metodologii. Nauka brnie w ślepy zaułek bezmyślnej kumulacji. Im więcej będzie wyników, tym trudniej będzie je zsyntetyzować i interpretować.

**AW:** Trudniej będzie zinterpretować, bo coraz bardziej specjalizujemy się w drobnych, cząstkowych mechanizmach i coraz mniej osób potrafi całościowo spojrzeć na jakiś proces. Równocześnie jednak nie uda nam się w pełni rozwikłać nurtujących zagadnień, jeśli nie rozłożymy ich na czynniki pierwsze. Kumulacji obawiam się raczej w aspekcie pędu do publikowania i tworzenia jakichkolwiek wyników badań. Naukowcy są rozliczani z publikowania wyników, które otrzymują w trakcie realizacji projektu. Na wielu polskich uczelniach niestety wciąż bardziej zwraca się uwagę na liczbę niż jakość takich publikacji, co nie sprzyja atmosferze poważnej pracy naukowej. Oczywiście publikowanie pozwala się także utrzymać. Ja nie mam stałego etatu na uniwersytecie, utrzymuję się wyłącznie z grantów. Jeśli w pewnym momencie przestanę je dostawać, to stracę miejsce pracy, a wraz ze mną kilka osób, które w ramach grantów zatrudniam. A w jaki sposób mogę otrzymywać granty? Wyłącznie dzięki publikacjom. Ten mechanizm nakręca spiralę wielu średnich projektów i publikacji oraz pogoni za jakimikolwiek wynikami, które tak naprawdę niewiele nowego wnoszą.

**KB:** Ktoś systemowo pracuje nad modelem zsyntetyzowania dużej grupy wyników badań, najlepiej z różnych dziedzin?

**AW:** Wszystkie działy i specjalizacje bardzo się porozdzielały. Jedyne sposoby na zmianę tego stanu rzeczy to wydajna współpraca między osobami zajmującymi się różnymi dziedzinami. Można przecież łączyć wyniki otrzymane w zakresie medycyny z biologią, chemią, fizyką... Myślę, że prawdziwie rewolucyjne odkrycia mogą powstać tylko w ten sposób. Żeby tak się jednak stało, musimy uczyć się współpracy, a z tym akurat w Polsce mamy poważny problem. W szkole nikt nas nie uczy pracy w grupie, podobnie na studiach. Do zrozumienia mechanizmów leżących u podłoża chorób lekarz potrzebuje biologa, zaś biolog potrzebuje lekarza, by móc swoje wyniki zinterpretować. Tymczasem Uniwersytet Warszawski i Warszawski Uniwersytet Medyczny wciąż dzieli linia demarkacyjna, wyznaczana symbolicznie przez ul. Banacha. To się na szczęście zmienia, ale bardzo, bardzo powoli.



Graficzne przedstawienie sekwencji DNA (materiał poglądowy)

Możemy przeczytać  
wszystkie geny pacjenta  
i powiedzieć mu  
o wszystkich chorobach,  
jakie zostały  
w jego genach  
zapisane.

**KB:** A nowe podejście łączące metaanalizę i big data, popularne choćby w naukach biologicznych, daje jakąś nadzieję?

**AW:** Tak, zdecydowanie. My akurat na co dzień korzystamy z takich metod, łączymy liczne kompetencje i działy wiedzy, ponieważ nasz zespół tworzą lekarze, biolodzy, bioinformatycy i matematycy. Dzięki wspólnej pracy rozwijamy umiejętności, których nie można zdobyć wyłącznie w toku studiów. Wśród nich jest między innymi stosowanie metaanaliz i big data. W naszych badaniach zaglądamy w geny pacjenta, żeby powiedzieć, dlaczego teraz choruje na jakąś chorobę albo na jaką chorobę może zachorować w przyszłości. W tym celu musimy przetworzyć terabajty informacji pochodzących od badanej osoby, potem porównać je z danymi dla całej populacji. Opracowanie i zinterpretowanie takich wyników to nieprawdopodobna ilość pracy obliczeniowej. Dzięki temu, że robimy to w zespole, w którym każdy specjalizuje się w czymś innym, możemy się uzupełniać i wzajemnie od siebie uczyć. To daje ogromną radość z pracy.

**KB:** Wspomniała pani o zaglądaniu w geny pacjenta, przejdźmy więc do tego, czym zajmuje się państwa firma. Zaczniemy od początku. Pobierają państwo krew osobom badanym?

**AW:** W Warsaw Genomics zajmujemy się diagnostyką genetyczną, czyli czytamy geny pacjenta, by znaleźć w nich uszkodzenia odpowiedzialne za powstawanie chorób. Do badania genetycznego potrzebujemy ok. 4 ml krwi. W laboratorium izolujemy z tej krwi DNA, w którym znajdują się geny. A geny to nic innego jak komplet instrukcji, które mówią, jak funkcjonujemy, jak wyglądamy, jaki mamy charakter. Co jednak najważniejsze z perspektywy medycznej, w genach zapisane jest także to, jak odpowiadamy na różne leki i na jakie choroby będziemy w przyszłości chorować. Niektórzy z nas, już kiedy się rodzą, mają zapisane w genach, że w przyszłości z dużym prawdopodobieństwem zapadną na chorobę Alzheimera, choroby serca albo na nowotwór. Przez kilkanaście czy kilkadziesiąt lat są zdrowi, a potem choroba się ujawnia. W przypadku bardzo wielu chorób informacja o obciążeniu genetycznym jest bardzo ważna, bo pozwala odpowiednio wcześniej zareagować. Nawet jeśli dużej części chorób nie potrafimy powstrzymać, możemy wdrożyć leczenie, by zapobiec ich najgroźniejszemu skutkom.

Z badań genetycznych korzystają zarówno chorzy, jak i zdrowe osoby, które chcą poznać swoje ryzyko zachorowania na różne choroby. W Warsaw Genomics wykonujemy trzy podstawowe grupy testów genetycznych: diagnozujemy choroby dziedziczne, oceniamy ryzyko zachorowania na nowotwór oraz badamy tkankę nowotworową w celu dobrania najlepszej strategii leczenia onkologicznego. W każdym badaniu zaglądamy we wszystkie geny o znanym związku z chorobą, co jest możliwe dzięki wykorzystaniu metody sekwencjonowania genomowego. To metoda, która od kilku lat jest już standardem diagnostyki genetycznej na Zachodzie. Robimy wszystko, żeby oferować badania wykonywane na światowym poziomie, ale za kwoty, na które przeciętnego człowieka w Polsce może być stać albo które może pokryć szpital. Wszystkie wykonywane przez nas badania kosztują kilkakrotnie mniej niż w zachodnich firmach.

**KB:** Czyli osoba, która wyśle do państwa swoją próbkę, otrzyma informację o obecnym stanie zdrowia i chorobach, które z dużym prawdopodobieństwem mogą ją czekać?

**AW:** W pojedynczym badaniu możemy przeczytać wszystkie geny pacjenta i powiedzieć mu o wszystkich chorobach, jakie zostały w jego genach zapisane. Pierwsze odczytanie genomu (czyli kompletu genów) człowieka trwało 13 lat i było prowadzone przez kilkadziesiąt zespołów badawczych na całym świecie. Dzisiaj można to zrobić w kilka tygodni, w centrum Warszawy. To nieprawdopodobny postęp nauki i medycyny. Równocześnie jednak tak szerokie badania, obejmujące analizę wszystkich genów, wykonuje się rzadko. Większość badań genetycznych wykonujemy w sposób ukierunkowany: pacjent zleca nam przeprowadzenie diagnostyki w kierunku chorób serca, w związku z tym nie zaglądamy w geny związane z innymi chorobami. Choroby serca to zresztą kwestia rzadko poruszana w kontekście badań genetycznych, co jest ogromnym błędem. Studia brytyjskie wykazały, że w Wielkiej Brytanii przeszło pół miliona osób jest genetycznie obciążonych chorobami serca. Wchodzą w to m.in. zaburzenia rytmu, których wykrycie jest niezwykle ważne, szczególnie u osób młodych. Jeśli pacjent nie wie o swojej chorobie i weźmie udział w półmaratonie, to może nie przeżyć wysiłku. Niestety, niejednokrotnie słyszeliśmy już o takich przypadkach. Ale jeżeli zaburzenie zostanie odpowiednio wcześniej wykryte, można je w pełni kontrolować.





Nie umiemy jeszcze naprawiać uszkodzonych genów, natomiast mamy konkretne leki, które możemy wdrożyć, żeby zatrzymać objawy choroby.

### Fragment zapisu wyniku sekwencjonowania DNA (materiał poglądowy)

Inny przykład to rodzinna hipercholesterolemia. To najczęściej występująca choroba genetyczna człowieka, o czym mało kto wie. Jeżeli połowa członków naszej rodziny ma podwyższony poziom cholesterolu, to nie myślimy tylko o zmianie diety, lecz zastanówmy się, czy przypadkiem w rodzinie nie krąży uszkodzony gen, który powoduje chorobę. Rodzinna hipercholesterolemia dotyczy jedną na 500 osób, więc jest naprawdę bardzo częsta. Badanie genetyczne jest w stanie ją wykryć. Jeżeli znajdziemy osobę obciążoną, odpowiednio wcześniej wdrażamy leczenie, aby chronić ją przed wczesnym zawałem serca.

**KB:** Badanie genów wiąże się z pewnym paradoksem, bowiem na część chorób w ogóle nie można zareagować. Dotyczy to choćby niektórych odmian raka.

**AW:** Nie umiemy jeszcze naprawiać uszkodzonych genów, natomiast mamy konkretne leki, które możemy wdrożyć, żeby zatrzymać objawy choroby. W przypadku nowotworów absolutnie nie jest prawdą, że nie można w ogóle zareagować. Mamy możliwość odpowiedniej prewencji, która – jeśli nawet nie pozwoli zapobiec chorobie – pozwoli ją wcześniej wykryć i leczyć.

**KB:** A będziemy umieli naprawiać geny?

**AW:** Już częściowo umiemy. Pierwsza terapia genowa została skutecznie zastosowana już prawie 20 lat temu, kiedy udało się naprawić geny związane z chorobą o nazwie ciężki złożony niedobór odporności. Wyleczona w ten sposób dziewczynka jest teraz dorosłą kobietą i sama zajmuje się poradnictwem genetycznym. Prób z wykorzystaniem terapii genowych podejmuje się naprawdę bardzo dużo, szczególnie w przypadku nowotworów.

**KB:** Wróćmy do prewencji, która niekiedy ma dość radykalny charakter. Amerykańska aktorka Angelina Jolie w następstwie badań genetycznych zdecydowała się na zabieg mastektomii.

**AW:** Nowotwory są szczególną grupą chorób, dla których prewencja wynikająca z badania genetycznego wydaje się dziś kluczowa. Jeżeli chodzi o nowotwór piersi, u każdej kobiety istnieje 13-proc. ryzyko, że w którymś momencie życia na niego zachoruje. Co oznacza, że statystycznie zachoruje jedna na osiem kobiet.

Natomiast jeżeli kobieta urodziła się z chorobotwórczą zmianą (mutacją) w genie, ryzyko zachorowania wzrasta u niej nawet do 85 proc. Nadal nie jest pewne, że zachoruje, ale 85 proc. to już na tyle dużo, by pacjentka wymagała szczególnej opieki i prewencji. Angelina Jolie urodziła się właśnie z taką mutacją i podjęła decyzję, że chce zrobić wszystko w celu zmniejszenia ryzyka zachorowania. W takim przypadku prewencyjna mastektomia oraz usunięcie jajników i jajowodów pozwalają zmniejszyć ryzyko zachorowania na nowotwór o przeszło 90 proc. Niestety w Polsce zabiegi te nie są refundowane. Zatem nasz system opieki zdrowotnej nie ułatwia kobietom podjęcia tej i tak trudnej decyzji. Równocześnie jednak zabieg operacyjny jest tylko jedną z możliwości, jakie ma pacjentka z mutacją. Dla obciążonych genetycznie pacjentów opracowano szczególne wytyczne dotyczące zakresu i częstotliwości badań, jakie powinni wykonywać. W przypadku obciążenia nowotworami piersi od 18. roku życia należy prowadzić samobadanie piersi, od 20. roku życia badać piersi u lekarza, od 25. roku życia co roku wykonywać rezonans magnetyczny bądź USG piersi. To nie uchroni przed nowotworem, ale sprawi, że rak zostanie wykryty w bardzo wczesnym stadium, kiedy jest wyleczalny. Najważniejsze jest jednak to, by każdy pacjent mógł świadomie podejmować decyzje odnośnie swojego zdrowia. W przypadku nowotworów informacja na temat genetycznego obciążenia chorobą bardzo wiele zmienia. Dzięki postępowi medycyny potrafimy zbadać wszystkie geny związane z ryzykiem zachorowania na nowotwory i powiedzieć pacjentowi, czy ma uszkodzony gen i czy wymaga zwiększonego nadzoru onkologicznego.

**KB:** Czy jakkolwiek prewencja będąca następstwem badania genów jest w ogóle w Polsce refundowana?

**AW:** Tak. Jeżeli u pacjenta zostanie znaleziona chorobotwórcza mutacja, może on zostać włączony do programu opieki nad rodzinami wysokiego, dziedzicznie uwarunkowanego ryzyka zachorowania na nowotwory złośliwe, realizowanego przez Ministerstwo Zdrowia, i wtedy wszystkie zalecane dla niego badania są refundowane. W przypadku obciążenia rakiem piersi będzie to roczne badanie rezonansem magnetycznym, w przypadku obciążenia rakiem jelita grubego – kolonoskopia i inne badania konieczne do wczesnego wykrycia rozwijającego się nowotworu.



**KB:** Kiedy w wieku 20 lat dowiadujemy się, że ciąży nad nami swoisty wyrok, czyż nie skazujemy się nie tylko na pewnego rodzaju dyskomfort, ale może nawet na jakiś psychosomatyczny mechanizm – wynikający z nierozpoznanej jeszcze zbyt relacji między ciałem a umysłem – który wręcz przyspiesza wystąpienie choroby?

**AW:** W USA przeprowadzono badanie, które wykazało, że stres po otrzymaniu wyniku wskazującego na obciążenie genetyczne trwa rok. Później człowiek oswaja się z tą informacją i nie tyle ją wypiera – skoro bada się dokładnie według zaleceń – co zaczyna interpretować jako normalną sytuację. Nasz umysł ma niezwykle zdolności adaptacyjne. Rozmawiałam z pacjentkami, u których znajdowaliśmy obciążające mutacje, i ich odczucia były jeszcze inne. Większość z nich właściwie nie wiązała momentu otrzymania wyniku ze stresem. Naszymi pacjentami bardzo często są osoby, które i tak żyją w swoistym lęku przed chorobą nowotworową, ponieważ w ich rodzinach już chorowano. Dopóki pacjent nie wykona badania genetycznego, nie wie, czy odziedziczył uszkodzony gen i jak powinien się badać. Pacjent, który wie o chorobotwórczej mutacji, ma jasno wytyczoną ścieżkę diagnostyki i prewencji nowotworu. Należy poruszyć jeszcze jedną ważną kwestię. Mówiąc o raku piersi, skupiamy się na kobietach, ale należy zaznaczyć, że dokładnie te same geny, które u kobiet powodują raka piersi czy raka jajnika, u mężczyzn powodują raka prostaty i również raka piersi. Więc jeżeli w takich obciążonych rodzinach są synowie, bracia, oni też powinni być badani.

**KB:** Mówiliśmy sporo o raku piersi, teraz o raku prostaty. Wystąpienie jakich jeszcze nowotworów można prognozować?

**AW:** Tak naprawdę wszystkich o znanym podłożu genetycznym. Nowotworem, którego nie wyczytamy z genów, jest rak płuc, niezwykle częsty i zbierający największe śmiertelne żniwo. Wciąż jednak nie wiemy, które geny są związane z jego występowaniem. Dziś nie mamy za to wątpliwości, że jest on przede wszystkim zależny od palenia papierosów. Natomiast jeżeli chodzi o nowotwory uwarunkowane genetycznie, to jest to przede wszystkim rak piersi i jajnika, prostaty, jelita grubego, spora część nowotworów nerki, wątroby, czerniak. Oczywiście nie każdy nowotwór, na który chorujemy, jest uwarunkowany dziedzicznie. Mniej więcej 20 proc. wszystkich zachorowań na nowotwory jest powodowanych wrodzonymi uszkodzeniami genów. Pozostały procent zachorowań jest uwarunkowany czynnikami środowiskowymi. Natomiast ja głęboko wierzę, że im dalej nauka i nasza wiedza będą szły do przodu, tym więcej odkryjemy wrodzonych zmian genetycznych, które sprawiają, że dany pacjent zachoruje na nowotwór. Również w przypadku raka płuc, bo jak wytłumaczyć, że np. ktoś pali papierosy całe życie i nigdy na raka płuc nie zachoruje, a inna osoba nigdy nie paliła, nie była też biernym palaczem, i na raka płuc umiera?

**KB:** Czy da się odpowiedzieć na pytanie, w jakim stopniu wystąpienie poszczególnych rodzajów nowotworów jest uwarunkowane genami, a w jakim czynnikami środowiskowymi?

**AW:** Właściwie we wszystkich nowotworach jest to współdziałanie jednych i drugich czynników. W przypadku raka piersi genetyka odgrywa bardzo istotną rolę, ale jest to też rak zależny od hormonów, więc zawsze zwiększone ryzyko zachorowania mają kobiety, które nigdy nie były w ciąży, nigdy nie karmiły i które stosowały określoną terapię hormonalną. Każde 12 miesięcy karmienia piersią zmniejsza ryzyko zachorowania na raka piersi o kilka procent, każda ciąża – o ok. 10 proc. Rak jelita grubego w dużym stopniu zależy od zmian w naszych genach, ale też od diety i aktywności fizycznej. W Warszaw Genomics prowadzimy program Badamy Geny, który ma na celu powiedzenie każdemu Polakowi, jakie jest jego ryzyko zachorowania na nowotwór. W ramach programu nie tylko wykonujemy badanie genetyczne, ale określamy ryzyko zachorowania na nowotwór w oparciu o trzy rodzaje danych. Po pierwsze, pytamy o dane medyczne pacjenta, takie jak waga i wzrost (z których wyliczamy BMI). Przeprowadzamy wywiad dotyczący aktywności fizycznej, palenia papierosów, diety itd. Kobiety pytamy, czy były w ciąży i ile miesięcy karmiły. Dowiadujemy się, czy pacjent miał kiedykolwiek wykonywaną biopsję, kolonoskopię i czy zdiagnozowano już u niego nowotwór. Druga grupa danych dotyczy przypadków zachorowań na nowotwory w rodzinie pacjenta. Trzecia grupa to już dane genetyczne pacjenta, które otrzymujemy dzięki przeczytaniu sekwencji 70 genów o znanym związku z rakiem. Tym samym w ramach programu Badamy Geny nie tyle udzielamy informacji na temat mutacji, co określamy, jakie jest ryzyko zachorowania pacjenta na nowotwór. Ryzyko średnie dotyczy osób, u których nie stwierdzono w historii rodzinnej, medycznej ani w genach niczego niepokojącego. To są pacjenci, którzy otrzymują standardowe rekomendacje: mammografia w 50. roku życia, kolonoskopia w 55. roku życia, badanie krwi co dwa lata. Nie ma żadnego powodu, żeby w tej grupie zwiększać nadzór onkologiczny. Kolejna grupa to pacjenci o ryzyku podwyższonym. To są zazwyczaj osoby, u których w genach nic nie znajdujemy, ale mają na tyle niepokojącą historię rodzinną, że chcielibyśmy, aby badali się trochę częściej i zaczęli to robić 5–10 lat wcześniej niż przy ryzyku populacyjnym. I w końcu trzecia grupa to pacjenci o ryzyku wysokim, u których znajdujemy chorobotwórczą mutację. W ich przypadku zalecamy znacząco wzmocniony nadzór onkologiczny – powinni się regularnie badać od ok. 18. roku życia i otrzymują od nas jednoznaczne wytyczne, jakiego rodzaju badania wykonywać. Dane statystyczne sugerują, że nawet milion osób w Polsce może być obciążonych wysokim ryzykiem zachorowania na raka. My chcemy znaleźć te osoby i powiedzieć im, co zrobić, żeby nie zachorować lub żeby wykryć chorobę na tyle wcześniej, by dało się ją leczyć.

### **KB: Chcą państwo przebadać wszystkich Polaków?**

**AW:** Chcielibyśmy, żeby nasze badania były dostępne dla każdego. Program Badamy Geny, który prowadzimy wraz z Uniwersyte-tem Warszawskim i Warszawskim Uniwersytem Medycznym, jest unikalny, ponieważ dajemy pacjentom możliwość kompleksowe- go określenia ryzyka zachorowania na nowotwór w najniższej na świecie cenie. Oczywiście nie wiem, czy przebadanie wszystkich Polaków kiedykolwiek się uda, bo nie wszyscy chcą poznać swo- je ryzyko zachorowania na raka, ale na pewno my to wszystkim umożliwiamy. Z prewencją nowotworów niestety wciąż jest u nas problem. Na darmową mammografię nigdy nie zgłasza się więcej niż 50 proc. zaproszonych. Do badań genetycznych na pewno nikogo nie możemy zmuszać.

### **KB: Ustalili państwo cenę podstawowego badania w ramach programu Badamy Geny na dosyć konkurencyj- nym poziomie.**

**AW:** Tak. Badanie kosztuje 399 zł i jest to najlepsza cena w Polsce i na świecie. Dodatkowo – w odróżnieniu od innych jednostek – nie badamy kilku genów, tylko wszystkie 70, odnośnie których wiadomo, że warunkują ryzyko zachorowania na nowotwór. Pod- czas gdy powszechnie w Polsce bada się 4–15 chorobotwórczych punktów w genach, my badamy ponad 16 tys. Nasze badanie jest więc najbardziej kompleksowe, choć ma pewne ograniczenia, ta- kie jak długi czas oczekiwania na wynik i ściśle określony zakres raportowania, ale dla większości naszych pacjentów nie jest to problemem. Długi czas oczekiwania na wynik powodowany jest faktem, że do przeprowadzenia badania musimy zebrać grupę 600 osób. Tylko w takim wariantcie cena jednego badania może wy- nieść 399 zł. Oczywiście ta metoda nie powstała z dnia na dzień, a jest owocem wielu lat wytężonej pracy całego naszego zespołu. W opracowaniu pewnych jej elementów wsparła nas Fundacja na rzecz Nauki Polskiej. Za stworzenie tego rozwiązania współ- założyciel Warsaw Genomics, prof. Krystian Jażdżewski, odebrał w tym roku Nagrodę Polskiej Rady Biznesu. Zrobiliśmy wszystko, by wykonywać badanie w jak najniższej cenie, ale mamy świad- omość, że dla wielu osób to wciąż może być za dużo. Stąd też daje- my pacjentom możliwość poproszenia o wsparcie i staramy się na bieżąco dofinansowywać badania osobom potrzebującym. Jest to możliwe przede wszystkim dzięki darowiznom innych pacjen- tów, za które bardzo dziękujemy. Niestety, liczba osób proszących o wsparcie wciąż przewyższa nasze możliwości dofinansowania badań.

### **KB: Wykorzystają państwo uzyskane wyniki również do dalszych odkryć naukowych?**

**AW:** Realizujemy badanie diagnostyczne, nie naukowe. Oczy- wiście dane na temat znaczenia i częstości zmian genetycznych w polskim społeczeństwie również z tego badania odczytamy i to będzie niezwykle ważna informacja. Mamy także nadzieję, że

dzięki programowi szybciej uda się opracować krajowe wytyczne odnośnie postępowania z pacjentami podwyższonego i wyso- kiego ryzyka nowotworów. Jednocześnie cały czas ulepszamy wszystkie metody, które stosujemy w Warsaw Genomics. Obecnie analizujemy geny wymieniane w rekomendacjach bądź specjali- stycznych bazach danych jako związane z chorobą. Oczywiście, gdy tylko pojawi się wskazanie do badania dodatkowych genów, będziemy je uwzględniać.

### **KB: Będzie trzeba jeszcze raz oddać krew czy przechowają ją państwo na przyszłość?**

**AW:** To zależy od woli pacjenta. W formularzu świadomej zgody na badanie można zaznaczyć, czy wyraża się zgodę na przecho- wywanie materiału genetycznego i wykonanie ponownej ana- lizy wyniku. Jeżeli pacjent takiej zgody nie wyrazi, jego DNA po wydaniu wyniku jest niszczone. W formularzu pytamy także, czy pacjent zgadza się na wykorzystanie jego materiału genetycznego do badań naukowych (oczywiście pozostaje w pełni anonimowy).

### **KB: Wspomniała pani, że projekt Badamy Geny to nie jedy- na rzecz, którą się państwo zajmują w Warsaw Genomics.**

**AW:** Wykonujemy bardzo dużo badań diagnostycznych, które znacząco zmieniają opiekę nad pacjentami. W ofercie mamy trzy rodzaje badań. Pierwsza grupa to badania związane z określaniem ryzyka zachorowania na nowotwory. Dlaczego takie badanie war- to wykonać, wspomniałam już wcześniej. Standardowe badania, które wykonujemy w Warsaw Genomics, różnią się nieco od ba- dania wykonywanego w ramach programu Badamy Geny, przede wszystkim czasem oczekiwania na wynik (zwykle 6–8 tygodni vs. 5 miesięcy w Badamy Geny) oraz zakresem analizy.

Druga grupa badań jest związana z diagnostyką chorób uwa- runkowanych genetycznie, w tym chorób rzadkich. W tej gru- pie znajdują się np. badania w kierunku chorób serca, o których wspominałam, głównie jednak są to choroby, które diagnozujemy u dzieci. Tym samym badanie nie przynosi informacji, jakie jest ryzyko zachorowania w przyszłości, tylko ma na celu sprawdzenie, dlaczego pacjent w danym momencie choruje. Mamy pod opieką bardzo dużo dzieci ze szpitali w całej Polsce, głównie z Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie. To jest bardzo ważna gałąź dia- gnostyki, bowiem nasi mali pacjenci wymagają szybkiej diagnozy i natychmiastowego rozpoczęcia rehabilitacji i leczenia. Dla rodzi- ców chorego dziecka istotna jest także informacja, jakie jest ryzyko zachorowania ich kolejnego dziecka, a określenie tego ryzyka nie jest możliwe bez określenia genetycznego podłoża choroby.

Jak już wspomniałam, we wszystkich naszych badaniach wy- korzystujemy metodę sekwencjonowania genomowego, dzie- ki której badamy dowolną liczbę genów i możemy je badać w całości. Jest to szczególnie ważne w przypadku diagnozowania chorób genetycznych u dzieci. Wcześniej – ze względu na poszu- kiwanie uszkodzenia genu punkt po punkcie i ograniczenia re-

W naszej firmie  
byłam jedną  
z pierwszych osób, które  
zostały przebadane.  
Nie czułabym się  
upoważniona do  
mówienia komukolwiek,  
że warto wykonać  
badanie genetyczne,  
gdybym sama  
go nie zrobiła.

inicjatywa wykonania badania była najczęściej oddolna – pacjenci sami się do nas zgłaszali, nie konsultując tego ze swoim lekarzem. Mam nadzieję, że wraz ze wzrostem liczby wyników badań genetycznych zmieni się świadomość ich roli w medycynie. Nawet reakcja na paracetamol czy ibuprofen jest zapisana w naszych genach. Czy nie warto jej znać?

**KB:** Są też choroby, na które zupełnie nie możemy zareagować, a prawdopodobieństwo ich wystąpienia ma związek z genami, np.

choroby psychiczne, neurodegeneracyjne, alzheimer itp.  
**Czy wykonują państwo również badania w tym kierunku?**

**AW:** Tak, natomiast wymaga to szczególnej zgody pacjenta. Ważne jest, żebyśmy tego typu informacji nie wyczytywali z genów niejako przypadkiem. U większości pacjentów wykonujemy badania ukierunkowane na konkretne choroby i nie zaglądamy w żadne inne geny. Jeśli pacjent wprost spyta nas o obciążenie chorobą Alzheimera, to wykonamy odpowiednie badanie. Aktualne stanowisko europejskich towarzystw genetycznych jest takie, żeby nie badać osób nieletnich pod kątem chorób, które mogą wystąpić w wieku dorosłym.

**KB:** Pracownicy Warsaw Genomics zbadali sobie geny?

**AW:** Oczywiście. Byłam jedną z pierwszych osób, które zostały przebadane. Nie czułabym się upoważniona do mówienia komukolwiek, że warto wykonać badanie genetyczne, gdybym sama go nie zrobiła.

**KB:** Czy odkrycia genetyki rzutują jakoś na pewne podstawowe, istniejące od stuleci przekonania związane z dylematem: przypadek vs. przeznaczenie?

**AW:** To są chyba kwestie nierozwiązywalne i genetyka może na nie odpowiedzieć w nie większym stopniu niż pozostałe gałęzie nauki. Możemy urodzić się w rodzinie zupełnie zdrowej albo też w rodzinie, która jest obciążona chorobą. Pozostaje pytanie, czy przypadkiem, czy też przeznaczeniem jest sytuacja, że dziedziczymy daną chorobę, chociaż mieliśmy na to jedynie 50 proc. szans. Nie znam odpowiedzi. Jestem raczej zwolenniczką wiary w losowość zdarzeń, choć bywa ona bardzo, bardzo okrutna. Nie mam wątpliwości, że rodzimy się z pewnym zasobem możliwości i ograniczeń, które są od samego początku zapisane w naszych genach i w ogromnym stopniu determinują nasze życie. Nasze geny są zbudowane z ponad 3 mld „cegiełek”, a ich układ sprawia, że jesteśmy tacy, a nie inni. Uszkodzenie jednej z nich wystarczy, by spowodować ciężką chorobę. Ktoś kiedyś wyliczył, że szansa urodzenia się z konkretnym układem genetycznym wynosi 1 do  $10^{480000}$ . To przypadek czy przeznaczenie?

fundacyjne – mogło ono trwać nawet kilkanaście lat. W przypadku stosowanej przez nas metody po maksymalnie 10 tygodniach uzyskujemy wynik wskazujący, jakie uszkodzenia znajdują się w zbadanych genach. Nasza metoda znacząco usprawniła działanie wielu poradni genetycznych w Polsce. Zdarza się, że rodziny same się do nas zgłaszają i same płacą za badania, ale dość często udaje się je finansować w ramach opieki szpitalnej. Poza tym dla wielu poradni, z którymi od lat współpracujemy, wykonujemy takie badania zupełnie za darmo.

Trzecia grupa naszych badań jest skierowana do pacjentów, którzy już zachorowali na raka. Od wielu lat w onkologii rozwija się sposób leczenia, który nazwano terapią celowaną. Chociaż jeszcze nie umiemy naprawiać genów, to opracowano już wiele leków działających bezpośrednio na uszkodzenie genu, które doprowadziło do powstania choroby. Aby to wytłumaczyć, trzeba wyjść od tego, czym jest nowotwór. To jest komórka naszego ciała, która nagle zaczyna się zbyt szybko dzielić, a dzieje się tak, ponieważ jakiś gen w tej komórce uległ uszkodzeniu i rozregulował wszystkie mechanizmy kontroli. To nie jest uszkodzenie w całym organizmie – znajduje się wyłącznie w komórkach nowotworowych, które dzięki jego obecności uciekają spod nadzoru pozostałych części naszego organizmu. Tego typu zmiany pojawiają się w trakcie naszego życia jako efekt działania różnych uszkodzających czynników środowiskowych. Przy pewnej ich akumulacji zaczyna się rozwijać nowotwór. Istnieją określone leki, tzw. terapie celowane, które potrafią selektywnie uderzać w uszkodzone geny. Tylko żebyśmy wiedzieli, w co uderzyć, musimy umieć zbadać tkankę nowotworową i stwierdzić, co w niej uległo uszkodzeniu. Wtedy możemy zastosować konkretny lek. Coraz częściej zatem możliwe jest podejście, które pozwala uniknąć standardowej chemioterapii. Od początku leczymy pacjenta w taki sposób, żeby jego komórki nowotworowe na terapię odpowiedziały, a równocześnie by owa terapia była dla niego jak najmniej obciążająca. Taki schemat leczenia jest zalecany m.in. w raku jelita grubego.

Nowoczesne badania genetyczne naprawdę zmieniają życie pacjentów i ułatwiają pracę lekarzom. W Wielkiej Brytanii w lipcu tego roku ukazał się raport „Generation genome” – opracowany przez naczelnego lekarza kraju, prof. Sally Davies – który jednoznacznie wskazuje, że badanie genetyczne powinno być kluczowym elementem warunkującym opiekę nad pacjentami.

**KB:** Nie tylko w onkologii?

**AW:** W przypadku każdej choroby zanim pacjent zostanie skierowany na jakąś ścieżkę diagnostyki bądź terapii, powinno zostać odczytane to, co ma w genach. Na początku naszej działalności

# Nowy model wzrostu dla Polski

## – głos w dyskusji

Adam Glapiński

**P**atrząc na bieżące dane z gospodarki światowej i analizując prognozy jej wzrostu, można dojść do wniosku, że w dekadę po wybuchu globalnego kryzysu finansowego nie ma już po nim śladu. Gospodarki dotknięte w największym stopniu kryzysem wróciły na tory – wydaje się – stabilnego wzrostu. Gospodarka amerykańska, w której kryzys się rozpoczął, jak i gospodarka strefy euro osiągną w tym roku wysokie – jak dla nich – tempa wzrostu gospodarczego. Nie sprawdziły się również obawy odnośnie istotnego spowolnienia w tak ważnej dla światowego wzrostu gospodarce Chin, w której PKB wzrośnie w tym roku o około 7 proc. rok do roku, podobnie jak w Indiach. Duże gospodarki krajów rozwijających się pozostaną więc motorami światowego wzrostu. Również większość krajów Europy Środkowo-Wschodniej, w tym Polska, skutecznie zmniejsza dystans rozwojowy w stosunku do państw wysoko rozwiniętych.

Powstaje jednak pytanie, czy te wyraźnie pozytywne zmiany są rzeczywiście trwałe. Część ekonomistów zwraca bowiem uwagę, że do ugruntowanego powrotu gospodarki światowej na trajektorię stabilnego długookresowo wzrostu może być jeszcze dość daleko. Dobry stan koniunktury w gospodarce światowej może być bowiem związany z energicznymi działaniami pro wzrostowymi głównych banków centralnych (Fed, EBC, Bank Anglii, Bank Japonii) – polityką bardzo niskich czy wręcz ujemnych stóp procentowych i programami luzowania ilościowego. Polityka ta ma jednak swoje ograniczenia, nie można prowadzić jej w nieskończoność, gdyż powoduje narastanie nierównowag i może mieć odległe negatywne skutki uboczne, co jest przedmiotem zaniepokojenia wielu ekonomistów<sup>1</sup>. Trudno też oczekiwać, aby tego typu działania stanowiły skuteczne remedium na istotne problemy strukturalne ograniczające w dłuższym horyzoncie czasowym wzrost gospodarczy wielu krajów. A tych problemów jest sporo. Jednym z nich jest niewątpliwie rosnące rozwarstwienie dochodowe społeczeństw, szczególnie w krajach wysoko rozwiniętych. Badania pokazują, że na wczesnym etapie rozwoju rozwarstwienie takie może sprzyjać wzrostowi gospodarczemu – głównie poprzez akumulację kapitału, niezbędnego do budowy fabryk, zakładów przemysłowych czy realizacji innych kapitałochłonnych zazwyczaj projektów inwestycyjnych, takich jak chociażby projekty infrastrukturalne. Na późniejszym etapie rozwoju, kiedy kapitał fizyczny rozumiany jako zasób środków finansowych i materiałowych osiąga już pewien określony poziom, większe znacze-



© NBP



nie dla podtrzymania wysokiego tempa wzrostu zaczyna mieć kapitał ludzki. Nowoczesna gospodarka wymaga bowiem dobrze wykształconych i wyedukowanych pracowników, dysponujących umiejętnościami, które pozwolą im obsługiwać nawet najbardziej skomplikowane urządzenia, maszyny i procesy. Jednocześnie muszą to być pracownicy, którzy dzięki swojej innowacyjności i umiejętnościom adaptowania się do nowych warunków będą potrafili wspótworzyć małe, a z czasem pewnie coraz większe firmy, stanowiące dziś koło napędowe wielu szybko rozwijających się gospodarek.

Zmienia się również sam charakter rynku pracy. Kiedyś pracowano niemal przez całe życie zawodowe w tej samej firmie, ewentualnie w firmach o zbliżonym profilu. Dzisiaj czymś naturalnym, zwłaszcza wśród młodych ludzi, jest zmiana pracy co kilka lat. To wymaga jednak po pierwsze bardziej wszechstronnego wykształcenia, po drugie – otwartości na zmiany i zdolności adaptowania się do nowych warunków pracy, czyli czegoś, co mieści się w definicji kapitału ludzkiego. Mniejsze zróżnicowanie dochodów pozwala większej liczbie gospodarstw domowych przeznaczyć odpowiednie środki na edukację dzieci i przygotowanie ich do późniejszego życia zawodowego. Dane pokazują wyraźnie, że te kraje z grupy krajów rozwiniętych, które cechowały się niskim poziomem kapitału ludzkiego, rozwijały się w ciągu ostatnich kilku dekad najwolniej.

Zjawisko wysokiego i rosnącego zróżnicowania dochodów było w ciągu kilku dekad poprzedzających globalny kryzys finansowy analizowane zwykle w odniesieniu do krajów rozwijających się, gdzie nierówności są szczególnie duże, występują na masową skalę i częstokroć przybierają postać skrajnej biedy. Natomiast włączenie nierówności dochodowych, majątkowych i – szerzej – ekonomicznych do analiz wzrostu gospodarczego krajów wysoko rozwiniętych jest zjawiskiem stosunkowo nowym. Jest to jednak o tyle zrozumiałe, że – jak zwraca uwagę Organizacja Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD)<sup>2</sup> – dopiero od schyłku lat 90. ubiegłego wieku nierówności dochodowe w krajach wysoko rozwiniętych zaczęły wyraźnie rosnać. Według tego źródła od połowy lat 80. XX w. przez kolejnych 30 lat współczynnik Giniego – najpopularniejsza miara nierówności dochodowych – wzrósł w krajach OECD z 0,29 do 0,32, zaś relacja dochodów 10 proc. najzamożniejszych obywateli do dochodów 10 proc. najmniej zamożnych wzrosła z 7 do 9,5. Wśród głównych przyczyn wzrostu nierówności w tym okresie wymienia się przede wszystkim wpływ przyspieszenia tempa globalizacji (w tym utraty konkurencyjności w wielu tradycyjnych gałęziach wytwarzania i przesunięcia produkcji do krajów o niskich kosztach wytwarzania) oraz proces deregulacji rynków finansowych (zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii)<sup>3</sup>. Nie bez znaczenia są również wieloletnie zaniedbania w zakresie polityki edukacyjnej w części krajów, w szczególności dostosowania jej do wyzwań, jakie niesie za sobą globalizująca się i coraz bardziej innowacyjna gospodarka.

Narastanie problemu nierówności w krajach wysoko rozwiniętych zaowocowało bardzo wieloma nowymi badaniami nad

związkami między nierównościami a wzrostem gospodarczym. Badania te miały przede wszystkim na celu weryfikację hipotezy, podnoszonej zwłaszcza po globalnym kryzysie finansowym, o negatywnym wpływie rosnącego zróżnicowania sytuacji materialnej ludności na potencjał rozwojowy gospodarek<sup>4</sup>. Wiele z tych badań prowadzonych było przez wiodące instytucje międzynarodowe, takie jak OECD, Międzynarodowy Fundusz Walutowy (MFW) i Bank Światowy, często w związku z bardzo praktycznymi potrzebami realizowanych przez nie programów gospodarczych w krajach szczególnie dotkniętych nierównościami. W byłych krajach komunistycznych, w tym w Polsce, problematyka narastania nierówności społecznych i wpływu tego zjawiska na długookresowe tempo wzrostu gospodarczego została podjęta stosunkowo niedawno. Większa liczba opracowań i analiz zaczęła bowiem powstawać dopiero na przełomie pierwszego i drugiego dziesięciolecia bieżącego wieku<sup>5</sup>. Wnioski z tych prac badawczych okazały się w zasadzie jednoznaczne: nierówności ekonomiczne wpływają ograniczająco na wzrost gospodarczy. Co więcej, wpływ ten jest silny. Na przykład zdaniem F. Cingano<sup>6</sup> obniżenie nierówności o 1 punkt procentowy wartości współczynnika Giniego zwiększa stopę wzrostu gospodarczego w krajach rozwiniętych o 0,1 punktu procentowego rocznie. Ponieważ w ciągu ostatnich 20 lat współczynnik Giniego przeciętnie wzrósł w krajach OECD o 3 punkty procentowe, oznaczałoby to skumulowaną stratę 8,5 proc. produktu krajowego brutto na przestrzeni 25 lat. W przypadku Meksyku i Nowej Zelandii, w których nierówności też istotnie wzrosły w tym okresie (1990–2010), skumulowana strata PKB przekroczyłaby 10 proc. Szacunki autorów związanych z MFW są tutaj zbliżone<sup>7</sup>.

Odpowiedzią na problem hamowania wzrostu gospodarczego przez nierówności i wykluczenie stała się tzw. koncepcja wzrostu inkluzywnego<sup>8</sup>. Podstawą tej koncepcji są wspomniane wyżej wyniki badań, które dodatkowo zdezawuowały dość powszechnie formułowaną wcześniej tezę o zamienności pomiędzy wzrostem gospodarczym a skalą redystrybucji PKB. W efekcie wyniki tych badań pokazały, że dbałość ze strony rządów o bardziej równomierny podział owoców wzrostu, w tym dokonywanie transferów do osób uboższych (finansowanych z podatków płaconych przez najbogatszych), nie musi obniżać długofalowego tempa wzrostu gospodarczego. Jako relatywnie nowa koncepcja wzrostu inkluzywny nie ma jeszcze jednoznacznej i bardzo precyzyjnej definicji, natomiast istota tej koncepcji rysuje się dość jasno. Za inkluzywny można uważać taki wzrost gospodarczy, który będzie w sobie łączył zauważalną poprawę przeciętnego poziomu życia, mierzonego PKB per capita (ale potencjalnie także innymi miernikami), z poprawą, a przynajmniej stabilizacją, sytuacji najbiedniejszych grup społecznych. W efekcie wzrost taki powinien prowadzić do zmniejszenia nierówności ekonomicznych i społecznych. Taki sens mają między innymi definicje wzrostu inkluzywnego, które można znaleźć we wskazanych przeze mnie publikacjach Banku Światowego, OECD i MFW.

Wiele zjawisk obecnych dzisiaj w polskim systemie społeczno-ekonomicznym idealnie wpisuje się w problematykę inkluzywnego wzrostu. Z jednej strony rozwój naszej gospodarki w okresie transformacji był bardzo dynamiczny. Dochód narodowy per capita (w USD, w ujęciu parytetu siły nabywczej) w latach 1990–2016 zwiększył się ponad 2,5-krotnie. Wzrost ten był stosunkowo stabilny i nawet w bardzo trudnym okresie globalnego kryzysu finansowego naszemu krajowi udało się uniknąć recesji. Jednak nie można zapomnieć, że okres potransformacyjny to jednocześnie czas nadrobienia wieloletnich zaległości inwestycyjnych, przyciągania zagranicznych inwestorów, budowania infrastruktury, ale też gromadzenia rodzimego kapitału. Stąd pojawienie się pewnych nierówności w redystrybucji dochodów było w tym okresie trudne do uniknięcia. Ale tym większe rodzi to wyzwania obecnie, aby te nierówności zmniejszyć i dać Polsce impuls pro wzrostowy na kolejne lata.

Ważnym czynnikiem prorozwojowym stała się akcesja do UE, przynosząca w wielu sferach wyraźną poprawę poziomu zaspokojenia potrzeb społecznych. Ponieważ wzrost gospodarczy w krajach rozwiniętych był w tym czasie wyraźnie wolniejszy niż w Polsce, zwłaszcza w okresie wspomnianego kryzysu finansowego, istotnie zmniejszył się także nasz dystans w stosunku do tej grupy krajów, choć nadal pozostaje on dość znaczny. Trwałość wzrostu gospodarczego zawdzięczamy w dużej mierze temu, że w polskiej gospodarce nie występowały istotne nierównowagi ekonomiczne, które w innych krajach przyczyniły się do wystąpienia kryzysu lub też pogłębienia jego negatywnych konsekwencji. Jednakże mimo solidnych fundamentów makroekonomicznych, rozwiniętego i stabilnego systemu finansowego, relatywnie dobrego, choć nadal niewystarczającego, poziomu edukacji Polaków i dużego postępu w zakresie infrastruktury w Polsce występują znaczące nierównowagi społeczne. Tego rodzaju nierównowagi nie zagrażają gwałtownym odwróceniem dotychczasowego trendu wzrostowego i kryzysem finansowym, mogą jednak mieć doniosłe konsekwencje dla wzrostu gospodarczego i jego jakości w długim okresie. Zwrócić uwagę trzeba tu przede wszystkim na najpoważniejszy chyba problem (poza jakością edukacji)<sup>9</sup>, czyli bardzo złą sytuację demograficzną. Z oscylującym wokół wartości 1,31 współczynnikiem dzietności kobiet jesteśmy państwem o jednym z najniższych wskaźników przyrostu naturalnego na świecie, a w rezultacie także jednym z najszybciej starzejących się społeczeństw w Europie. Problemy demograficzne potęguje fala emigracji Polaków, jaka nastąpiła po naszej akcesji do UE. W globalnej gospodarce zjawisko migracji jest naturalne i samo w sobie może być nawet korzystne, o ile jest to migracja okresowa. Niestety, skłonność polskich emigrantów do powrotu jest cały czas niewielka. W efekcie w wielu przypadkach po pewnym czasie do decyzji o emigracji skłaniają się całe rodziny, co prowadzi do dalszego osłabiania lub wręcz zaniku więzi z krajem ojczystym. Efekty tych zjawisk są o tyle ważne, że często emigrują osoby bardzo dobrze wykształcone, wykonujące tzw. zawody

deficytowe. Ubytki te jedynie częściowo kompensuje imigracja do Polski. Dzieje się tak między innymi dlatego, że – jak pokazuje najnowsze badania, np. Światowego Forum Ekonomicznego<sup>10</sup> – na 137 analizowanych krajów znajdujemy się na 113. pozycji pod względem możliwości pozyskiwania najbardziej utalentowanych zagranicznych pracowników. Końcowy bilans tych przepływów jest niekorzystny: w Polsce w niektórych zawodach deficyt wykwalifikowanych pracowników jest już tak duży (pielęgniarki, lekarze niektórych specjalności, spawacze itd.), że stanowi zagrożenie dla sprawnego funkcjonowania tych dziedzin. Inaczej mówiąc, saldo migracji w Polsce, choć w ostatnich latach coraz lepiej zbilansowane ilościowo, nie gwarantuje utrzymania dotychczasowego poziomu i struktury wykształcenia zawodowego, wpływającego przecież na wartość kapitału ludzkiego.

Gdyby analizować wyłącznie zagregowane wskaźniki zróżnicowania dochodowego, trudno byłoby zidentyfikować i wyjaśnić skalę nierówności w Polsce i tym samym ocenić, czy wzrost ten jest, czy nie jest inkluzywny. W Polsce miary zróżnicowania dochodów kształtują się bowiem na przeciętnym – w skali Europy – poziomie. I tak w 2014 r. współczynnik nierówności dochodowych Giniego w Polsce wynosił ok. 30,8 (przy średniej dla UE28 wynoszącej 31). Analizując kształtowanie się tego indeksu w czasie, trzeba także zauważyć jego stopniowy i dość wyraźny spadek – w 2004 r. wskaźnik ten wynosił ok. 35 proc. Drugim z ważnych indeksów jest odsetek osób zagrożonych ubóstwem lub wykluczeniem społecznym. Zgodnie z danymi Eurostatu w 2015 r. zjawisko to w naszym kraju obejmowało około 23,4 proc. populacji, przy czym samo zagrożenie ubóstwem – ok. 17,6 proc. To wielkości praktycznie identyczne ze średnią unijną (23,7 proc. i 17,3 proc.). Również w przypadku wskaźnika ubóstwa obserwujemy jego wyraźny spadek – zgodnie z danymi GUS<sup>11</sup> zmniejszyło się ono z 17,6 proc. osób w gospodarstwach domowych w 2008 r. do 13,9 proc. w 2016 r. Na czym polega problem?

Po pierwsze średnia niekoniecznie jest tutaj dobrym punktem odniesienia. Wiemy dobrze, że sama Unia nie rozwija się od wielu lat równomiernie i są kraje, gdzie tempo wzrostu jest szybsze, a są takie, które od dłuższego czasu pozostają w stagnacji. W szczególności niskim poziomem nierównowag społecznych cechują się kraje skandynawskie, które od wielu lat notują wysokie tempo wzrostu gospodarczego i w których przede wszystkim poprawiły się znacząco poziom jakości życia. Co ważniejsze, poprawę tę widzą i doceniają również sami mieszkańcy tych krajów – to nie przypadek, że Duńczycy postrzegają siebie jako jedno z najszczęśliwszych społeczeństw na świecie. Niskie zróżnicowanie dochodowe widoczne jest także w Czechach, które – pomimo przejściowych zawirowań gospodarczych – również rozwijają się bardzo równomiernie i pewnie już niedługo pod względem PKB per capita przekroczą średnią unijną.

Druga kwestia: wskaźniki nierówności są w każdym kraju przeważnie analizowane na poziomie zagregowanym i scentralizowanym. Bardziej zdezagregowane podejście pokazuje, że na

## Jeżeli chcemy utrzymać dotychczasowe wysokie tempo wzrostu gospodarczego i jednocześnie poprawić jego jakość, konieczne są działania zmierzające do objęcia korzyściami wzrostu szerszych grup społecznych.

przykład wskaźnik zagrożenia ubóstwem jest silnie zróżnicowany w różnych grupach społecznych. O ile przeciętny wskaźnik ubóstwa skrajnego w 2015 r. wynosił ok. 6,5 proc., to w przypadku gospodarstw domowych z co najmniej czworgiem dzieci na utrzymaniu – aż 18 proc. Na wsiach był on trzykrotnie większy (11 proc.) niż w miastach (3,5 proc.). Z kolei w przypadku osób z wykształceniem co najwyżej gimnazjalnym był on niemal 30-krotnie większy (16,5 proc.) niż w grupie osób z wyższym wykształceniem (0,6 proc.). Ubóstwo skrajne jest też silnie zróżnicowane terytorialnie – w województwie podkarpackim w 2016 r. było ono niemal trzykrotnie większe (8,8 proc.) niż w mazowieckim (3,2 proc.).

Po trzecie wreszcie, analizując problem wzrostu inkluzywnego, trzeba pamiętać, że nierówności dochodowe nie są jedynym wyznacznikiem tego problemu. Ważne są także inne obszary wykluczenia. Niezwykle istotną płaszczyzną jest na przykład tzw. wykluczenie finansowe. Można je różnie definiować i mierzyć<sup>12</sup>. Gdyby bazować na podstawowym kryterium, jakim jest brak konta bankowego, można szacować<sup>13</sup>, że w 2016 r. wykluczeniem takim było objętych około 17 proc. badanych Polaków. Jednocześnie w 2016 r. konta bankowego nie posiadało aż 37 proc. osób z wykształceniem podstawowym, 39 proc. osób w wieku powyżej 65 lat oraz 25 proc. gospodarstw domowych o dochodach do 700 zł per capita (jedynie 9 proc. przy dochodach powyżej 1,2 tys. zł). Na wsiach odsetek takich osób był dwukrotnie większy (25 proc.) niż w miastach o liczbie mieszkańców powyżej 500 tys. Warto podkreślić, że skutki wykluczenia finansowego mogą być wielorakie i często dramatyczne – od braku możliwości sfinansowania wydatków edukacyjnych po problemy związane z zakupem środków leczniczych. Te trudne sytuacje kierują zresztą często takie gospodarstwa domowe na nieregulowany rynek pożyczek, na którym łatwo utracić zdolność obsługi zobowiązań. W efekcie w skrajnych przypadkach nawet niewielkie pożyczki zaciągane na tym rynku mogą prowadzić do tak poważnych skutków, jak utrata mieszkania.

Negatywne konsekwencje wzrostu nieinkluzywnego powodują, że niezwykle ważne – z punktu widzenia polityki gospodarczej – jest pytanie o instrumenty pozwalające na złagodzenie tego problemu. Rekomendacje dla polityki gospodarczej zorientowanej na działania sprzyjające zarówno wzrostowi gospodarczemu, jak i utrzymywaniu umiarkowanych nierówności ekonomicznych można najogólniej podzielić na pasywne i aktywne. Do polityk pasywnych zaliczać się będą działania realizowane za pomocą narzędzi podatkowych, w tym progresji podatkowej, dzięki której możliwa jest redystrybucja i transfery finansujące potrzeby mniej zamożnych gospodarstw domowych. Niestety, ten rodzaj interwencji ze strony polityki gospodarczej należy jednak ocenić jako co najwyżej umiarkowanie skuteczny w rozwiązaniu problemu nierówności ekonomicznych. Przede wszystkim środki polityki fiskalnej, zwłaszcza związane z transferami do gospodarstw do-

mowych o niższych dochodach, odnoszą się raczej do objawów zjawiska nierówności niż do jego przyczyn. Zwiększone obciążenia podatkowe zamożniejszych gospodarstw domowych mogą powodować przy tym zmniejszenie ich skłonności do inwestowania i podejmowania działalności gospodarczej. Ponadto progresja podatkowa *per se* niekoniecznie musi przyczyniać się do wspierania tych grup społecznych, które dla długookresowego wzrostu są najistotniejsze, czyli rodzin posiadających dzieci.

Główny ciężar powinien spoczywać na polityce aktywnej, tj. działaniach zorientowanych na eliminację przyczyn odradzających się nierówności ekonomicznych i społecznych, a wpływy będące wynikiem stosowania ostrożnej progresji podatkowej powinny służyć ich finansowaniu. Taki charakter mają przede wszystkim działania polityki gospodarczej wobec sfer edukacji i rynku pracy. W ramach polityki edukacyjnej szczególne znaczenie ma eliminacja barier w dostępie do edukacji dzieci z mniej zamożnych warstw społecznych, w tym poprzez wsparcie materialne rodzin (transfery, stypendia), co wymaga harmonizacji polityki edukacyjnej z polityką rodzinną. Bardzo ważne są też programy kształcenia ustawicznego, szczególnie istotne w przypadku młodzieży z warstw biedniejszych, i lepsze powiązanie programów nauczania z potrzebami rynku pracy. Efektem tych działań powinno być skrócenie drogi pomiędzy wykształceniem a zatrudnieniem, a w konsekwencji poprawa perspektyw życiowych, w tym materialnych, młodzieży z warstw biedniejszych.

W zakresie rynku pracy włączający charakter mają aktywne polityki rynku pracy względem grup „słabszych”, do których możemy zaliczyć osoby młodsze, ludzi w wieku przedemerytalnym, matki z małymi dziećmi czy też osoby niepełnosprawne. Osiągana w ten sposób eliminacja segmentacji rynku pracy wzmacnia ochronę pracowników i poprawia jakość świadczonej pracy. Pełniejszemu i trwalszemu włączeniu w rynek pracy „słabszych” grup sprzyjają też polityki uzupełniające, jak polityka mieszkaniowa (np. upowszechnienie tanich mieszkań na wynajem), łagodząca bariery mobilności przestrzennej. Podobne efekty przynosi rozbudowa infrastruktury drogowej i kolejowej oraz sprawny system transportu zbiorowego.

W świetle powyższych, siłą rzeczy ogólnych wskazań powstaje pytanie, na ile w Polsce podejmowane są działania wspierające wzrost inkluzywny. Jak bowiem wynika choćby z bardzo syntetycznego przeglądu przyczyn i skutków inkluzywnego i nieinkluzywnego rozwoju polskiej gospodarki, problem ten od dawna jest dużym i palącym wyzwaniem dla polityki gospodarczej i społecznej. Mimo tego przez wiele lat działania zaradcze podejmowane były jedynie w niektórych obszarach. W zasadzie pierwszym kompleksowym projektem jest dopiero Strategia na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju (SOR). Przede wszystkim *explicite* przyjęto

w niej, że jest ona ukierunkowana na inkluzywny rozwój społeczno-gospodarczy, a podstawową siłą napędową rozwoju jest spójność społeczna. Choć w strategii tej główną rolę odgrywają przedsiębiorstwa i ich produktywność, konkurencyjność itd., jej cele mają być osiągnięte także poprzez politykę spójności, obejmującą aktywną działalność państwa – również w wymiarze terytorialnym – w obszarach redystrybucji, regulacji, instytucji oraz otoczenia makroekonomicznego. Strategia ta zakłada między innymi, że w sferze społecznej efektem jej realizacji będzie ograniczenie wykluczenia społecznego i ubóstwa oraz innego typu nierówności społecznych. W jej ramach przyjmuje się m.in. osiągnięcie skorygowanego realnego dochodu do dyspozycji na mieszkańca według parytetu siły nabywczej w wysokości średniej dla UE28, obniżenie wskaźnika zagrożenia ubóstwem do 17 proc. w 2030 r. czy redukcję współczynnika Giniego do 27 w tej właśnie perspektywie. Nie wchodząc w szczegóły SOR, warto zwrócić uwagę na dwa bardzo ważne obszary, w których rząd podejmuje działania zmierzające do nadrobienia wieloletnich zaniedbań: wsparcie rodzin wychowujących dzieci i zwiększenie dostępności mieszkań.

Strategicznym programem wsparcia rodzin w Polsce jest realizacja projektu „Rodzina 500 plus”. Choć działa on stosunkowo krótko, program ten już przyniósł szereg bardzo wyraźnych skutków pozytywnych właśnie w obszarze redukcji skali ubóstwa i wykluczenia społecznego. Przede wszystkim radykalnie zmniejszył on skalę skrajnego ubóstwa. W 2016 r. udział osób żyjących w skrajnym ubóstwie zmniejszył się w stosunku do 2015 r. aż o 2 punkty procentowe – do 5 proc. W podobnym stopniu zmniejszył się obszar ubóstwa relatywnego. Jeszcze większy był ten spadek w grupach szczególnie zagrożonych tym zjawiskiem. W przypadku rodzin z trojgiem dzieci wskaźnik ten spadł niemal o połowę – z 9 proc. do 4,7 proc., a w rodzinach z co najmniej czworgiem dzieci – o 4 punkty procentowe. Znacząco – o 3,3 punktu procentowego – zmniejszyła się skala ubóstwa na wsi. Poprawa sytuacji finansowej wielu rodzin, zwłaszcza wielodzietnych, przełożyła się także na zmiany ich aspiracji edukacyjnych czy w zakresie rekreacji i wypoczynku.

Nabiera rozpędu program „Mieszkanie plus”. Szacunki dotyczące skali deficytu mieszkań w Polsce różnią się, ale zazwyczaj nie są one niższe niż milion brakujących lokali. Utrudniony dostęp do tego rynku mają zwłaszcza osoby z niewielką lub bez zdolności kredytowej. Program ten daje realną szansę właśnie tej grupie obywateli. Trzeba przy tym wspomnieć, że problem zbyt drogiej w stosunku do dochodu mieszkań i nieuregulowany rynek najmu mogły mieć wpływ na decyzje Polaków o podjęciu emigracji zarobkowej, bo po prostu w krajach Europy Zachodniej za otrzymywaną pensję byli oni w stanie wynająć mieszkanie. Wcześniejsze założenie, że rynek w Polsce sam się ureguje, okazało się, jak widać, bardzo kosztownym błędem.

Podsumowując: jeżeli chcemy utrzymać dotychczasowe wysokie tempo wzrostu gospodarczego i jednocześnie poprawić

jego jakość, konieczne są działania zmierzające do objęcia korzyściami wzrostu szerszych grup społecznych. Tak aby z jednej strony zwiększyć wartość kapitału ludzkiego i stworzyć warunki długofalowego wzrostu, biorąc pod uwagę fakt, że w globalnej gospodarce konkurujemy jakością pracy, a nie jej ceną, a z drugiej, by obywatele mieli przekonanie, że ten wzrost jest również dla nich.

Adam Glapiński – prezes Narodowego Banku Polskiego. Profesor nauk ekonomicznych, wykładowca renomowanych uczelni, w tym Szkoły Głównej Handlowej. Członek International Joseph A. Schumpeter Society. Wcześniej minister, poseł, senator. Przewodniczący wielu rad nadzorczych spółek, prezes zarządu. Członek Rady Polityki Pieniężnej i zarządu Narodowego Banku Polskiego.

<sup>1</sup> M. Feldstein, „The Fed’s Unconventional Monetary Policy. Why Danger Lies Ahead”, Foreign Affairs, May/June 2016 Issue; P. Turner, „The exit from non-conventional monetary policy: what challenges?”, BIS Working Papers No. 448.

<sup>2</sup> OECD (2011), „Divided We Stand: Why Inequality Keeps Rising”, Paris, 2011.

<sup>3</sup> K. Pichelmann (2015), „When ‘Secular Stagnation’ meets Piketty’s capitalism in the 21st century. Growth and inequality trends in Europe reconsidered”, European Commission, Directorate-General for Economic and Financial Affairs, Economic Papers 551, June 2015; J. D. Ostry, A. Berg, C. G. Tsangarides (2014), „Redistribution, inequality, and growth”, International Monetary Fund (IMF), IMF Staff Discussion Notes 14/02.

<sup>4</sup> Kwestia kierunku, w jakim nierówności oddziałują na wzrost gospodarczy, pozostawała poprzednio spornym problemem w literaturze przedmiotu. Na przykład R. Barro, badając wpływ nierówności na dużej grupie krajów, otrzymuje związek nieliniowy: nierówności ograniczają wzrost w krajach biednych, natomiast są czynnikiem pro wzrostowym w krajach zamożnych – por. R. J. Barro (2000), „Inequality and Growth in a Panel of Countries”, in: Journal of Economic Growth, Vol. 5, No. 1, pp. 5–32.

<sup>5</sup> Warto też zasygnalizować, że katalizującą rolę odegrały tu również, związane m.in. z badaniami wykluczenia finansowego, inicjatywy NBP – por. np. z konferencją naukową „Jak zmniejszyć wykluczenie finansowe w Polsce?”, Warszawa, 13 grudnia 2010 r.

<sup>6</sup> F. Cingano (2014), „Trends in Income Inequality and its Impact on Economic Growth”, OECD Social, Employment and Migration Working Papers, No. 163, OECD Publishing, Paris.

<sup>7</sup> Na przykład J. D. Ostry, A. Berg, Ch. G. Tsangarides (2014), „Redistribution, Inequality, and Growth”, IMF Discussion Note, 2014.

<sup>8</sup> Wydaje się, że sam termin *inclusive growth* został rozpropagowany przez Bank Światowy (E. Ianchovichina, S. Lundstrom, 2009, „Inclusive Growth Analytics. Framework and Application”, Policy Research Working Paper 4851, The World Bank).

<sup>9</sup> Poland: Accelerating Growth with Inclusion, The World Bank.

<sup>10</sup> Por. Global Competitiveness Report 2017–18, The World Economic Forum, 2017. Raport ten wskazuje jednak też na pewną poprawę w 2016 r., jeśli chodzi o motywację najzdolniejszych Polaków do pozostania w kraju – awans z 99. na 89. pozycję.

<sup>11</sup> Por. zasięg ubóstwa ekonomicznego w Polsce w 2016 r. (na podstawie badania budżetów gospodarstw domowych). GUS, Warszawa 2017.

<sup>12</sup> Por. np. G. Ancyparowicz, M. Stanisławski, Etiologia i następstwa wykluczenia finansowego we współczesnej Polsce, 2014.

<sup>13</sup> Por. D. Maison, Postawy Polaków wobec obrotu bezgotówkowego. Raport z badania 2016 i analiza porównawcza z danymi z 2009 i 2013 r., NBP 2017.



# Polska Agencja Inwestycji i Handlu, czyli filozofia synergii

O nowej metodzie wspierania  
zagranicznych inwestorów  
i krajowych eksporterów  
z **Tomaszem Pisulą**  
rozmawia Marzena Tataj.

**Marzena Tataj:** W jaki sposób formułowany jest obecnie polski komunikat płynący do zagranicznych inwestorów mający na celu zachęcenie ich do outsourcingu procesów biznesowych czy lokowania kapitału w Polsce?

**Tomasz Pisula:** Pozwoli pani, że zacznę od spojrzenia w skali makro. Polska to przede wszystkim skarbnica talentów, wysokich kompetencji, specjalistycznej wiedzy, rozwiniętej myśli inżynierskiej i technologicznej. Pozostając w czołówce Europy pod względem liczby ludności, jesteśmy bardzo chłonnym rynkiem zbytu, a siła nabywcza Polaków, dzięki umacniającej się konsekwentnie gospodarce, staje się coraz większa. Konsumpcja, także dóbr luksusowych, stale rośnie, płace ulegają waloryzacji, Polacy kupują chętniej i częściej. Konkludując, inwestorzy zagraniczni znajdą u nas zarówno wykwalifikowanych pracowników, solidnych partnerów biznesowych, lokalnych dostawców, jak i stałych odbiorców końcowych, indywidualnych i korporacyjnych, swojej oferty produktowej czy usługowej. Siła przyciągania inwestycji do Polski tkwi zatem w jej mieszkańcach, co widoczne jest chociażby w intensywności rozwoju sektora usług dla biznesu, generującego wiele nowych miejsc pracy, napędzającego prawdziwy boom



**Dr Tomasz Pisula** – prezes Polskiej Agencji Inwestycji i Handlu SA. W 2016 r. dyrektor Departamentu Jednostek Nadzorowanych i Podległych w Ministerstwie Rozwoju. Zaangażowany w powołanie Polskiego Funduszu Rozwoju. W latach 2015–2016 menedżer public policy Banku Zachodniego WBK. W latach 2006–2014 współtworzył i zarządzał Fundacją Wolność i Demokracja, zajmującą się kwestiami praw człowieka i demokracji. W latach 1998–2003 współpracował z senatorem Zbigniewem Romaszewskim w Fundacji Obrony Praw Człowieka.

branży nieruchomości komercyjnych. Ostatnie inwestycje wielkich graczy branży finansowej w Polsce zwiastują dalszy, niesłabnący rozkwit tego segmentu. Wejście J.P. Morgan do Polski, gdzie działają już takie firmy, jak RBS, Citi, Goldman Sachs czy MoneyGram, jest sygnałem dla światowego rynku finansowego, że Polska buduje pozycję europejskiego hubu usług korporacyjnych. Inwestycja J.P. Morgan to jeden z najważniejszych projektów w branży finansowej i potwierdzenie, że Polska odnosi znaczące sukcesy w zdobywaniu inwestycji o globalnym znaczeniu i przyciąganiu wartościowych miejsc pracy. Względna przewidywalność rynku unijnego w porównaniu do innych regionów, stabilny rating Polski, korzystne położenie geopolityczne między Wschodem i Zachodem, na przecięciu szlaków handlowych, dostępność zaawansowanych technologii również nam sprzyjają. Tymi kartami chcemy grać przy wizualizowaniu i argumentowaniu atrakcyjności Polski jako idealnego terenu pod inwestycje i reinwestycje.

**MT:** Polska Agencja Inwestycji i Handlu (PAIH), która wchodzi w skład Polskiego Funduszu Rozwoju, odgrywa ważną rolę w realizacji oficjalnej polityki promocji gospodarczej kraju oraz wspierania ekspansji polskiej przedsiębiorczości. Synergia wynikająca z połączenia kompetencji wspierania bezpośrednich inwestycji zagranicznych i eksportu została przypieczętowana nową nazwą instytucji.

**TP:** Zgadza się. Cel przyciągania i bieżącego obsługiwanie na polskim rynku inwestorów zagranicznych był dotychczas realizowany przez Polską Agencję Informacji i Inwestycji Zagranicznych, której korzenie sięgają początku lat 90. Jednak w związku z tym, że minęło już 25 lat od momentu wprowadzenia kapitalizmu i w międzyczasie weszliśmy do ekskluzywnego, ale też wymagającego grona państw rozwiniętych (również dzięki napływowi obcego kapitału), Ministerstwo Rozwoju zdecydowało, że jesteśmy w odpowiednim momencie rozwoju gospodarczego, aby przestawić działania Agencji na kompleksową dwutorowość. Obecnie eksport jest dźwignią gospodarki kraju i musimy skupić się na promocji naszych marek oraz topowych branż. Dziś to właśnie polska przedsiębiorczość i innowacyjność są w ofensywie i gotowości do podboju zagranicznych, często bardzo odległych, egzotycznych czy wręcz trudnych rynków. Zatem optymalnym kierunkiem było skumulowanie funkcji wsparcia biznesu – zarówno rodzimego, jak i zagranicznego – w jednej strukturze i formalne usankcjonowanie tego stanu rzeczy ustawą. W wyniku przekształceń statutowych powstała Polska Agencja Inwestycji

i Handlu, która obecnie jest w intensywnej fazie tworzenia sieci Zagranicznych Biur Handlowych na wszystkich kontynentach. Z mojej perspektywy model działania, który został wybrany dla Agencji, to rozwiązanie łączące w sobie najlepsze cechy kilku wiodących światowych modeli, w tym brytyjskiego Department For International Trade czy Business Funds. Zastąpienie modelu urzędniczej koncepcji biur handlowych bazujących na podejściu probiznesowym pociągnęło za sobą rezygnację ze statusu dyplomatycznego jednostek zagranicznych i siłą rzeczy przesądziło o likwidacji Wydziałów Promocji Handlu i Inwestycji. W tej kwestii, choć z dużym opóźnieniem, nadrobiamy zaległości i doganiamy Zachód.

**MT:** Równolegle PAIH pozyskuje inwestorów zagranicznych.

**TP:** Oczywiście. Aktywnym pozyskiwaniem inwestorów zagranicznych oraz zapewnieniem wysokiego poziomu ich obsługi zajmują się eksperci Departamentu Inwestycji Zagranicznych Polskiej Agencji Inwestycji i Handlu. Wspecjalizowany zespół ekspertów (menedżerów projektu) wspiera inwestorów, skupiając swoje działania na analizowaniu kompleksowych danych makroekonomicznych, a także uwarunkowań prawnych i sektorowych oraz danych na temat regionów, potrzebnych do podjęcia decyzji inwestycyjnej. Menedżerowie asystują inwestorom na każdym etapie projektu. Obecni są w trakcie wszystkich działań niezbędnych do przygotowania i udanego rozpoczęcia inwestycji. Wykorzystu-

Tylko dynamiczne  
i wizjonerskie  
przedsiębiorstwa,  
patrzące  
daleko przed siebie,  
potrafiące zaryzykować  
wejście na nowe rynki,  
są w stanie urosnąć  
do roli potentata  
w swojej dziedzinie.

jemy nasze kompetencje, oferując szytą na miarę, kompleksową obsługę procesu inwestycyjnego. Uczestniczymy i pomagamy inwestorom w implementacji harmonogramu realizacji projektu. Oferujemy szeroko zakrojone doradztwo w zakresie strategii wyboru lokalizacji i oceny wpływu na nią czynników makro- i mikroekonomicznych, w tym kosztów pracy. Organizujemy wizyty studyjne, czyli rekonesans dla inwestorów planujących rozeznanie rynku, oraz wizyty lokalizacyjne realizowane dla inwestorów mających skonkretyzowane plany biznesowe. Dodatkowo wspieramy inwestorów w procesie analizy kosztów poprzez dostarczanie informacji o czynnikach oddziałujących na ich poziom, dynamikę i strukturę. Pomagamy nawiązywać relacje biznesowe, dobierając polskich poddostawców i kooperantów oraz firmy oferujące usługi pomocnicze, które są niezbędne do optymalnej realizacji projektu naszego klienta inwestycyjnego. Dodatkowo oferujemy wsparcie mediacyjne, usługi relacyjne i pośredniczenie w kontaktach z administracją centralną oraz jednostkami samorządu terytorialnego.

Jesteśmy również pomysłodawcą Klubu Inwestora, którego zadaniem jest wspieranie dalszego rozwoju firm, inicjatyw klastrowych i opieka nad grupami branżowymi oraz narodowymi.

**MT:** Wiem, że Zagraniczne Biura Handlowe PAIH mają za zadanie aktywnie towarzyszyć polskim przedsiębiorcom i wprowadzać ich w arkana działalności biznesowej na danym rynku, korzystając ze swojej fachowej wiedzy i sieci kontaktów. A czym polscy przedsiębiorcy mogą podbić światowe rynki?

**TP:** Mamy obecnie bardzo dobrą koniunkturę gospodarczą, świetne talenty i innowacyjne pomysły, chęć i odwagę pokazywania ich na arenie międzynarodowej, nawet w tak konkurencyjnym środowisku, jak Dolina Krzemowa. To nie są już tylko tradycyjne, nieprzetworzone produkty rolno-spożywcze, ale przede wszystkim zaawansowana technologia, sprzęty, rozwiązania biotechnologiczne, farmaceutyki, części samochodowe, aplikacje mobilne dostosowane do upowszechniającego się zjawiska konwergencji. Oferujemy przy tym wysoką jakość produktów i usług – i to w dobrej cenie. Coraz więcej polskich firm, zakładanych i zarządzanych przez młodych, rzutkich, otwartych na świat ludzi, poszukuje dodatkowych impulsów do dalszego rozwoju. Tylko dynamiczne i wizjonerskie przedsiębiorstwa, patrzące daleko przed siebie, potrafiące zaryzykować wejście na nowe rynki, są w stanie urosnąć do roli potentata w swojej dziedzinie w przyszłości. Biura PAIH mają im w tym pomóc, zwłaszcza na rynkach odległych, o innej kulturze biznesowej. Będziemy wspierać firmy w opracowaniu optymalnej strategii wejścia na rynek. Pomożemy dobrać narzędzia publicznego wsparcia z pakietu instytucji zrzeszonych pod wspólnym szyldem Grupy Polskiego Funduszu Rozwoju. Innymi słowy: pomożemy polskiemu biznesowi zmonetyzować potencjał w nim drzemący, minimalizując przy tym ryzyko biznesowe i lęk rodzimych firm przed nieznanym. Tutaj z pomocą przychodzą skierowane do eksporterów instrumenty KUKE i Banku Gospodarstwa Krajowego. Potrzebna jest chłodna kalkulacja, korzystanie z wszelkich dostępnych zabezpieczeń (również w zakresie ochrony patentowej) i wsparcia podmiotów takich jak PAIH, współpraca polskich eksporterów pod wspólnym szyldem „made in Poland”, wreszcie – potrzebna jest odwaga. Dlatego zachęcamy polskie firmy, aby spróbowały ekspansji na rynki zlokalizowane poza Starym Kontynentem, gdyż właśnie tam mogą one odnaleźć swoją żylę złota. Kto nie ryzykuje, ten nie wygrywa.

**MT:** Polskim przedsiębiorcom łatwiej jest poruszać się na rynku unijnym. Zatem szczególnie istotne wydaje się wsparcie działań poza Europą.

**TP:** Oczywiście, wewnętrzny rynek unijny, objęty wspólną polityką celną, wydaje się i faktycznie jest łatwiej dostępny, bardziej przewidywalny, w miarę bezpieczny. Jednak jest też już dość mocno zagospodarowany. Koszty związane z logistyką i transportem

są raczej nieduże. Ze względu na podobieństwa i ułatwienia wynikające z członkostwa w Unii Europejskiej polskie firmy radzą sobie na tym rynku właściwie samodzielnie. Wyjście poza Europę to już wielkie wyzwanie, do którego trzeba się odpowiednio przygotować. Nawet przedsiębiorca, który wykonał dogłębne ekspertyzy, zbadał rynek docelowy i sprzedaje produkt o niepodważalnych zaletach, nie ma gwarancji sukcesu. Wręcz należy zaakceptować fakt, że mogą się zdarzyć jakieś kryzysy, bo droga do celu nie jest wylana gładkim, europejskim asfaltem. Powtarzam ciągle, że to jest trudny kawałek chleba, nawet dla urodzonych wojowników, natomiast ryzyko zawsze można i trzeba minimalizować.

**MT:** Tak więc PAIH otacza opieką zarówno polskich eksporterów, jak i zagranicznych inwestorów.

**TP:** Dokładnie tak. Zapewniamy naszym klientom – zarówno eksporterom, jak i inwestorom, niezależnie od pochodzenia – najlepszą opiekę. Każdy zakończony sukcesem projekt implementacji będzie również sukcesem Agencji, potwierdzającym słuszność ścieżki obranej przez Ministerstwo Rozwoju. Know-how, które przez lata zdobyła Agencja poprzez bezpośrednią obsługę inwestorów zagranicznych w kraju, może zostać z powodzeniem przeniesione na grunt eksportowy i polskie inwestycje zagraniczne. Faktem jest, że mamy unikalne w skali kraju doświadczenie w procesie doradztwa inwestycyjnego w Polsce oraz za granicą. Wypracowaliśmy też solidne relacje z firmami zagranicznymi w kraju. Na co dzień kooperujemy ściśle z naszymi odpowiednikami na całym świecie. Tę ogromną, gromadzoną przez ponad dwie dekady wiedzę wykorzystujemy teraz do wsparcia polskich firm, w tym innowacyjnych. Szczególnie promujemy polską myśl technologiczną. Chętnym do podboju Doliny Krzemowej nasze biuro w San Francisco, zwane również PolishHub, oferuje bezpłatną przestrzeń coworkingową w prestiżowym Rocket Space. Kolejny projekt dla tego segmentu rynku, który chcemy wdrożyć niebawem, to Polskie Mosty Technologiczne. Zakłada on pomoc mentorów w profilowaniu strategii wejścia firm na 20 nowych rynków.

Pochwalę się, że w ciągu ostatnich miesięcy wykonaliśmy olbrzymią pracę nad powstaniem Zagranicznych Biur Handlowych, za co jestem wdzięczny mojemu zespołowi. Uruchomiliśmy już ponad 10, w fazie przygotowania jest kilkanaście kolejnych. Do końca 2019 r. działać ma 69 takich jednostek handlowych. Zgodnie z polityką promowania bardziej egzotycznych kierunków dla polskich marek większość tworzonych biur znajduje się poza Unią Europejską, m.in. w Nairobi, Singapurze, San Francisco, Toronto, Meksyku, Ho Chi Minh City, a nawet Teheranie, gdzie jesteśmy pionierem tego typu placówek (działających bez statusu dyplomatycznego). Serdecznie zachęcam do śledzenia naszych działań poprzez stronę internetową, newsletter oraz media społecznościowe, jak również do bezpośredniego kontaktu z PAIH czy Zagranicznymi biurami Handlowymi.



**Maciej Stanecki** – ur. 1972 r. w Warszawie, dziennikarz, producent, wydawca. Od 2016 r. członek zarządu TVP SA. Absolwent Instytutu Profilaktyki Społecznej i Resocjalizacji na Uniwersytecie Warszawskim, Wydziału Operatorskiego w Szkole Filmowej (PWSFTviT) w Łodzi oraz międzynarodowego kursu dla europejskich producentów filmowych EAVE – European Audiovisual Entrepreneurs. Był redaktorem programowym TV Puls, a następnie kierownikiem redakcji Nowych Mediów w TVN24, gdzie odpowiadał za budowę portalu Tvn24.pl. W latach 2006–2010 związał się z Telewizją Polską jako kierownik Redakcji Oprawy i Promocji Dwójki oraz jako kierownik Działu Międzynarodowej Współpracy Programowej i Koprodukcji. W 2009 r. zrealizował dla TVP1 autorskie widowisko publicystyczne „Koniec końców” z udziałem Marka Horodniczego i Pawła Kukiza. W latach 2013–2015 pełnił funkcję szefa pionu produkcji w Telewizji Republika i odpowiadał za budowę nowej siedziby telewizji, struktury technicznej i produkcyjnej.

Był również kierownikiem produkcji programu informacyjnego „Dzisiaj”, a także wydawcą pasm publicystycznych i magazynów. Prywatnie pasjonat gór i taternictwa. Założyciel Fundacji Dziedzictwa Wielkiego Xięstwa Litewskiego.

# Telewizja to nie tylko polityka

O rewolucji technologicznej w TVP, nowościach programowych i innowacjach związanych z dystrybucją treści z **Maciejem Staneckim** rozmawia Piotr Wolniewicz.

**Piotr Wolniewicz:** Jakiś czas temu niemalże wszystkie media żyły tematem pożyczki, jaka została udzielona TVP przez Skarb Państwa. Zgodnie z założeniami duża część kwoty 800 mln zł ma zostać przekazana na wydatki związane ze zmianami technologicznymi. Na jakie konkretnie?

**Maciej Stanecki:** Lista potrzeb jest bardzo długa. W TVP przez lata nie realizowano kompleksowych, strategicznych projektów rozwojowych. Szczupłość finansowania abonamentowego i nieco minimalistyczna polityka poprzednich zarządów sprawiły, że skupiano się na konkurencyjnej walce programowej o widza tradycyjnej telewizji, głównie w oparciu o produkcję zewnętrzną. Zaplecze

technologiczne i własne możliwości realizacyjne degradowały się z każdym rokiem. W ten sposób TVP znalazła się w sytuacji, w której konieczne są natychmiastowe znaczące inwestycje, ponieważ na mocno wyeksploatowanym sprzęcie z poprzedniej epoki nowoczesnej telewizji nie da się już robić.

**PW:** W jakich obszarach zapóźnienia są najbardziej widoczne?

**MS:** Najważniejsze projekty modernizacyjne dotyczą sfery cyfryzacji, cyklu produkcyjnego i emisji beztaśmowej. Najpilniejsze są inwestycje w oddziałach terenowych TVP, które mają wyjątkowy potencjał, ale od kilkunastu lat nie było tam niemal żadnych koniecznych modernizacji. Pierwszą przemianę technologiczną przeszedł Bielsat, sukcesywnie będzie ona realizowana w kolejnych antenach. Obecnie uruchamiamy emisję beztaśmową w TVP ABC. Sprzętem pierwszej potrzeby dla ośrodków regionalnych są nowoczesne wozy transmisyjne umożliwiające realizację w jakości HD.

**PW:** Czy planowane są również inwestycje w materiały archiwalne?



**MS:** Tak. Przyspieszeniu ulegną procesy digitalizacji i rekonstrukcji cyfrowej. Uruchomiony prawie rok temu projekt „Digitalizacja Polskiej Szkoły Telewizyjnej i Filmowej z Archiwum TVP SA” obejmuje niemal tysiąc pozycji, ale wyzwanie, które przed nami stoi, jest o wiele większe. W zasobach Ośrodka Dokumentacji i Zbiorów Programowych znajduje się ok. 126 tys. materiałów filmowych i 43 tys. nagrań dźwiękowych, co stanowi największe archiwum materiałów telewizyjnych i filmowych w Polsce. Większość jest wciąż zapisana na taśmie celuloidowej lub magnetycznej. Digitalizacja jest zatem procesem koniecznym, aby udostępnianie skarbów naszych archiwów stało się możliwe na szerszą skalę w świecie cyfrowych mediów, zasobów on-line, wieloe ekranowości. W oddziałach terenowych ten proces praktycznie nie był prowadzony, a tam – podobnie jak na Woronicza – są tysiące programów, dokumentów, filmów, które trzeba odświeżyć i udostępnić.

#### **PW: A co z Internetem?**

**MS:** Na internetowe narzędzia dystrybucji treści muszą być przeznaczone znaczące środki. TVP w poprzednich latach zdecydowanie przespała rewolucję technologiczną na tym polu. Dominowało podejście, że trzeba być w Internecie, więc potrzebna jest jakaś platforma, na którą będą wrzucane materiały. Brakowało jednak strategicznego myślenia o rozwoju zaawansowanych systemów transmisji on-line, aplikacji na różne urządzenia, dobrych archiwów czy zarządzania prawami autorskimi.

Polacy wciąż operują głównie pilotami TV, ale coraz częściej także myszką, kursorem i smartfonem. W czasie półtora roku TVP zrobiła bardzo wiele, aby stać się nowoczesnym medium internetowym. Tutaj naprawdę czas nas goni, bo większość młodego pokolenia uznaje telewizor za dosyć oldschoolowe urządzenie. Właśnie zmodernizowaliśmy gruntownie nasz serwis VOD, dzięki czemu w kategorii dłuższych form wideo, takich jak filmy, seriale czy transmisje sportowe, jesteśmy drugim medium w Polsce pod względem liczby widzów. A w kategorii urządzeń mobilnych zajmujemy miejsce... pierwsze.

#### **PW: Czyli tego typu inwestycje podbijają oglądalność.**

**MS:** Dzisiejszą siłę Internetu najlepiej obrazuje fakt, że odcinki „M jak miłość” tylko w tym roku miały ponad 12 mln odtworzeń. Wszystkich odsłon materiałów wideo w naszych serwisach było w 2017 r. blisko 100 mln! Dynamika wzrostu w relacji do okresu sprzed dwóch lat jest naprawdę imponująca.

#### **PW: I pora emisji nie jest już ograniczeniem.**

**MS:** Cuda dzisiejszej technologii umożliwiają nam udostępnienie widzom w dogodnym dla nich czasie ulubionych treści. Mają oni teraz dostęp do niemal każdego filmu, programu czy koncertu, który mógł im umknąć w klasycznej emisji telewizyjnej. A bogactwo naszej produkcji jest naprawdę ogromne. Zmodernizowane serwisy TVP to odpowiednik multimedialnej biblioteki narodowej. Dzięki programowi cyfryzacji i rekonstrukcji starszych produkcji

TVP nasza oferta VOD bardzo szybko się powiększa i naprawdę warto ten proces śledzić. Nowe, przyjazne wyszukiwarki treści i katalogi pomagają znaleźć ulubione i najbardziej wartościowe produkcje. Przede wszystkim chciałbym zachęcić widzów do eksplorowania naszych zasobów internetowych pod kątem dawniej trudno dostępnych audycji dokumentalnych, kulturalnych, muzycznych czy publicystycznych z wszystkich anten TVP. Teraz to naprawdę łatwe.

#### **PW: Jeszcze w tym roku TVP chce uruchomić własną płatną platformę SVoD (subskrypcja wideo na żądanie). Co się na niej znajdzie?**

**MS:** Platforma nie będzie odpłatna dla wszystkich i nie wszystkie materiały będą płatne. Finansowanie telewizji publicznej z abonamentu – choć wiemy, że obecnie jest ono skrajnie niskie – zobowiązuje nas do udostępniania naszych treści za darmo. Serwis subskrypcyjny będzie płatny wyłącznie dla tych, którzy nie płacą abonamentu. Umożliwi oglądanie przedpremierowych treści TVP, ale widzowie znajdą tam przede wszystkim świetne produkcje innych telewizji publicznych, z którymi zintensyfikowaliśmy współpracę w ramach Europejskiej Unii Nadawców. Pojawiają się filmy, seriale i dokumenty skandynawskie, brytyjskie oraz z innych części Europy. W SVoD będziemy też umieszczać atrakcyjne produkcje pozyskane z niepublicznego rynku, jednak na pewno nie będziemy na tym polu konkurować z komercyjnymi platformami, jak Netflix. Jako nadawca publiczny mamy inną filozofię działania i klucze doboru treści.

#### **PW: Pojawiają się jakieś nowinki technologiczne?**

**MS:** W ramach kompleksowej modernizacji naszych rozwiązań sieciowych wprowadzamy Smart TV – dostęp do zasobów VOD i transmisji na żywo bezpośrednio z telewizora, czyli po prostu Internet w telewizorze. Jednocześnie uruchamiamy Strefę Abo, powszechnie znaną jako Strefa Widza, gdzie płacący abonament będą mogli znaleźć atrakcyjne dodatkowe treści, umieszczane przez producentów programów i filmów.

Jesienią zadebiutuje radykalnie zmieniony serwis TVP.info i zupełnie nowy format TVP Tygodnik, który zaprezentuje całkowicie nowe na naszym rynku podejście do publikacji tzw. długich treści w Internecie. Autonomiczna redakcja serwisu będzie komasowała w jednym miejscu i ujednoliconej formie treści dostępne do tej pory w TVP Kultura i TVP Historia. W naszych zamierzeniach TVP Tygodnik ma być forum szerokiej debaty i biblioteką materiałów związanych ze 100-leciem niepodległości Polski.

#### **PW: Jaką rolę w modernizacji TVP ma odgrywać współpraca z podmiotami zewnętrznymi? Wiemy, że we wrześniu zostało zawarte porozumienie z PAP w zakresie dystrybuowania materiałów wideo w Internecie.**

**MS:** Jest to realizacja zapowiadanej ściślejszej współpracy mediów narodowych. Współpraca agencyjna musi być jednak jeszcze wsparta przez odpowiednie onarzędziowanie technologiczne. I tu

pojawia się kolejny komponent inwestycyjny w postaci budowy Biblioteki Cyfrowej Mediów Publicznych. To ogromne przedsięwzięcie, które właśnie rozpoczęliśmy, umożliwi sprawną wymianę plików cyfrowych i budowanie jednolitych dla mediów publicznych zasobów filmowych, zdjęciowych i informacyjnych, również tych obecnych teraz tylko w eterze.

**PW: A jak wygląda kwestia wprowadzenia kanałów TVP na MUX-8?**

**MS:** W naszej strategii ważne miejsce zajmuje rozwój kanałów tematycznych TVP w dystrybucji naziemnej, z tego względu, że tutaj mają one większe udziały w widowni w porównaniu z innymi systemami odbioru. Ponadto uważam, że telewizja liniowa, transmitowana tradycyjnie, ma jednak swoją przyszłość, wbrew opiniom fanów Internetu, wieszczącym jej rychły kres. Pożyczka w wysokości 800 mln zł to pomostowe finansowanie do czasu urealnienia wpływów abonamentowych. Środki przeznaczamy na absolutnie konieczne inwestycje rozwojowe, aby zapewnić możliwość dalszego funkcjonowania na bardzo dynamicznie rozwijającym się rynku, który zaczął nam technologicznie uciekać. Jednak na wszystkie ambitne projekty na pewno pieniędzy nie wystarczy. Rozwój istniejących i kolejnych kanałów tematycznych, np. dla MUX, musi poczekać na ustawowe rozwiązanie kwestii abonamentu.

**PW: W ostatnim czasie zostało podpisane porozumienie o współpracy pomiędzy TVP a chińskim nadawcą Chengdu Radio and Television dotyczące wspólnego projektu produkcji telewizyjnej. Czy może pan ujawnić więcej szczegółów?**

**MS:** W ramach tej konkretnej umowy, podpisanej 21 września 2017 r. z Chengdu Radio and Television, planujemy realizację projektu polegającego na zorganizowaniu w Chengdu oraz w Szanghaju Dni Polskiej Telewizji. W ich trakcie odbędą się pokazy ważnych produkcji TVP, spotkania z twórcami i aktorami oraz koncerty polskich wykonawców. Ponadto przygotowujemy serial dokumentalny promujący polską żywność w Chinach. Będzie on wykraczał daleko poza konwencję kulinarną, przybliżając chińskiemu widzowi różne aspekty naszej kultury. W ramach współpracy będziemy wspólnie nagrywać koncerty sceny klasycznej i alternatywnej. Powstanie cykl tematycznych programów w TVP Kultura o ciekawych aspektach chińskiej cywilizacji. Ponadto przymierzamy się do serialu dokumentalnego o linii kolejowej łączącej Unię Europejską z Chinami (Łódź – Chengdu). Najintensywniejsza kooperacja właśnie z Chengdu i Szanghajem nie jest przypadkowa. Z tamtejszymi nadawcami – Chengdu Radio and Television i Shanghai Media Group – udało nam się nawiązać wyjątkowo dobre relacje dzięki prężnie działającym w tych miastach placówkom dyplomatycznym RP.

**PW: To nie pierwsza umowa z chińskim partnerem.**

**MS:** Chiński rynek medialny jest specyficzny. Wiosną podpisaliśmy umowy ramowe z China Central Television – CCTV, która, podobnie

jak agencja prasowa Nowe Chiny, posiada monopol na import programów i dostarczanie informacji z zagranicy dla krajowych stacji telewizyjnych. Siłą rzeczy cały konglomerat China Central Television, odbieranej przez mniej więcej 30 proc. chińskich widzów, dociera w istocie do odbiorców pozostałych blisko 400 chińskich kanałów. Jeżeli zatem chcemy dotrzeć z naszymi materiałami filmowymi do chińskiego widza, to nie ma innej drogi niż rozumna kooperacja z CCTV. Cały świat współpracuje na wielu polach z Chinami, mimo kontrowersyjnych politycznie kontekstów. To po prostu fabryka świata.

Nasza umowa opiewa na symetryczną wymianę materiałów filmowych. Będą one dotyczyły głównie kultury i zagadnień ekonomicznych. Oczywiście sposób ich wykorzystania pozostaje w gestii każdej ze stron. Doskonale zdajemy sobie sprawę, że Chiny w swojej strategii traktują materiały medialne jako rodzaj alternatywnego kanału dyplomacji. Musimy więc z właściwym dziennikarskim obiektywizmem im się przyglądać.

**PW: Dlaczego akurat Chiny?**

**MS:** Umowy podpisane przez TVP mają dwa wymiary: ekonomiczny i związany z realizacją misji nadawcy publicznego. Ten ekonomiczny jest oczywisty – dotyczy startu projektu nowego jedwabnego szlaku. Dzięki dogodnemu położeniu naszych terminali kolejowych oraz portów morskich Polska jest naturalnym partnerem dla Chin w realizacji tego gigantycznego przedsięwzięcia. Okolice Łodzi mają być końcowym hubem przeładunkowym szlaku. Towary będą z tego miejsca dalej podróżowały transportem drogowym, wodnym, kolejowym i lotniczym, stąd też koncepcja centralnego portu lotniczego mogącego obsługiwać cargo.

Wartość chińskiego eksportu do Europy to ponad miliard euro... dziennie. Warto zadbać, aby wagony nie wracały puste, lecz były załadowane naszymi produktami. A tu pojawia się kwestia kształtowania wizerunku Polski, polskich firm i produktów na rynku chińskim. Chcemy w tym brać aktywny udział.

Drugi wymiar nawiązania współpracy ma już stricte misyjny charakter. Niestety, nie widać, żeby w naszej przestrzeni medialnej toczyła się profesjonalna debata publiczna na temat Chin. Rzadko rozmawiamy o sprawach, które może nie wywołują wielkich emocji, ale mają naprawdę realne przełożenie na naszą sytuację gospodarczą. Polskie media chętnie i łatwo przedstawiają Państwo Środka za pomocą ogólników i stereotypów. A nie sposób zrozumieć dzisiejszego świata, geopolityki czy trendów gospodarczych bez analizy procesów zachodzących w Chinach i obszarze pacyficznym. To, zdaje się, już największa gospodarka globu, odpowiadająca za ponad 20 proc. światowego PKB i rozpoczynająca projekty ekonomiczne, którym wszyscy bacznie powinni się przyglądać. A żeby wiarygodnie ralać i wypełnić powstałą lukę informacyjną, trzeba być na miejscu. Wiedzy umożliwiającej rzetelne informowanie widzów nie zdobywa się za biurkiem w Warszawie.



Multimedialny terminal informacyjny firmy Altix na dworcu PKP w Katowicach

© ALTIX

# Nowoczesna przestrzeń dostępna dla wszystkich

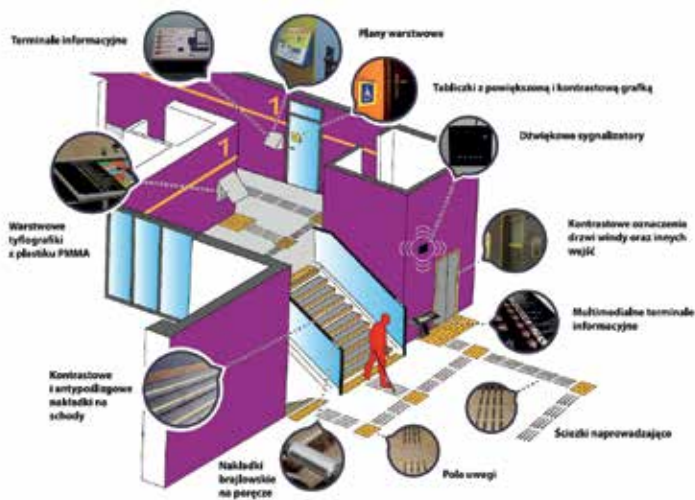
Osobom z dysfunkcją wzroku trudno odnaleźć się w przestrzeni publicznej, gdy nie jest odpowiednio dostosowana. Otwartość społeczeństwa na problemy osób niepełnosprawnych rodzi potrzebę poszukiwania nowych rozwiązań technologicznych i metodologicznych.

**N**ajnowsza elektronika i informatyka dają takie możliwości. Od 28 lat firma Altix prowadzi działalność społecznie odpowiedzialną. Opracowała wiele innowacyjnych rozwiązań służących dostosowaniu otoczenia do potrzeb ludzi niewidomych i niedowidzących. Multimedialne terminale informacyjne, mapy dotykowe dla niewidomych, wypukłe i kontrastowe oznaczenia poziome i pionowe, brajlowskie książki, nakładki i etykiety, urządzenia służące do nawigacji i udźwiękowienia przestrzeni – wszystkie otwierają świat dla osób z dysfunkcją wzroku.

## Multimedialna tyflografika

Jednymi z podstawowych produktów są różnorodne mapy i plany dotykowe. Umożliwiają one niewidomym poznanie topografii terenu lub obiektów, a tym samym pozwalają na samodzielne poruszanie się po nich. Uwypuklenia dają możliwość zapoznania się z rozmieszczeniem poszczególnych obiektów na danym terenie lub pomieszczeń wewnątrz budynku. Plany projektowane są w kontrastowych kolorach, aby były pomocne również dla osób słabowidzących. Zawierają opisy sporządzone zarówno w brajlu, jak i czarnym druku.





## Projekt dostosowania budynku do potrzeb osób z dysfunkcją wzroku



**Multimedialne terminale wypierają z przestrzeni publicznej standardowe mapy.**



**Multimedialne terminale informacyjne mogą być wyposażone w syntezator i system rozpoznawania mowy.**

Multimedialne terminale wypierają z przestrzeni publicznej standardowe mapy. Pełnią taką samą funkcję, ale są bardziej rozbudowane i użyteczne. Są udźwiękowione i wyposażone w ekrany LCD, łącze wi-fi i Bluetooth. Modeli terminali może być tyle, ile wyobraźni mają ich użytkownicy i projektanci. Jednym z najbardziej innowacyjnych urządzeń firmy Altix jest MTI – multimedialny terminal informacyjny, wyróżniony w 2017 r. Godłem „Teraz Polska”. Poza dotykową mapą jest wyposażony w przemysłowy komputer PC oraz kilka ekranów LCD. Na głównym ekranie wyświetlane są wcześniej zaprojektowane obrazy, z których jeden (merytorycznie najważniejszy dla niewidomych) jest także uwypuklony. Zastosowanie poddruku magnigraficznego (kolorowego, kontrastowego i powiększonego) stanowi ułatwienie dla osób słabowidzących. Kolejny ekran najczęściej prezentuje treści w języku migowym.

Multimedialne terminale informacyjne mogą być wyposażone w syntezytor i system rozpoznawania mowy, dzięki czemu niewidomy użytkownik może z nimi „rozmawiać”. Wygodnym rozwiązaniem jest zdalne sterowanie terminalem za pomocą pilota. Zamontowana jednostka komputerowa pozwala na przechowywanie i aktualizowanie informacji.

## Sieć usprawnień

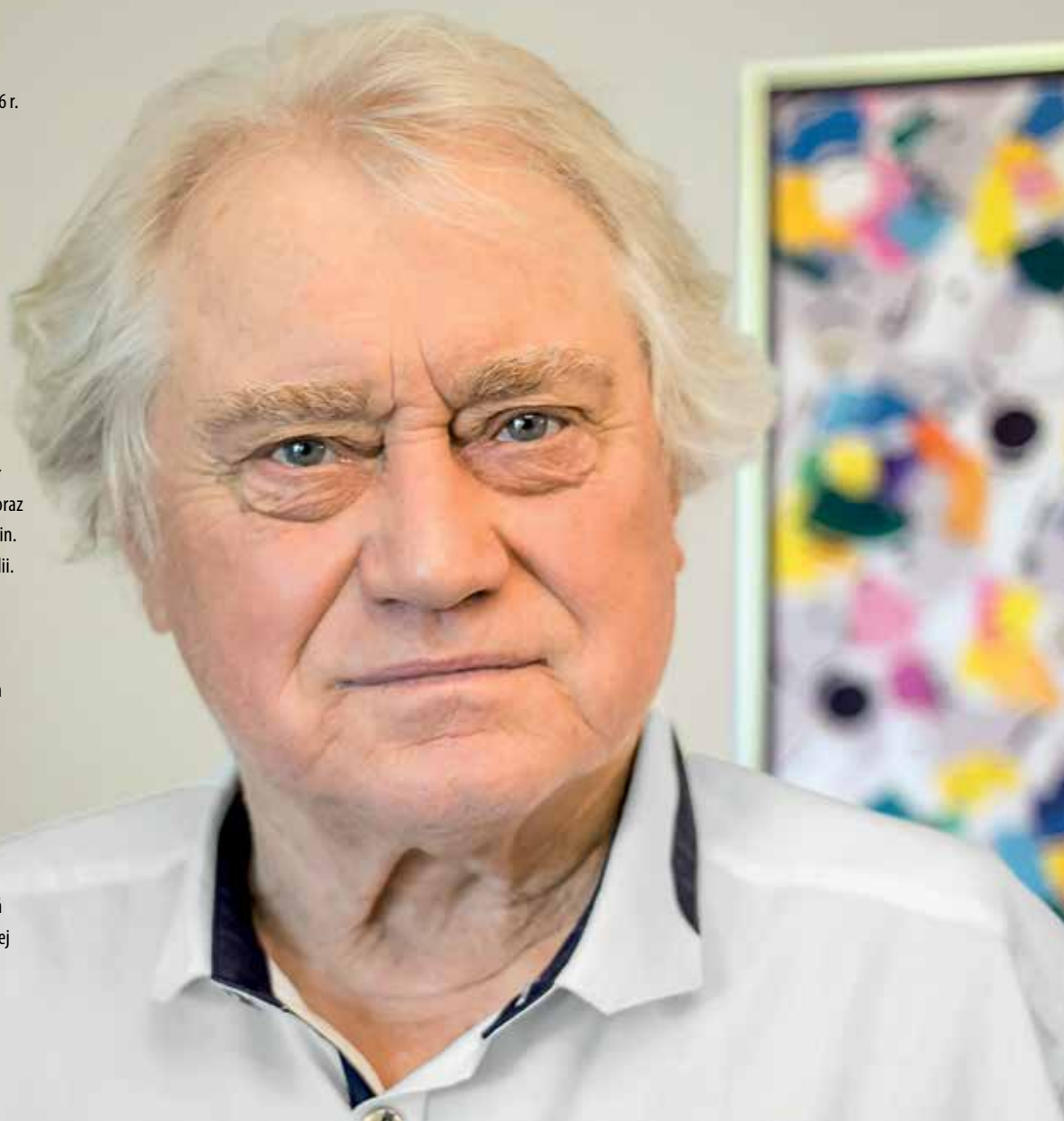
Same terminale i mapy to zdecydowanie nie wszystko. Nasuwa się pytanie, jak osoba niewidoma ma takie urządzenie odnaleźć, by móc z niego skorzystać. Wybranie odpowiednich rozwiązań powinien poprzedzić audyt architektoniczny, który pozwala ocenić dostępność i możliwość dostosowania obiektu. Podstawowym elementem są oznaczenia poziome i pionowe, a więc ścieżki naprowadzające, pola uwagi i oznaczenia ostrzegawcze. Osoby niewidome podążają wzdłuż wypukłych linii, które wyznaczają ścieżkę przejścia po obiekcie. W kluczowych miejscach napotykają pola uwagi służące do informowania o przeszkodach na drodze lub o miejscach, do których można dotrzeć. Pole uwagi może sygnalizować np. położenie mapy lub terminalu informacyjnego. Może też ostrzegać o zbliżaniu się do krawędzi peronu, uskoku, schodów itp. Uzupełnieniem oznaczeń poziomych są m.in. kontrastowe, brajlowskie tabliczki i nakładki na poręcze. System dostosowania przestrzeni uzupełniają sygnalizatory dźwiękowe lub głosowe, które niejako ożywają, gdy niewidomy zbliża się do nich.

Najnowszym rozwiązaniem mikronawigacyjnym są beacons, czyli nadajniki emitujące fale Bluetooth, które komunikują się ze smartfonami za pomocą specjalnych aplikacji nawigujących. Dzięki beaconom smartfony osób niewidomych mogą być skomunikowane z multimedialnymi terminalami informacyjnymi.

Wiele organizacji i firm popiera ideę świata, w którym myśli się o wszystkich obywatelach. Altix wyposażył już szereg obiektów, m.in. warszawskie metro, urzędy, uczelnie, teatry i muzea, jak również biura firm prywatnych i dużych korporacji. Dostosowanie przestrzeni jest bezwzględnie potrzebne i niesie za sobą wiele korzyści. Udostępnienie budynków pozwala zdobyć nowych, wiernych klientów, zyskać możliwość zatrudnienia pracowników z niepełnosprawnością czy też podnieść rangę swojej firmy i marki.



**Jerzy Maksymiuk** (ur. 1936 r. w Grodnie) – polski dyrygent, pianista, kompozytor muzyki poważnej i filmowej, propagator polskiej muzyki współczesnej. W latach 1970–1972 dyrygent orkiestry Teatru Wielkiego w Warszawie. Założyciel (1972 r.) i pierwszy dyrygent Polskiej Orkiestry Kameralnej, która w 1984 r. przekształciła się w Sinfonię Varsovię. Z Polską Orkiestrą Kameralną koncertował w Carnegie Hall w Nowym Jorku oraz w innych prestiżowych salach, m.in. w Japonii, Australii, Nowej Zelandii. Na wielu tych scenach pojawił się później jako dyrygent gościnny. W latach 1983–1993 kierował BBC Scottish Symphony Orchestra w Glasgow, z którą wielokrotnie wystąpił na słynnych angielskich Promsach w Royal Albert Hall w Londynie. Podjął współpracę z English National Opera. Stale koncertował też w Polsce. Współtworzył Warszawską Jesień jako członek komisji repertuarowej festiwalu. Skomponował muzykę do ponad stu filmów, m.in. do „Sanatorium pod klepsydrą” w reżyserii Wojciecha Hasa.



# Dyrygentura to osobista wypowiedź

O dążeniu do doskonałości i o tym, że sztuka wysoka wymaga poświęceń, z **Jerzym Maksymiukiem** rozmawiają Marzena Tataj i Kamil Broszko.

**Marzena Tataj:** Jest pan dyrygentem, kompozytorem, pianistą, twórcą słynnej na cały świat Polskiej Orkiestry Kameralnej. Zaczynał pan jako pianista, ale szybko odnalazł się w dyrygenturze.

**Jerzy Maksymiuk:** Tak, mam trzy farchy. Najpierw zainteresowałem się kompozycją. Jako nastolatek zaprzyjaźniłem się z profesorem i kompozytorem Janem Tarasiewiczem, który odkrył u mnie talent i zaczął go rozwijać. Miałem 11 lat, kiedy Radio Białystok nadało moją pierwszą kompozycję. Muzyczną karierę zawodową zacząłem jako pianista. Wygrałem nawet konkurs pianistyczny w Bydgoszczy i improwizatorski w Katowicach, jednak niewiele miałem koncertowych propozycji. Poza tym mała dłoń i krótkie palce nie pozwalały mi grać niektórych utworów, a w każdym razie nie tak, jak bym chciał, bo zawsze dążyłem do doskonałości. Kiedy z powodu nagłej nieobecności dyrygenta zastąpiłem go z powodzeniem na koncercie, zainteresował się mną prof. Bogu-

sław Madey. To on uczynił ze mnie dyrygenta. Często żartuję, że wystarczy znać jakieś 7 proc. utworu (rodzaj harmonii, melodyki) i nie mylić się w taktach, aby nim zadyrygować. Natomiast żeby zagrać koncert na fortepianie, trzeba znać go w 130 proc., a przy moich nerwach – w 230 proc. Utwory, którymi dyryguję, znam na wyrywki, a niektóre partytury na pamięć, i to w szczegółach.

**Kamil Broszko:** Czy zdarza się panu grać dla własnej przyjemności?

**JM:** Tak. Zasiadam czasem w domu do pianina. Nie mam steinwaya, bo taki instrument jest zbyt głośny i żeby odpowiednio zabrzmiał, potrzebuje przestrzeni. Dlatego często jeżdżę o szóstej rano do filharmonii, aby tam sobie w spokoju pograć. Tak też było dzisiaj. Grałem jeszcze przed naszą rozmową, aby dobrze nastroić się na cały dzień.

**MT:** Praca dyrygenta jest wyjątkowa, bo rezultat nie zależy jedynie od własnego wysiłku, ale od umiejętności wydobyć piękna z innych.

**JM:** Żeby dojść do piękna, trzeba zacząć od techniki. Dyrygent to nieznoszny pedant, któremu zawsze coś się nie podoba i który stale coś poprawia, a za taką osobą się nie przepada. Gdy stoję przed orkiestrą, od razu widzę, który z muzyków jest przeciwko mnie. *(śmiech)* Na szczęście orkiestra szybko orientuje się, z kim ma do czynienia. Zdarza się, że na początku wyczuwam opór, potem z kolei wielu muzyków prawi mi komplementy. Na przykład chwali za to, że zadyrygowałem inaczej niż moi poprzednicy i osiągnąłem wspaniały efekt. To przyjemne, ale nie zawsze się zdarza.

**KB:** W krótkim okresie wyniósł pan Polską Orkiestrę Kameralną na absolutne wyżyny sztuki. Jaka wtedy przyświecała panu idea dobrej roboty?

**JM:** To był zachwyt nad osiągnięciami Neville'a Marrinera i założonej przez niego, najlepszej na świecie orkiestry kameralnej Academy St. Martin in the Fields. Aby uzyskać taki poziom, potrzebne było doskonałe granie, a pod tym pojęciem kryje się technika, precyzja, intonacja i brzmienie. Mój nieustępliwy charakter i pęd do doskonałości sprawiają, że nie potrafię przejść obojętnie obok złej intonacji, zatrzymania tempa czy takiego ułożenia smyczka, które nie pozwala osiągnąć właściwego, pięknego brzmienia. Jestem krytyczny, ale nie z powodu złośliwości, po prostu inaczej nie umiem. Ważna jest również odpowiednia dynamika: kiedy forte – to forte, kiedy piano – to piano. A zagrać cicho z pięknym dźwiękiem jest najtrudniej. Należało dopracować tysiące detali, żeby zbudować orkiestrę, która oddycha jak jeden organizm.

**KB:** Niesie pana także wrodzony temperament...

**JM:** Który nie pozwala na przykład zagrać poloneza majestatycznie. Gram z wigorem, cechą moich wykonań są szybkie tempa. Towarzyszy im jednak zawsze olbrzymia precyzja, której wymagam również od muzyków. Wielu słuchaczom bardzo się to podoba, ale oczywiście dla orkiestry oznacza katorżniczą pracę. Kiedy prezentowałem w Szwecji płytę nagrałą przez Polską Orkiestrę Kameralną, myślano, że tak nie może zagrać orkiestra, a płyta odtwarzana jest na zwiększonych obrotach. Osiągnęliśmy mistrzostwo, bo muzycy ufali mi i podzielali moje dążenia. Wiedzieli, że jeśli będą dobrzy, to wyjadą na Zachód, ale nie dla dolarów i szynki, której w Polsce Ludowej nie można było uświadczyc. Marzyli, aby wystąpić w największych salach koncertowych świata, tam, gdzie zaszczytu grania dostępują najwięksi. Oczywiście dzisiaj taki styl pracy jak mój sprzed lat jest nie do pomyślenia. Wtedy zdarzało mi się obudzić muzyka o trzeciej w nocy, żeby sprawdzić, czy dobrze zagra dany fragment utworu. Nie wynikało to z sadyzmu, ale z założenia, że jeśli muzyk potrafi zagrać wyrwany ze snu, to tak samo dobrze zagra na jakiejś wspaniałej sali przed publicznością i krytykami, gdy da o sobie znać paraliżująca trema. Jestem tytanem pracy i tego samego wymagałem od muzyków. Ale kiedy władze peerelowskie w uznaniu zasług zaproponowały

mi wille na Żoliborzu – odmówiłem. Jak mogłem mieszkać w willi, podczas gdy moja orkiestra nie miała mieszkań?! A kiedy przyjechała do Polski orkiestra Marrinera, to chcąc ją ugościć, wydałem bankiet w Bristolu na własny koszt. Zaprosiłem oczywiście także moich muzyków. Ubawiłem się, kiedy Marriner podziękował ministrowi kultury, sądząc, że to od niego otrzymał zaproszenie. Nigdy nie dbałem o pieniądze. Największą dla mnie zapłatą był zachwyt Marrinera, który był pod wielkim wrażeniem naszej gry i powiedział, że pojawiła się groźna konkurencja.

**MT:** Czy to prawda, że wykupił pan własne nagranie, bo nie było doskonałe?

**JM:** Nie podobało mi się brzmienie trąbek, bo nagrywaliśmy w nocy i instrumenty były zbyt zimne. Pokryłem koszty całego nagrania, m.in. studia, sali, chóru, oświetlenia, wydając na to na dziesięć tysięcy ok. 1,5 mln zł. Wtedy Maksymiuk to była marka i nie mogłem jej zaszkodzić. Wykupiłem cały nakład, bo nie chciałem, aby ukazała się na rynku płyta sygnowana moim nazwiskiem ze złe brzmiącymi trąbkami. Taki jestem – nie spocznę, dopóki nie osiągnę wymaganego efektu. Bez względu na skutki, w tym finansowe.

**MT:** Czym różni się praca z orkiestrą kameralną od pracy z dużą orkiestrą symfoniczną?

**JM:** Orkiestra symfoniczna jest jak armia napoleońska: można wysłać na stracenie nawet 100 tys. żołnierzy, a i tak wygrywa się

Każdy naród stara się  
grać utwory swoich  
kompozytorów,  
lecz trzeba to robić  
w odpowiednich  
proporcjach,  
nie zapominając  
o sztuce.



bitwę, o ile strategia jest dobra. Natomiast kameraliści to komandosi – każdy jest ważny i każdy wpływa na ostateczny efekt. Praca z kameralistami jest jedyna w swoim rodzaju. Jest niewielu muzyków, nie ma więc miejsca na najmniejsze niedokładności, bo je słysząc. W dużej orkiestrze – niekoniecznie. W jednej ważniejsza jest strategia, w drugiej – precyzja. Każdy muzyk w orkiestrze kameralnej widzi moją twarz, mój grymas, a ja widzę twarz każdego z nich. Wiem, w jakim nastroju przyszli do pracy. Oni także wiedzą to o mnie. Nic dziwnego, że rzadko dyrygent utrzymuje się długo w jednej orkiestrze. Udało się to Marrinerowi, Agnieszce Duczmal... Ja dyrygowałem Polską Orkiestrą Kameralną 10 lat.

**MT:** Po Polskiej Orkiestrze Kameralnej przyszedł czas na orkiestrę ze Szkocji.

**JM:** Upadała BBC Scottish Symphony Orchestra i szukano kogoś, kto ją naprawi i będzie nią dyrygował. Zaczynałem od wielkiej orkiestry, kameralną poprowadziłem do sukcesu, dyrygowałem na Zachodzie. Przyjrano się, jak pracuję, i postawiono na mnie. Na początku nie było łatwo, bo Szkoci nie rozumieli mojego stylu pracy i emocji. Jednak mogę powiedzieć, że miałem szczęście, bo przychodzili na próby świetnie przygotowani i od razu potrafili zagrać utwór, a to solidny fundament sukcesu. BBC Scottish Symphony Orchestra stała się jedną z najlepszych orkiestr.

**MT:** Dla promocji polskiej muzyki na świecie i w kraju zrobił pan wiele. Jednak trzeba przyznać, że nawet u nas nie gra się jej zbyt często.

**JM:** Bacewiczównę grałem chyba więcej niż 500 razy, podobnie „Preludia i fugę” Lutosławskiego albo na przykład „Divertimento” Stachowskiego. Było i jest się czym chwalić! Polska Orkiestra Kameralna zasłynęła z wykonania „Tamburetty” Adama Jarzębskiego. Był to zwykły utwór z XVII w., ale wykonany w tempie i z niezwykłą precyzją stał się ikoną tej orkiestry. „Tamburettę” docenili zarówno zwykli odbiorcy, jak i koneserzy. Wielokrotnie grałem utwory Grażyny Bacewicz, Marty Ptaszyńskiej, Tomasza Sikorskiego, Tadeusza Bairda czy Marka Stachowskiego. W 1979 r., kiedy występowałem z Polską Orkiestrą Kameralną w Carnegie Hall w Nowym Jorku, po arcydziełach muzyki światowej nie zawałałem się na bis zagrać „Opowieści zimowej” Marty Ptaszyńskiej.

**MT:** Obecnie decydenci oczekują, aby grać więcej polskiej muzyki.

**JM:** Każdy naród stara się grać utwory swoich kompozytorów i tak być powinno. Ale trzeba to robić w odpowiednich proporcjach, nie zapominając o sztuce i publiczności. Trzeba pamiętać, że są utwory genialne, bardzo dobre, ale też po prostu złe i nudne. Są łatwe i trudne. Jeżeli zaproponuje się dużo miłkiego re-



pertuaru, to nie wykształci się gustu. Z kolei jeżeli postawi się na trudny i nudny repertuar, to publiczność w ogóle nie przyjdzie. Kluczowy jest właściwy dobór repertuaru na koncercie. W Szkocji każdy wieczór rozpoczynałem od utworu współczesnego, aby publiczność osłuchiwała się z innym złożeniem dźwięku, po czym następowały utwory uznane i wybitne, jak symfonie Beethovena. Publiczność trzeba traktować poważnie, dobierać repertuar koncertów z rozwagą, polegając na opinii specjalistów. Nie można na siłę serwować muzyki niezbyt wysokich lotów tylko dlatego, że jest narodowa. Nie zawsze łatwo wypełnić sale filharmonii, jedynie wielkie nazwiska przyciągają szeroką publiczność. Mamy wybitnego Szymanowskiego oraz uznanego na świecie Pendereckiego, ale oni są trudni w odbiorze dla nieprzygotowanej publiczności. Stąd często otrzymuję propozycje poprowadzenia koncertu muzyki filmowej Wojciecha Kilara. Zgadzam się, jednak pod warunkiem włączenia choć jednego jego utworu symfonicznego, na przykład wspaniałej „Orawy” czy „Kzesanego”. Organizator może przez chwilę nie będzie zadowolony, bo na plakacie już nie będzie mógł napisać: „Kilar – muzyka filmowa”, ale akurat „Orawa” czy „Kzesany” są tak dobrze przyjmowane przez publiczność, że koncerty zawsze odnoszą sukces.



Fragment kompozycji Jerzego Maksymiuka „3 pezzi piccoli”

**MT:** A Paderewski i jego symfonia „Polonia”, którą pan nagrał trzy razy?

**JM:** Paderewskiego ogromnie cenię. Być może nie był genialnym kompozytorem, ale uważam, że napisał najlepszą polską symfonię romantyczną, i dlatego nagrałem „Polonię” na trzech płytach: z BBC Scottish Symphony Orchestra, z Sinfonią Varsovią i z Filharmonią Pomorską w Bydgoszczy. Pół życia poświęciłem, aby przywrócić pamięć o Paderewskim. To idealna postać dla filmu. Ten piękny mężczyzna był nie tylko legendarnym pianistą, niezwykle cenionym w swoich czasach, ale i wielkim patriotą, który w umiejętny sposób wykorzystał swoją popularność w celu przysłużenia się ojczyźnie. Przed wojną na jego koncerty przy-

chodziła królowa Wiktorja. W USA był nazywany czarodziejem klawiatury, a jednocześnie to on wywalczył dopisanie trzynastego punktu o Polsce w rezolucji Wilsona. Była ona ultimatum uzależniającym podpisanie przez Stany Zjednoczone traktatu wersalskiego, kończącego pierwszą wojnę światową. Z chwilą odzyskania przez Polskę niepodległości Paderewski przyjął stanowisko pierwszego premiera i ministra spraw zagranicznych.

**MT:** W Teatrze Wielkim koncertowi Paderewskiego, którym pan dyrygował, towarzyszył dokumentalny film o Paderewskim autorstwa Wiesława Dąbrowskiego.

**JM:** Przedzielenie symfonii opowieścią filmową o kompozytorze zrobiło na publiczności duże wrażenie. Także na naszych gościach z Włoch i Francji, którzy na co dzień zajmują się kulturą.

**MT:** Łączenie dźwięku z obrazem pomaga w odbiorze sztuki wysokiej, lecz czy nie przeszkadza panu jako muzycznemu perfekcjonście?

**JM:** Oczywiście jako muzyk wołałbym, żeby muzyka, zwłaszcza geniuszy, przemawiała sama, bez pomocy, ale to prawda, że czasem trzeba dodać „podpórkę”. W tym przekonaniu utwierdza mnie sukces koncertu „Głosy gór”, którym dyrygowałem już 16 razy w Teatrze Wielkim i innych salach przy zapelnionej po brzegi widowni. To zestawienie utworów wielkiej klasyki, jazzu i góralskiego folkloru. Sebastian Karpiel-Bułecka pięknie śpiewa ludową kołysankę, Janusz Olejniczak – jak zawsze wzruszająco – gra m.in. Chopina, a utwory Szymanowskiego, Góreckiego i Kilara wykonują dwa kwartety smyczkowe, jazzowe trio fortepianowe i kapela góralska. Nad sceną pojawia się animowany montaż fotografii autorstwa Mieczysława Karłowicza. Ten koncert był już prezentowany za granicą i tam również się podobał. Otrzymaliśmy kolejne zaproszenia. Nie ma rady, trzeba szukać dobrych utworów i nowych form wykonawczych, aby przyciągnąć do wielkiej sztuki szeroką publiczność. Potrzebny jest koordynator, który byłby łącznikiem pomiędzy oczekiwaniami publiczności a aspiracjami muzyków.

**MT:** Zgodzi się pan z opinią, że gust muzyczny publiczności jest coraz gorszy?

**JM:** Niestety tak. A metoda strusia chowającego głowę w piasek jest do niczego. Trzeba temu zaradzić. Jednak, jak już mówiłem, nic na siłę. Oczywiście ubolewam, że wiele utworów Sikorskiego, Bairda czy Serockiego nie jest granych, jednak sam próbuję budować swoje programy jako złożenia tego, co trudne, i tego, co łatwiejsze w odbiorze. Z kolei trzeba pamiętać, że bardzo trudno ocenić współczesne utwory. Od sztuki do szarlatanerii niedaleko. A gdy jeszcze dołoży się efekty wizualne, to trzeba być dobrze wyszkolonym muzycznie ekspertem, żeby nie dać się złapać w pułapkę. Warto jednak zauważyć, że często młodzi lepiej rozumieją muzykę współczesną niż na przykład Czajkowskiego. Trzeba to wykorzystać.



**KB:** Jak zdefiniuje pan ten pierwiastek muzyki, który jest dla pana najistotniejszy?

**JM:** Dla mnie istotna jest struktura utworu i sposób, w jaki jest budowany, oraz to, jak dąży do punktu, który nazywam apoteozą. Nie kulminacją czy ekstazą, ale właśnie apoteozą. Na przykład w II symfonii Beethovena trzeba zagrać aż 20 minut, aby dojść do takiego punktu. Muszę bardzo pilnować muzyków, aby nie grali za głośno wcześniej i dopiero w tym punkcie osiągnęli apogeum. Jeżeli ten efekt uzyskam, wtedy odczuwam prawdziwą satysfakcję. Czasem w utworze jest jedna nuta lub jeden fragment, które oznaczam na partyturze słowem „magic”. To momenty, w których kompozytorowi pomagał Bóg. Takie jest ostatnie sześć minut w „Symfonii psalmów” Igora Strawińskiego. Jest też taki fragment w Koncercie f-moll Chopina. Jeżeli chodzi o kreacyjność fortepianu, to stawiam Chopina ponad Mozartem. Podarował nam wy rafinowane utwory, które wydają się proste, trafiają niemal do każdego, a są mistrzowskimi i tak trudnymi do wykonania kompozycjami! Najważniejsze, że wręcz porażają pięknem i metafizyczną siłą, ogarniają kosmiczną przestrzeń.

**MT:** W czym tkwi sedno pracy dyrygenta?

**JM:** W pracy z orkiestrą zawsze powtarzam, że nie zaczynamy od emocji, ale od techniki. Naszym zadaniem jest doskonalenie techniki i precyzji wykonania, emocje przychodzą same. Sztuka wysoka wymaga poświęcenia, bo trzeba sprostać jej wielkości. Wymaga olbrzymiej pracy, bo też trzeba odkryć wiele sekretów. To zaskakujące, że aby osiągnąć wspaniałe piano w dużej orkiestrze, trzeba zagrać minimalnie nie razem, a wtedy muzyka brzmi jak powiew wiatru. Zaś ostatnia próba odbywa się przy publiczności! Można bowiem ćwiczyć w nieskończoność, ale kiedy gra się dla ludzi, dochodzi dodatkowy czynnik stresu – pokonania go też trzeba się nauczyć. Dużo mamy takich sekretów.

**MT:** Czy lubi pan dyrygować swoimi utworami?

**JM:** I tak, i nie. Jeżeli na koncercie gram swój utwór i utwór Beethovena, to nie wypada mi poświęcać więcej czasu na próbowanie własnej kompozycji. Poza tym dochodzi dodatkowa trema. Kiedyś wielki dyrygent Witold Rowicki powiedział do wielkiego kompozytora Witolda Lutosławskiego: „Wituś, ty umiesz pisać, ja umiem dyrygować. I niech tak zostanie”. Szczerze mówiąc, uważam, że kiedy inni dyrygują, lepiej to wychodzi. Czasami nawet chwałę kolegów, którzy dyrygują moimi utworami. „Ładniej grasz, niż ja napisałem” – powiedziałem do Jana Staniendy.

**KB:** Człowiek, który zaznajomi się z pana biografią, może odcnieć wrażenie, że Jerzy Maksymiuk, choć jest dyrygentem, prowadzi rockandrollowy styl życia...

**JM:** Do takiego myślenia może skłaniać moja spontaniczność, czasem mylona z ekstrawagancją, którą mi przypisywano. Czasem pytano: ty udajesz czy taki jesteś? Jestem gwałtowny, nieuporządk-

kowany w życiowych sprawach, ale na pewno zawsze jestem sobą, bo Bóg dał mi cechę swobodnego myślenia. Ta cecha objawia się i w życiu, gdy zdarza mi się łamać konwenanse, i w muzyce, kiedy wprowadzam swoje tempa lub inaczej frazuję, niż zwykle się robić. Najwięksi, jak prof. Eugenia Umińska, zwracali mi uwagę, że „łączę frazę”, a jednak nie zmieniłem tego. Nie z pychy, ale z wewnętrznego przymusu.

**KB:** Czym jest dla pana dyrygentura?

**JM:** Dyrygentura to osobista wypowiedź. Ostatnio grałem z Narodową Orkiestrą Symfoniczną Polskiego Radia „Krzeseł” Kilara. Na początku w partyturze zapisane jest bardzo wolne tempo 30. Ja dyryguję szybciej. Przypominałem sobie, jak rozmawiałem o tym z Kilarem. Podobało mu się moje dyrygowanie. Może nawet zapisując tempo 30, nie zdawał sobie sprawy, ile to jest w praktyce. Dużo słyszymy, zapisując nuty na papierze, ale jednak nie wszystko. Dla mnie serce utworu to nie jego wykonanie, ale partytura, nuty, z których jest zbudowany. Śledzę konstrukcję całości, rozstrzygam, czemu nuty służą. Szukam sedna utworu i znajduję sposób, by zabrzmiał, jak czuję. A początek „Krzeseł” czułem zdecydowanie szybciej. Widziałem na próbie, że orkiestra nie była zadowolona ze zmiany tempa, bo zwykle grała wolniej. „Oj, przyszedł Maksymiuk i znowu wszystko trzeba grać szybciej”. Byłem jednak konsekwentny, nie ustąpiłem, musieliśmy dobrze poćwiczyć. Ale rezultat był wspaniały. Nawet Joanna Wnuk-Nazarowa, niezwykle wymagająca dyrektorka Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia, po koncercie powiedziała: „Brawo Jurku, świetnie to zrobiłeś”. W tym wszystkim nie chodzi o popisywanie się czy gwiazdorstwo na scenie, ale konsekwencję w dążeniu do realizacji własnych przekonań. Publiczność wyczuwa każdy fałsz i wtedy nie ma tej magii, bo nie ma przepływu energii między dyrygentem a artystami, muzykami a publicznością.

**MT:** Czy to był właśnie ten koncert z muzyką filmową Kilara, w którym „przemycił” pan „Orawę”?

**JM:** Właśnie ten. Choć sam napisałem wiele muzyki filmowej, m.in. do „Sanatorium pod klepsydrą” Wojciecha Hasa, uważam ją za sztukę użytkową, niższego lotu. Osobiście żałuję, że mój przyjaciel Wojciech Kilar znany jest głównie z muzyki filmowej, choć oczywiście doceniam jej wartość jako dopełnienie obrazu filmowego. Ciągle zastanawiam się, czy gdyby nie poświęcał tyle czasu muzyce filmowej, powstałoby więcej jego pięknych dzieł muzyki poważnej.

**MT:** Widzi pan swoich następców na polskiej scenie?

**JM:** Kibicuję Pawłowi Kapule. To młody dyrygent, który na scenie Filharmonii Narodowej pięknie zadyrygował VIII symfonią Dworzaka. Wróżę mu sukcesy. Swoją markę wypracowuje także Śląska Orkiestra Kameralna. Jej także kibicuję, bo doceniam żar, z jakim pracuje. Dyryguję dużymi orkiestrami, w duszy jestem jednak kameralistą.

# Fanatyzm wyklucza człowieka niepoddającego się schematom

O zmaganiach jednostki z niesprawiedliwym losem i granicach wolności w sztuce z **Feliksem Falkiem** rozmawiają Kamil Broszko i Marzena Tataj.

**Feliks Falk** (ur. 1941 r.) – polski reżyser filmowy i teatralny, scenarzysta, dramaturg. Absolwent Wydziału Malarstwa i Grafiki warszawskiej ASP (1966 r.) oraz Wydziału Reżyserii PWSFTiT (1973 r.). Wyreżyserował wiele dzieł polskiej kinematografii, m.in. „Wodzireja”, „Komornika”, „Samowolkę”, „Joannę”. Wiodący przedstawiciel rozpoznawalnego nurtu kina moralnego niepokoju. Autor sztuk teatralnych i telewizyjnych oraz słuchowisk radiowych. Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Wykładowca studium scenariuszowego Wytwórnia Scenariuszy, działającego przy Wytwórni Filmów Dokumentalnych i Fabularnych w Warszawie. Odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski (2011 r.).



**Marzena Tataj:** W tym roku świętujemy 40-lecie „Wodzireja”.

**Feliks Falk:** Faktycznie, „Wodzireja” wyprodukowaliśmy w 1977 r., ale przeleżał na półkach przez rok i wszedł do kin dopiero w 1978 r. I to bez oficjalnej premiery. W owym czasie szefem Komitetu Kinematografii w randze wiceministra był Janusz Wilhelmi i to on zablokował kilka filmów, między innymi mój. Akurat wtedy był dobry okres pod względem artystycznym dla polskiego filmu. Powstały filmy kontrowersyjne politycznie i niewygodne dla ówczesnej władzy, jak „Barwy ochronne” Krzysztofa Zanussiego, „Amator” Krzysztofa Kieślowskiego czy „Kobieta samotna” Agnieszki Holland. Mechanizm był taki, że zanim za film zabrała się cenzura, przechodził on przez sito szefa Komitetu Kinematografii. On jako pierwszy oglądał film i sugerował wycięcie tych fragmentów czy scen, które uważał za sprzeczne z jedynie słuszną linią partii. Jeśli całość filmu była „podejrzana”, miała niewłaściwy wydźwięk, to wtedy film zatrzymywano i trafiał na półki. Nawet nie był kolaudowany. Tak właśnie stało się z „Wodzirem”. Po roku „leżakowania” film został skolaudowany. Ta procedura nigdy nie była przyjemnym przeżyciem, bo brali w niej udział m.in. reżyserowie Poręba i Petelski, komunistyczni patrioci, którzy, nawiasem mówiąc, świetnie odnaleźliby się w dzisiejszej rzeczywistości. I tak Poręba uważał, że „Wodzirej” to bardzo dobry film, w amerykańskim stylu, ale nie powinien się ukazać, ponieważ jest antypolski. Na szczęście Wilhelmi dopuścił „Wodzireja” do kolaudacji, a to znaczyło, że decyzja została już podjęta – zezwolono na dystrybucję filmu, ale bez oficjalnej premiery. „Wodzirej” wystartował 22 lipca 1978 r., w rocznicę uchwalenia manifestu PKWN, co samo w sobie jest zabawne. Na początku powielono go jedynie w kilku kopiach, a ostatecznie było ich 20. Film spodobał się do tego stopnia, że w ciągu roku miał milionową widownię, co na owe czasy było bardzo dobrym wynikiem.

**Kamil Broszko:** Czy pamięta pan ówczesne reakcje publiczności i oceny recenzentów?

**FF:** Pierwszy nieoficjalny pokaz filmu odbył się w słynnym Dyskusyjnym Klubie Filmowym „Kwant” Politechniki Warszawskiej, mieszczącym się w Domu Studenckim Riviera. Oprócz mnie brał w nim udział także Jurek Stuhr. „Wodzirej” został bardzo dobrze przyjęty, choć w partyjnej „Trybunie Ludu” czy w równie partyjnym tygodniku „Film” (kierowanym przez redaktora naczelnego Czesława Dondziłło) pisano o filmie źle i w dodatku krytykowano Stuhra za to, że wziął w nim udział. Strategia władz wobec „Wodzireja” była taka: puścimy ten film do kin, ale jednocześnie będziemy zmniejszać jego rangę. I to się działo właśnie poprzez pojedyncze, ale negatywne recenzje. Polityka partii w stosunku do kultury miała charakter sinusoidy: na zmianę dociskanie i odpuszczanie. „Wodzirej” i równocześnie kilka innych filmów trafiło na czas, kiedy władza pozwoliła odetchnąć. W gruncie rzeczy partii zależało, żeby polska kultura istniała za granicą. I tak się działo: film, teatr

i literatura były znane na świecie, a szczególnie w Europie. Powstały nawet terminy „polska szkoła filmowa” czy „polska szkoła plakatu”.

**KB:** Nie będzie chyba błędem teza, że „Wodzirej” odzwierciedla ciemną stronę tego systemu i ciemniejszą stronę człowieczeństwa. Czy pana zdaniem zły system tworzy złych ludzi, czy raczej jest odwrotnie?

**FF:** W 1989 r. zrobiłem dla telewizji sztukę Szekspira „Ryszard III”. Przyjąłem założenie, że Ryszard III był zły, ponieważ inni byli tacy sami. Zmusiła go do tego sytuacja i okoliczności. Wodzirej Lutek Danielak, pracownik wojewódzkiej Estrady, również był zmuszony do określonych zachowań przez środowisko, w którym funkcjonował. Nie zawahał się nawet zniszczyć swojego przyjaciela Romka, aby zdobyć upragnione zlecenie – poprowadzić bal z okazji otwarcia nowego hotelu Lux. Kiedy Romka zabrało pogotowie, a jego żona oskarża Danielaka, on, broniąc się, mówi: „muszę tak robić, bo tak robią inni”. I jest to jego jedyna chwila słabości pokazana w filmie.

Ja akurat oddzieliłbym jakikolwiek system od charakteru człowieka. Oczywiście, jeżeli istnieje system na przykład zezwalający na korupcję, to człowiek słaby, który jest na nią podatny, łatwo ulegnie degradacji i w sytuacji korupcyjnej może postąpić w sposób sprzeczny z wartościami ogólnie przyjętymi. Natomiast jeśli system staje się restrykcyjny i wprowadza olbrzymie kary za przekroczenie przyjętych norm prawnych, człowiek poddaje się mu ze strachu. Czy wtedy zachowanie zgodne z systemem jest prawdziwą cnotą i ma realną wartość z punktu widzenia człowieczeństwa? Po to został wymyślony dekalog, po to opracowuje się kodeksy, po to wychowuje się dzieci w uczciwości, moralności i poszanowaniu godności, aby człowiek właściwie postępował niezależnie od okoliczności czy panującego systemu. Ale człowiek bywa słaby i jeśli ma przyzwolenie na odstępstwo od reguł, to oczywiście z tego skorzysta. System socjalistyczno-komunistyczny akurat na to pozwalał. Nazywam go systemem barterowym, bo działał według zasady: ja ci coś załatwię, a ty mi się zrewanżujesz. I o tym między innymi jest „Wodzirej”. Pytanie, czy wszyscy temu ulegali. Moim zdaniem nie wszyscy. Ja nie ulegałem i nie ulegała zdecydowana większość moich przyjaciół. To zależy od konstrukcji moralnej jednostki.

**KB:** Również film „Joanna”, choć tak bardzo kameralny i subtelny, rozprawia się z systemem zła, pokazując, jak bardzo determinuje on decyzje moralne ludzi. Czy postawę człowieka w krytycznym momencie bardziej warunkuje system czy wewnętrzny imperatyw?

**FF:** Scenariusz „Joanny” napisałem zainspirowany prawdziwą historią. Chciałem pokazać sytuację człowieka, którego los niesprawiedliwie potraktował. Często zastanawiam się, dlaczego dobra i odważna osoba, która walczy w imię dobra i która czyni dobro, bywa krzywdzona przez los, przypadek, system. Prawdopodobnie



większość z nas kiedyś – czy to w szkole, czy w pracy – została fałszywie oskarżona. Największe wrażenie w ostatnich latach zrobiło na mnie fałszywe oskarżenie ludzi, którzy dużo dobrego zrobili w stanie wojennym, a przez jakieś spreparowane dokumenty, czyjąś złośliwość czy świadomie rzucane oskarżenia zostali zniszczeni i zaszczuci. Oczywiście istnieli autentyczni donosiciele i agenci, ale wielu oskarżonych o współpracę z SB nie było w nią uwikłanych. Niektórzy zostali zmuszeni do niej szantażem, wielu udało się z tej współpracy wypłatać. Niestety, świadomie i z rozmysłem skrzywdzono wiele jednostek zasłużonych w walce z peerelowskim systemem. Ta myśl o niesprawiedliwej krzywdzie leżała u podstaw opowiedzenia historii Joanny, która w osamotnieniu, z narażeniem życia, ratuje żydowskie dziecko w czasie wojny i zostaje skrzywdzona przez złośliwość i zawziętość innych ludzi. Ale także i ślepy los.

**MT:** Dla mnie „Joanna” to film o ludzkich odruchach w nieludzkich czasach, ale też kameralna, z wielką wrażliwością opowiedziana historia, która pokazuje pełne spektrum postaw Polaków wobec Żydów w czasie wojny.

**FF:** „Joanna” to film wielopoziomowy. Przede wszystkim pokazuje, jak niesprawiedliwy potrafi być los dla dobrych ludzi. Dobro nie zawsze zostaje nagrodzone. Niestety, ten aspekt filmu w percepcji widzów nie wybija się na pierwszy plan. Co mnie zresztą dziwi, bo wydawało mi się, że jest pokazany wyraźnie. Drugi ważny dla mnie problem (a przemilczany przez krytykę) to fakt, że Armia Krajowa zbyt często osądzała i wykonywała wyroki na Polakach bez należytego rozpatrzenia sprawy, skutkiem czego ofiarami stawały się niewinne osoby. Jest to dramatyczny i powtarzający się ciągle problem, z którym ludzie stykają się wszędzie, nie tylko w Polsce.

**KB:** W centrum tego filmu mamy kobietę. Czy to świadomy zabieg, żeby odejść od męskich bohaterów i pokazać kobietą postawę wobec systemu zła?

**FF:** Aż tak nie spekulowałem. Po prostu byłem przekonany, że ta historia opowiedziana z punktu widzenia kobiety będzie bardziej nośna. Choć niektórzy uważali postać Joanny za zbyt idealistyczną. Dla obcego dziecka poświęcić swoją godność, swoje ciało? Ale ta historia jest prawdziwa. I wiele było takich historii.

**KB:** Chciałem zapytać o odwagę twórcy, nawiązując do postaci niemieckiego oficera w filmie „Joanna”, jeśli nie dobrego, to przynajmniej zdradzającego pewne przejawy dobra. Czy nie obawiał się pan, że takim ujęciem urazi część widzów?

**FF:** W ogóle się nad tym nie zastanawiałem. Dla mnie najważniejsza jest zawsze dramaturgia historii. Jeśli jakieś rozwiązania dramaturgiczne są sprzeczne z odczuciami pewnej części widzów czy nawet wszystkich – to trudno. Mój film, moja wypowiedź, moje ryzyko.

W tym konkretnym przypadku, robiąc film, nie miałem świadomości, że pokazuję Niemca, który ma jakieś cechy pozytywne. Dopiero czytając recenzje, uświadomiłem sobie, że coś takiego

**1. Jerzy Stuhr w filmie „Wodzirej”**

**2. Urszula Grabowska z Feliksem Falkiem na planie filmu „Joanna”**

**3. Andrzej Chyra w filmie „Komornik”**



© JERZY SZUROWSKI/STUDIO FILMOWE „ZEBRA”

1

było. Oczywiście Niemiec nie był kryształowy, bo przecież zmusił kobietę, żeby mu się oddała. Inaczej zastrzeliłby dziecko. To, że obudziła się w nim litość nad dzieckiem i przyniósł lekarstwa, nie znaczy, że w innej sytuacji by nie zabił. Może faktycznie zakochał się w Joannie, a może miał zwykły ludzki odruch... Kiedy piszę scenariusz, najważniejsza jest dla mnie historia, wyrazista i dobrze opowiedziana, którą widz może przeżyć emocjonalnie. Nie włączam autocenzury i nie spekuluję, jak widz ją odbierze.

**KB:** Bohaterka „Joanny” wchodzi w mgłę i w niej znika. Jest to zakończenie otwarte i jako widzowie musimy je przyjąć, ale nie mogę się oprzeć pokusie poznania interpretacji twórcy.

**FF:** Wiem, że to zakończenie spotkało się bardzo z różnym odbiorem. Niektórym widzom wyraźnie się nie podobało, ale ja, prawdę mówiąc, nie miałem innego wyjścia. Przecież Joanna nie miała żadnego wyboru: z dzieckiem zostać nie mogła, bo już została namierzona, a kiedy je oddała siostrze zakonnej pod opiekę, sama nie bardzo miała co ze sobą począć. Rodzice ją odrzucili, społeczeństwo napiętnowało. Nie mogła się ukrywać w nieskończoność. Niech widzowie sami zadecydują, czy Joanna popełnia samobójstwo. Zdecydowałem się na metaforyczne zakończenie, bo uważam, że jest ono najlepsze dla tego filmu.

**KB:** Wracając jeszcze na chwilę do „Wodzireja”. Czy można przyjąć, że opisuje on również dzisiejsze czasy?

**FF:** Zrobiłem już kiedyś kontynuację „Wodzireja”. Film nosi tytuł „Bohater roku” i opisuje rzeczywistość 1985 r., czyli okres „płynnego” stanu wojennego. Natomiast dzisiaj jest mi właściwie trudno sobie wyobrazić taki film. Można sobie żartować i planować obsadę terazniejszego „Wodzireja”, wychodząc z założenia, że dzisiejszy system to taki PRL bis. Ale jestem przekonany, że taki zabieg nie odniósłby sukcesu. Po pierwsze „Wodzirej” był metaforą, nie pokazywał systemu wprost, nie odwoływał się do ówczesnych władz. Pokazywał środowisko kultury popularnej i od wyobraźni widzów zależało znalezienie





© MARCIN MAKOWSKI/MAKUFEL

2

odniesień do tamtego systemu. Dzisiaj również dobrze byłoby zrobić film będący metaforą. Kluczem jest ciekawy pomysł, dobry scenariusz. Warto zderzyć dwie idee, dwa wyobrażenia o państwie. Warto pokazać podziały w społeczeństwie, w rodzinach, wśród przyjaciół. Ale nie wprost, bo wtedy zobaczymy jedynie to, z czym stykamy się na co dzień. Potrzebny jest bardzo dobry pomysł na scenariusz, a ja go nie mam. Lecz może powstanie taki film...

**MT:** W „Wodzireju” uderza mnie to, że przypomina dokument. Oglądając go dzisiaj, można zobaczyć, jak wyglądał PRL.

**FF:** Kiedy robiłem „Wodzireja”, najważniejszy był dla mnie oczywiście temat, autorska wypowiedź o współczesności. Wszyscy twórcy filmowi wyznawali tę zasadę. Nie umawialiśmy się, ale wielu z nas czuło, że trzeba w filmach pokazywać rzeczywistość w sposób jak najbardziej autentyczny. Jedynie Kieślowski był dokumentalistą, zanim zajął się fabułą, zatem w naturalny sposób fabułę traktował dokumentalnie. Ja natomiast nigdy nie robiłem dokumentów, ale bardzo je lubiłem. Czułem, że w jakiś sposób tło „Wodzireja” musi być kalką rzeczywistości. Oczywiście film był wykreowany, przerysowany, sytuacje nie były podpatrzone, tylko powstały na planie i były wielokrotnie powtarzane. Rys autentyzmu zawdzięcza przede wszystkim Jerzemu Stuhrowi, który jeszcze będąc studentem polonistyki, wielokrotnie pracował jako wodzirej w Krakowie. Znał środowisko aktorskie i estradowe Krakowa i dzięki niemu udało się pozyskać śpiewaków i tancerzy. Nawet Bogusław Linda, początkujący i zupełnie nieznany wtedy aktor, którego Stuhur znał ze szkoły teatralnej, pojawia się na moment. Można powiedzieć, że był to jego debiut. Ludzie lubią oglądać znanych aktorów, przyciągają oni widownię do kina jak magnes. Ale jeśli się film właściwie obsadzi nieznanymi nazwiskami, a historia jest ciekawa, to widz również się zainteresuje, mimo braku gwiazd.

**KB:** Wiele osób uważa, że za problemy obecnej rzeczywistości odpowiada pewien „błąd założycielski”, zła droga, którą obrano na początku lat 90. Wydaje mi się, że „Komornik” jest



© PIOTR BUJNOWICZ, MATEUSZ WALDA/FABRYKA OBRAZU/STUDIO FILMOWE „ZEBRA”

3

**odpowiedzią na taką tezę. Pokazuje dzikość i brutalność tamtego okresu. Czy zgadza się pan z taką interpretacją?**

**FF:** Częściowo tak. To jest także film metaforyczny. Oczywiście w jakiejś mierze opowiada o tzw. dzikim kapitalizmie, ale przyświecał mi zupełnie inny cel. Zainteresował mnie scenariusz Grzegorza Łoszewskiego, bo pokazywał bohatera, który jest fanatykiem prawa. Legzekwuje je w sposób bezwzględny, nie pochylając się nad ludźmi, którzy wymagają pomocy. Reprezentuje on pewien rodzaj fanatyzmu, który wtedy obserwowałem i obserwuję dzisiaj w myśleniu o prawie i rządzeniu. Niewątpliwie obecnie mamy do czynienia z pewnego rodzaju fanatyzmem – czy to religijnym, czy w budowaniu nowego porządku prawnego. Komornik Bohme uosabiał taką postawę, a mimo to przegrał z ludźmi skorumpowanymi, mocniejszymi od siebie. Jak się potoczy współczesna historia, trudno mi powiedzieć. Wtedy poruszył mnie taki temat i dlatego zrobiłem o nim film.

**KB:** Co dla pana jest przeciwieństwem fanatyzmu: wrażliwość, szacunek dla bliźniego, wolność?

**FF:** Życie publiczne musi w jakiś sposób podlegać pewnemu kodeksowi, ogólnie przyjętym zasadom, aby było uporządkowane, uczciwe i sprawiedliwe. Jednocześnie uważam, że wolności trzeba postawić pewne granice, bo źle rozumiana wolność, która dopuszcza brak odpowiedzialności, jest niebezpieczna i prowadzi do chaosu. Gdzie ustanowić owe granice? To jest właśnie pole do dyskusji i konsensusu. Potrzebna jest przede wszystkim tolerancja wobec drugiego człowieka oraz indywidualne traktowanie jednostki. Nie powinno być odpowiedzialności zbiorowej. Fanatyzm nie dopuszcza takiej dyskusji, nie zezwala na analizę intencji człowieka. Fanatyzm automatycznie wyklucza ze społeczeństwa człowieka niepoddającego się schematom.

**KB:** Czy powinno się wytyczyć granice w obszarze sztuki, choćby odnoszące się do jakiejś społecznej reakcji, negatywnych emocji?

**FF:** W zasadzie od jakiegoś czasu nikt takich granic nie ustanawia i nie pilnuje. Chyba że w społeczeństwach zamkniętych, gdzie totalitarna władza ogranicza wolność słowa i obyczajów, a artyści tworzą na zamówienie, mitologizując władców, ich ideologię i historię. Wszędzie indziej można tworzyć, co się żywnie podoba. Czasami przybiera to karykaturalne formy, jak np. w malarstwie, gdzie można wylansować do rangi sztuki i sprzedać za duże pieniądze każde bezwartościowe dzieło. Zresztą w innych dziedzinach jest podobnie. Publiczność trochę się już gubi w kryteriach.

**MT:** W pewnym momencie swojego życia zmienił pan przestrzeń wypowiedzi artystycznej z malarstwa na kino.

**Dlaczego? Był to jakiś proces czy raczej impuls?**

**FF:** Z nudów. *(śmiech)* Faktycznie, zdarzyły się dwie sytuacje, które można nazwać impulsami. Po zakończeniu studiów na warszawskiej ASP miałem kilka wystaw i nawet otrzymałem jakieś nagrody, ale nie miałem poczucia, że wydarzenia artystyczne, szczególnie poświęcone malarstwu, obchodzą kogoś więcej poza bardzo wąską grupą samych artystów, krytyków i znajomych. Natomiast kochałem kino, chodziłem na filmy, jak wszyscy, i widziałem, czym jest reakcja wielotysięcznej publiczności. Jednak nie miałem początkowo odwagi zaczynać życia od nowa, czyli pójść na studia reżyserskie i ryzykować, że się nie uda na nie dostać albo ich ukończyć. Zajmowałem się malarstwem, ale także pisałem i już publikowałem w „Dialogu” swoje sztuki. Cały czas się wahałem, czy zmieniać swoje życie, bo miałem żonę i dziecko, miałem też stałą pracę jako redaktor graficzny w „Magazynie Polskim”. Namówił mnie dopiero mój przyjaciel, Marcel Łoziński, znany dokumentalista, który wtedy studiował na wydziale operatorskim w łódzkiej Filmówce, a wcześniej skończył politechnikę. Ostatecznie zdecydowałem się rozpocząć studia w Łodzi. Miałem pracę, więc stać mnie było na pociągi. *(śmiech)* Wraz ze mną przyjęło wielu ciekawych ludzi. Był Bugajski, Barański, Domaradzki. Reasumując: przejście od sztalgu do filmu spowodowane było potrzebą spotkania z większą grupą odbiorców.

**KB:** Nie bał się pan rzucić na przeciwległy biegun?

**Malarstwo to proces indywidualny, introwertyczny.**

**Malarz w pracowni jest sam, a dzieło rodzi się w jego głowie. Natomiast film to przede wszystkim wielkie przedsięwzięcie finansowo-organizacyjne. Poranne pobudki, sto osób na planie i zarządzanie nimi.**

**FF:** To prawda. Muszę przyznać, że byłem na początku bardzo nieśmiały reżyserem. Miałem wrażliwość artysty, który nawykł pracować sam. Zdawałem się raczej na operatora i współpracowników. Dopiero po latach stałem się prawdziwym reżyserem, bo przystosowałem się i potrafiłem nawet czasem krzyknąć, choć na ogół tego nie robię. Nabrałem pewności siebie, więc byłem

bardziej stanowczy, wiedziałem, czego chcę. Muszę jeszcze dodać, że studia malarskie bardzo przydały mi się w pracy filmowca, bo na ASP uczono nas poczucia rytmu (ja dodatkowo mam to wycucie intuicyjne), a w filmie rytm scen, dialogu i akcji jest bardzo ważny.

**MT:** Czy ściśle współpracuje pan z operatorem i wykorzystuje doświadczenie malarskie w spojrzeniu na kadr?

**FF:** Film to sztuka obrazu, więc ważny jest sposób kadrowania, paleta kolorów. Na film wysmakowany plastycznie potrzeba dużo czasu, a czas to towar najbardziej deficytowy. Kiedy nie ma czasu, a budżet zdjęciowy jest napięty, wtedy reżyser zdaje się na operatora. Przyznam, że w moich filmach walory plastyczne nie są na pierwszym planie. Za to przy realizacjach telewizyjnych (np. wspomnianym wcześniej „Ryszardzie III”) mogłem już bardziej wyrazić się plastycznie.

**KB:** Czy Polacy czekają teraz na film, który pomógłby im zinterpretować obecną rzeczywistość albo jakoś się w niej osadzić, aby mogli przejrzeć się niczym w lustrze i czegoś o sobie dowiedzieć?

**FF:** Nie jestem tego pewien, dlatego że film dzisiaj nie pełni już roli edukacyjnej czy propagandowej, choć to może niefortunne określenia, bo film nie powinien być dydaktyczny. Chodzi mi o to, że dzisiaj od filmu widz nie oczekuje już takich czy innych informacji, bo te potrzeby zaspokaja Internet i telewizja. Na co dzień jesteśmy atakowani faktami. I nawet jeśli w jakichś mediach są one fałszowane, to prawdę możemy znaleźć w innych. Widzowie mogą wybierać. Jedni poszli na „Smoleńsk”, inni nie. Jednym się podobał, innym nie. Czy to oznacza, że trzeba kierować się gustem widowni? A jeżeli tak, to której części? Ja czekam na film, który pokazałby w sposób analityczny to, co się dzieje w dzisiejszej Polsce, ale nie wiem, czy inni również na taki film czekają. „Wołyń” pokazał, że przynajmniej część społeczeństwa oczekuje rozrachunków z historią i ujawnienia ukrywanej czy niedopowiedzianej prawdy o pewnych faktach historycznych. Czy „Wołyń” spełnił ten warunek? Zdaniem części społeczeństwa na pewno tak.

**KB:** Myślę, że spore grono fanów „Wodzireja” i „Komornika” czeka na kolejny pana film.

**FF:** Nie mam na razie skryształizowanych planów, bo gdybym miał robić film, to taki, w którym mógłbym się odnieść do rzeczywistości. Ale nie wprost, a w sposób bardziej metaforyczny. Sęk w tym, że nie mam pomysłu i nie spotkałem nikogo, kto by taki pomysł miał. Co miałem do zrobienia i opowiedzenia – i to na różnych polach – to zrobiłem. Wolę poczekać i stworzyć coś, co z mojego punktu widzenia będzie ważne i przyniesie mi satysfakcję. Robienie byle czego mnie nie interesuje.

**Karol K. Soyka**

– podpułkownik, dowódca, żołnierz sił specjalnych, snajper. W GROM-ie od początku istnienia jednostki. Jako pierwszy Polak ukończył szkolenie Zielonych Beretów. Brał udział w ekstremalnie trudnych misjach w Iraku, Zatoce Perskiej i na Haiti. Autor książek „Cel za horyzontem” i „Krew snajperów”.

# Byłem snajperem GROM-u



O operacjach specjalnych, dylematach i etyce żołnierza z **Karolem Soyką** rozmawia Kamil Broszko.

**Kamil Broszko:** Czasem ludzie pytają żołnierza, czy kogoś zabił. W przypadku snajpera takie pytanie trochę traci sens, bo zabijanie to właściwie istota jego pracy.

**Karol Soyka:** Odpowiedź na to pytanie zawarłem w swoich książkach, które polecam. Oczywiście były sytuacje, w których musiałem pociągnąć za spust, i tyle mogę powiedzieć. Gdyby owe sytuacje się powtórzyły, nie miałbym problemu, żeby znów strzelić do przeciwnika. Poznałem osobiście Chisa Kyle'a, amerykańskiego snajpera (postać została odwzorowana w filmie „Snajper” Clint Eastwooda). To, co w nim podziwiałem i lubiłem, to fakt, że był bardzo odważny, pewny w działaniu, precyzyjny i przede wszystkim był żołnierzem z krwi i kości. Jego opowieść przebiła się w świecie. Natomiast w polskich warunkach wyznań o liczbie zabitych na polu boju nie powinno się nagłaśniać. Można mówić o wyszkoleniu czy precyzji, powiedzieć, że z odległości 2 km udało się zdjąć cel. Ale nie można opowiadać, ile osób się zabiło, nie można się tym chwalić. Polskie społeczeństwo nie jest przygotowane na takie wypowiedzi.

**KB:** Inaczej niż amerykańskie?

**KS:** Tak. Tam mamy inną kulturę, inny styl. Dziki Zachód, przywiązanie do broni – to wszystko powoduje, że w USA inaczej się opowiada o byciu snajperem. W Polsce powoli sytuacja się zmienia, ponieważ obecnie politycy postulują szerszy dostęp do broni, ba, pojawiają się nawet hasła sugerujące, że broń powinna być w każdym domu. Póki co ten ostatni kierunek uważam za niewłaściwy ze względu na nasz charakter i temperament.

**KB:** A rozwijanie kultury strzeleckiej, np. postulat strzelnicy w każdym powiecie? Jak z perspektywy żołnierza ocenia pan takie pomysły?

**KS:** Sympatyzuję z nimi. Nie wiem, czy strzelnica powinna być dokładnie w każdym powiecie, choćby ze względu na koszty pozyskania i przygotowania terenów pod kątem bezpieczeństwa. Weźmy przykładowo strzelnicę 200-metrową, czyli nie snajperską, ale już porządną, bo pozwalającą na prowadzenie strzelań z karabinka szturmowego na słusznym dystansie. To jest spory teren. Natomiast generalnie popieram rozwój kultury łączącej strzelectwo, sport i patriotyzm. Ten moment, kiedy Rosjanie najechali na Krym i zaczęła się wojna w Donbasie, był momentem przełomowym, w którym wielu polityków i spora część społeczeństwa uświadomiła sobie, że nie żyjemy w pacyfistycznym świecie. Od tego czasu coraz popularniejsze są ćwiczenia bojowe różnych grup paramilitarnych, a także zmienia się podejście społeczne do potrzeby wojska i obronności. Wcześniej dominowało naśmiewanie się z ka-



maszy, a służba wojskowa była powodem do wstydu. Oczywiście to wynikało z degrengolady w peerelowskim wojsku. Nie wszystko było wtedy złe, ale sporo było idiotyzmów i absurdów. Dziś nawet niektórzy studenci chcą uczestniczyć w zgrupowaniach wojskowych i odbyć podstawowe przeszkolenie. Byłoby dobrze, gdyby każdy człowiek je przeszedł – nawet ten, który kiedyś za wszelką cenę chciał uniknąć wojska. Zmienia się sposób myślenia. Sądzę, że duży wpływ miał udział Polski w misjach w Afganistanie i Iraku oraz w misjach pokojowych w Libanie, na wzgórzach Golan itd. Pewną rolę w zmianie wizerunku wojska odegrał też sam GROM. Braliśmy udział w misjach, ale też pośrednio współuczestniczyliśmy w wyrwaniu Polski z ówczesnej sfery wpływów oraz we wchodzeniu polskiego wojska i generalnie całego kraju do struktury cywilizowanego świata NATO oraz Unii Europejskiej.

**KB:** Snajper nie strzela, kiedy chce, tylko na rozkaz, a ten nie bierze się znikąd. Jaka jest procedura poprzedzająca naciśnięcie spustu?

**KS:** U nas ten proces wygląda trochę inaczej, niż widzimy to w filmach. Generał nie wzywa snajpera i nie wysyła go z tajną misją do Panamy. Odpowiem na podstawie mojego doświadczenia, więc trzeba uwzględnić, że mówię o przeszłości, bo jestem już siedem lat na emeryturze... Zadania specjalne, w tym zadania snajperów, wykonuje się w określonych celach. Są cele strategiczne, operacyjne i taktyczne. U nas decyzje o użyciu snajperów nie zapadały na szczeblu Ministerstwa Obrony czy Sztabu Generalnego, dlatego że my jako państwo nigdy nie byliśmy w takim stopniu zaangażowani w konflikty, jak przykładowo Amerykanie czy byłe państwa kolonialne. Mało tego, byliśmy zduszeni przez Układ Warszawski. Nikt nam nie pozwalał uczestniczyć razem z Rosjanami w operacjach na całym świecie. Nie

spotkałem się zatem z tym, że ktoś na szczeblu strategicznym, czyli najwyższym, przekazuje informację o konieczności zlikwidowania celu, bo ma to dla Polski strategiczne znaczenie. Tak mogło być na przykład podczas II wojny światowej. Amerykanie lub Brytyjczycy wysyłali w góry Szwajcarii dwóch czy trzech snajperów, aby zlikwidować Hitlera. Tak więc u nas działania snajperów nie wynikają bezpośrednio z decyzji podejmowanych na najwyższym szczeblu władzy w kraju. Natomiast mogą wynikać z decyzji podjętej na szczeblu operacyjnym. Ten poziom obejmuje całą operację, w której biorą udział polskie siły specjalne, np. w Iraku czy w Afganistanie. W przypadku tych operacji szczebel strategiczny to NATO i generałowie sojuszu. Zaś szczebel operacyjny to dowódca operacji, który może wezwać i bezpośrednio rozmawiać z zespołem snajperów czy z pojedynczym snajperem. Żołnierz mający podobne zadanie jak snajper działa też na trzecim (najniższym)

szczeblu, czyli taktycznym; jest to strzelec wyborowy. Najczęściej jednak snajper działa na szczeblu operacyjnym. W przypadku sił specjalnych jest to połączony sztab, który realizuje na miejscu zabezpieczenie i dekonfliktację z różnymi rodzajami sił, np. siłami powietrznymi czy marynarką wojenną, i ostatecznie jest wykonawcą operacji. W dowództwie operacyjnym z reguły decyzje podejmuje pułkownik, czasem major, zaś dowództwo strategiczne to generałowie i ich sztab. Snajper ma bezpośredni kontakt z dowódcą operacyjnym. Razem stacjonują w jednej bazie, żyją w tym samym miejscu, w odległości kilkuset metrów. Każdy snajper wolałby dostać zadanie ze szczebla operacyjnego, a nie taktycznego, bo to jest szczebel, który mu zapewnia dekonfliktację – daje pewność, że podczas działań w rejonie nie zostanie zestrzelony przez samolot albo predatora własnego wojska, wszak cały teatr działań wojennych to wiele zdarzeń w jednym czasie i w jednym miejscu. Wymaga to pełnej koordynacji ze strony dowództwa operacyjnego.

**KB:** A jak wyglądały typowe zadania snajpera podczas misji w Iraku czy Afganistanie?

**KS:** Przykładowo wrodzy snajperzy nie dawali nam żyć w bazie, ostrzeliwali naszych wartowników i pododdziały, które wyjeżdżały z bazy. Wobec tego musieliśmy osłaniać naszych i likwidować jak najwięcej snajperów wroga. Były to zatem raczej zadania typu snajper przeciwko snajperowi, a nie snajper przeciwko żołnierzowi czy przeciwko cywilom.

Od początku pracowaliśmy z pełną świadomością, byliśmy szkoleni do ochrony ludzi i do działań przeciwterrorystycznych.

**KB:** Rozkaz jest główną wytyczną do działania w wojsku. Jak żołnierz sił specjalnych odbiera rozkaz? Wykonuje go bez dylematów czy do decyzji dołącza własną ocenę?

**KS:** Od początku dołącza własną ocenę, a im jest dłużej w służbie, tym dogłębniej analizuje rozkazy, zastanawia-

jąc się, czy mają sens, są możliwe do wykonania i czy nie przyniosą więcej szkody niż pożytku. Ale koniec końców trzeba zapomnieć o dylematach. Chcę zwrócić uwagę na jeszcze jeden aspekt, mianowicie rozkaz może mieć różną formę: słowną (czasem bardzo krótką), pisemną, elektroniczną, formę jakiegoś sygnału. W sytuacji, gdy pojawia się jakaś wątpliwość, czasem po otrzymaniu rozkazu następuje etap potwierdzenia, czy pochodzi on od przełożonego (tzw. *double check*). Ostatecznie nigdy jako żołnierz nie myślałem, żeby go podważyć. Rozkaz to rozkaz, choćby się waliło i paliło – trzeba go wykonać. I żaden ze znanych mi żołnierzy sił specjalnych nie miał z tym problemu. Same rozważania o rozkazie wyglądałyby może trochę inaczej, gdyby dotyczyły żołnierzy działających w warunkach pokojowych. Wtedy obowiązują inne regulacje, priorytet mają czynniki finansowe albo związane z bezpieczeństwem. I z tego punktu widzenia można zastanawiać





Pierwszy zawodowy zespół snajperów w Wojsku Polskim

© ARCHIWUM KAROLA SOYKI

się, czy rozkaz jest właściwy lub czy nie łamie obowiązujących regulacji prawnych. Natomiast GROM to zawodowcy. Od początku pracowaliśmy z pełną świadomością, byliśmy szkoleni do ochrony ludzi i do działań przeciwterrorystycznych. Mieliśmy do czynienia z materiałami wybuchowymi i amunicją bojową (ostrą). Tworzyliśmy własne strefy śmierci. Polegało to na tym, że budowaliśmy świadomość i kulturę maszyn do zabijania. Tak nas szkolono. Najlepiej by było, gdyby człowiek, przeciwko któremu występujemy, był terrorystą, owiniętym kominarką, wyposażonym w kałasznikow i czyniącym krzywdę cywilom. Nigdy nie wywołała naszej refleksji część rozkazu, która mówi, że trzeba kogoś zlikwidować. Co innego część dotycząca tego, gdzie i jak mamy to zrobić. Tę sprawę trzeba przemyśleć, aby się przygotować. Nigdy nie podważyliśmy punktu, który mówi o misji, o samym zadaniu – z reguły w pięciopunktowym rozkazie jest to punkt drugi. Czasami cel jest w nim wskazany z imienia i nazwiska (tak było w Iraku), czasami zaś jedynie opisany jako zagrażający życiu (inny żołnierz lub snajper).

**KB:** To może niedługo ludzi sił specjalnych zastąpią roboty?

**KS:** Można przyjąć, że kiedy snajper składa się do strzału i widzi cel, to staje się robotem. Czas na przemyślenia jest w bazie (często po akcji, bo wspomnienia wracają) – albo w momencie wstąpienia do sił specjalnych. Natomiast te kilka minut czy sekund, w czasie których oddaje się strzał, zmienia człowieka w robota. A gdy tak się nie dzieje, to jest źle, ponieważ po to się nas szkoli, aby zadziałała pamięć mięśniowa, pewne nawyki i automatyzm. Uważam, że jest jeszcze długa droga, dla mnie niewyobrażalna, aby można było z robota uczynić pełnoprawnego snajpera. Snajper ma swój rejon, który monitoruje. Musi kontrolować manewrowość i pozycyjność. Ma często dużą swobodę przemieszczania się, sam podejmuje decyzje, może zmieniać stanowiska. Przy okazji dodam, że popularny w filmach obraz snajpera wiszącego na drzewie przez wiele godzin jest głupotą. Nikt tego nie wytrzyma, nogi ścierpną po 15 minutach. Wracając do pytania. Sporo różnych czynników trzeba analizować przed i po oddaniu strzału. Ktoś mógłby powie-

dzieć, że robot też to potrafi. Ale czy będzie umiał odpowiedzieć na element zaskoczenia? Zanim snajper zajmie pozycję, musi pokonać jakąś drogę. Najpierw jest wyprostowany, później idzie chyłkiem, następnie się czołga. Musi unikać nie tylko przeciwnika, ale też wykrycia przez siły własne, lokalną ludność; przekracza bagna, druty kolczaste, teren. Operatywność mózgu ludzkiego ma zasadnicze znaczenie dla manewrowości snajpera, który musi dostosować prędkość, maskować się, uwzględnić warunki pogodowe, porę dnia, porę roku. Czy robot potrafi zmienić kolor swojego korpusu z zielonego na żółty albo czarny? A co, jeśli włączy mu się niechcący tryb odbłaskowy. (*śmiech*) Wydaje się, że roboty nie są jeszcze gotowe, by być „specjalsami”.

**KB:** Przy całej złożoności operacji specjalnych większe znaczenie dla ich powodzenia mają procedury i szkolenie czy kreatywność snajpera?

**KS:** Kreatywność jest potrzebna, kiedy działamy na tyłach przeciwnika, w mało opanowanym przez nasze wojska terenie, pod dużym przykryciem operacyjnym (również w aspekcie politycznym i strategicznym). Sama nasza obecność nie może zostać ujawniona, nikt nie może nas zauważyć czy zrobić nam zdjęcia, bo będzie to miało negatywne konsekwencje dla całej misji. Trzeba unikać ujęcia, identyfikacji, przesłuchania itd. Działania na takim polu muszą być przemyślane, trzeba dokładnie ułożyć całe zadanie snajperskie. Kiedy rozkaz pochodzi ze szczebla operacyjnego, przedstawia się dowódcy sposób wykonania zadania. Zanim przełożony go zaakceptuje, pada zazwyczaj wiele pytań o różne warianty sytuacji, które mogą nastąpić przed i po oddaniu strzału. Kluczowe jest zatem przygotowanie i planowanie. Często jedna para snajperska nie wie o zadaniu innej pary snajperskiej.

**KB:** Od dawna pojęcie wojska, być może również wojny, jest jakoś skorelowane z pojęciem patriotyzmu. Czy pan też się do niego odwoływał w swoim systemie wartości? A może wojsko, a szczególnie siły specjalne, powinien cechować niezabarwiony ideami profesjonalizm?

**KS:** Najlepiej by było, aby każdy Polak spędził kilka chwil na strzelniczy i strzelał. Gdyby przyszła taka potrzeba, jak w Polsce w 1939 r., kiedy podczas ataku Niemców przez megafony wołano: „Wszyscy jesteście żołnierzami, więc chwytajmy za broń!”, społeczeństwo mogłoby jakoś odpowiedzieć. Niezbędne są umiejętności obsługi broni i kontakt z bronią. Idea budowy wojsk obrony terytorialnej jest dobrym pomysłem, tylko trzeba uważać, aby nie narzucić im zbyt wielu zadań i za dużo od nich nie wymagać. Raczej powinny to być zadania taktyczne, a nie operacyjne. Żołnierze muszą mieć dużą dozę elastyczności, ale także poczucie, że są zawodowcami na swoim terenie, bo najlepiej go znają i mogą dobrze – poniekąd jak partyzanci – wesprzeć wojska operacyjne. Jestem zwolennikiem budowania patriotyzmu militarnego, kultury wojskowości, ale nie zmuszania wszystkich, jak w Izraelu,



do wyczerpującej, zasadniczej służby wojskowej. Dobrze by było, żeby każdy z nas wiedział, jak się chwyta za broń i strzela.

**KB:** Niekiedy powiada się, że celem wojny jest pokój, albo nawet że celem wojny jest wojna.

**KS:** Jest jeszcze przysłowie: „Chcesz pokoju, szykuj się na wojnę”. Myślę, że ludzki mózg ma tak niespotykaną możliwość tworzenia, że wymyśli świetne hasło, aby opisać lub skomentować każdą sytuację. Musi być ono jednak aktualizowane. Dobre hasła z okresu średniowiecza czy kultury antycznej dziś niekoniecznie będą trafne. Wracając do przysłowia z początku mojej odpowiedzi – uważam, że ostatnio trochę odżyło. Jeszcze niedawno uważaliśmy, że nic nam nie grozi ze wschodu, więc hasło nie było aktualne. Jednak działania Rosji we wschodniej Ukrainie i zajęcie Krymu zupełnie zmieniają perspektywę. I to nie jest wyłącznie nasz polski punkt widzenia, podobnie myśli się w innych krajach na całym świecie.

**KB:** GROM to ważna polska marka.

**KS:** Obecnie jednostka GROM ma 27 lat. Ja służyłem w niej niepełna 20 lat. Przez pierwsze 10 lat w MSWiA funkcjonowała słynna nazwa GROM. W 1999 r. przeszliśmy do MON, pod Sztab Generalny. Nazwa została oficjalnie wycofana, funkcjonowaliśmy jako jednostka wojskowa JW2305. Natomiast kilka lat później, po Iraku, zatwierdzona została przez Sztab Generalny pełna nazwa: Jednostka Wojskowa Sił Specjalnych nr 2305 – GROM.

**KB:** Wiele firm korzysta z waszej reno-my. Mamy buty Grom, kurtki, agencje ochrony, które nie mają z wami nic wspólnego.

**KS:** Tak. Są nawet papierosy Grom. Natomiast jeszcze przed powołaniem naszej jednostki funkcjonowały rakiety Grom. Faktycznie GROM jest marką, ale państwową, czyli nie trzeba mieć zgody na użycie znaku towarowego. Nazwa naszej jednostki została stworzona przez pułkownika (później generała) Sławomira Petelickiego z uwzględnieniem różnych perspektyw. Niektórzy mówią, że w geście wdzięczności wobec Gromosława Czempirskiego, ale nigdy tego nie potwierdziłem. Inni rozwijają skrót jako Grupa Reagowania Operacyjno-Manewrowego.

**KB:** GROM spełnił specyficzną rolę w najnowszej historii Polski, nie tylko w aspekcie militarnym. W dobie powszechnych aspiracji, by doszłusować do Zachodu, pokazaliście, że coś, co powstało w Polsce, może reprezentować najwyższy światowy poziom.

**KS:** Tak. Jednostka została założona w 1990 r. W tamtych latach na Okęciu lądowali Amerykanie i przywozili nam najnowocześniejszy

na owe czasy sprzęt oraz szkolenia. To był wówczas poziom niewyobrażalny. Jednak w latach 90. świadomość istnienia naszej jednostki nie była tak powszechna. Byliśmy małą grupą (ok. 30 szturmowców). Kilka lat później braliśmy udział w niezliczonych konferencjach i treningach dla sił specjalnych. Naszą przewagą było to, że uczono nas języków i wysyłano, gdzie tylko się dało (m.in. do Holandii, Norwegii, Portugalii, Szwecji, oczywiście do USA i Wielkiej Brytanii), abyśmy się uczyli rzemiosła od najlepszych. I wydawało się, że GROM jest wszędzie. Znano nas w najważniejszych siłach specjalnych na całym świecie. Po ataku na World Trade Center 11 września 2001 r. Amerykanie „oszaleli”. Ułatwiło to tamtejszym politykom wysłanie kontyngentu do Afganistanu i Iraku. Na tej fali Amerykanie zaczęli zapraszać do koalicji. Mieliliśmy kontakty, więc zapytali nas, czy nie wzięlibyśmy udziału w operacjach. Dowódca jednostki przyjął propozycję, a po uzgodnieniach w sztabach stwierdzono, że Amerykanom nie można odmówić. Generał Roman Polko zdecydował o wysłaniu w 2001 r. około 30 osób do Kuwejtu. Gdy już tam byliśmy, nagle Amerykanie rozpoczęli przygotowania do wojny i oczywiście zaproponowali nam większe zaangażowanie. W efekcie GROM uczestniczył w słynnej akcji w porcie Umm Kasr w Zatoce Perskiej, gdzie szturmował i zabezpieczał węzeł przeładunkowy i platformę olejową KAAOT. Znowu zrobiło się o nas głośno w mediach (pierw-

sze artykuły o naszej jednostce opublikowano po naszej misji na Haiti w 1994 r.). Społeczeństwo dowiedziało się, że istnieje w Polsce jednostka specjalna, która realizuje działania bojowe, jest na linii ognia, działa zaczepnie i ofensywnie. Wcześniej działania polskich żołnierzy na misjach odbywały się w ramach kontyngentu ONZ i polegały na unikaniu prowokacji. GROM stał się modny. Nasz sprzęt i wyposażenie Ludowego Wojska Polskiego dzieliła przepaść. Byliśmy trochę jak szturmowcy z kosmosu. Młodzi ludzie zobaczyli, że wojsko może być dynamiczne, nie nudne, męskie, ale też dla kobiet. To tchnęło ducha w młodych. Od tej pory staliśmy się darmową reklamą dla polskiego wojska. Nastąpił skok jakościowy w tym temacie.

Natomiast mało się mówi o tym, że GROM również był niszczone. Zarówno wewnątrz, jak i zewnątrz – politycznie. Od początku kłuło w oczy, że to jednostka, w której żołnierze chodzą ubrani, jak chcą, nie idą idealnie w szeregu. W której sierżant może wprost rozmawiać z generałem, mieć swoje zdanie na temat sprzętu, taktyki. To się nie mieściło w głowie. Wielką niechęć budził także fakt, że odnosiliśmy sukcesy w świecie oraz zostaliśmy zauważeni przez media.

Natomiast mało się mówi o tym, że GROM również był niszczone. Zarówno wewnątrz, jak i zewnątrz – politycznie. Od początku kłuło w oczy, że to jednostka, w której żołnierze chodzą ubrani, jak chcą, nie idą idealnie w szeregu. W której sierżant może wprost rozmawiać z generałem, mieć swoje zdanie na temat sprzętu, taktyki. To się nie mieściło w głowie. Wielką niechęć budził także fakt, że odnosiliśmy sukcesy w świecie oraz zostaliśmy zauważeni przez media.

**KB:** Wypowiedział pan kiedyś takie zdanie, że głównym problemem współczesnego wojska jest humanizacja. To ostra teza. Czy może ją pan rozwinąć?

Im bardziej zawodowa  
armia, tym lepiej  
żołnierz wie,  
kiedy być  
agresywnym,  
a kiedy eleganckim.





© ARCHIWUM KAROLA SOYKI

Karol Soyka w 1992 r.

**KS:** To jest taki sąd, za który łatwo mnie „ustrzelić”. Na pewno każdy filozof, psycholog, humanista udowodniłby mi, że się mylę. W pewnym sensie przekonałby mnie, że z punktu widzenia wartości zabicie człowieka to bardzo zła rzecz. Zgodzę się z tym, rozumiem samą ideę, że człowiek jest najważniejszy. Ale to mówimy wyłącznie na dużym poziomie ogólności. Natomiast kiedy zaczniemy się zastanawiać, czym jest wojsko, dojdziemy do przekonania, że wojsko ćwiczy, aby rozwalać. Czasem pomaga w sytuacjach kryzysowych, ale przede wszystkim jednak niszczy. Armia jest przygotowywana do obrony i walki, zatem idea wojska jest przeciwieństwem humanizacji. Nie ma tu miejsca na przemyślenia o człowieczeństwie wroga i wartości jego życia. Nie o to chodzi. Wojsko z założenia powinno być agresywne, kiedy jest taka potrzeba. Tę agresję należy budować i wyzwać. Ale im bardziej zawodowa armia, tym lepiej żołnierz wie, kiedy być agresywnym, a kiedy eleganckim. Ma ogłade, potrafi być towarzyski i wytworny, potrafi sprzedawać siebie i wypowiedzieć się na ważne i ciekawe tematy. Pewne proporcje muszą być zachowane. Nie należy się wyzbyć całkowicie humanizmu. Skala owych proporcji pewnie zależy od formacji. W przypadku takiej formacji jak GROM, czyli bardziej wyszkolonej do walki bezpośredniej i kontaktu, stopień humanizacji będzie niższy niż w wojskach, które działają w warunkach mniejszego zagrożenia życia, słowem: mniejszego ryzyka. Moja wypowiedź ma jeszcze jeden aspekt. Kiedy rozpoczynała się transformacja ustrojowa, polityczni wojskowi na szczeblach batalionów mieli świadomość, że dotychczasowy system upada. Przesławiali mieć wpływ na dowódców im podwładnych. Dowódcy taktyczni – siłą rzeczy – skoro nie mieli nacisku z góry, rozluźniali atmosferę. A jeśli się rozluźnia atmosferę w wojsku, w plutonie, i mamy do czynienia z wojskiem mało karnym, to przestaje się nad nim panować, pojawiają się kradzieże, rozboje, szaleje tzw. fala. Podważono celowość zgrupowań na poligonach oraz istnienie realnego przeciwnika, a to wszystko spowodowało, że armia stała się „rozwodniona”. Na ten stan wojska nałożyła się humanizacja, czyli reguły, które

nie pozwalają „przeczołgać” żołnierza, nie pozwalają na niego krzyknąć czy wysłać do lasu, bo mogą go użądlić osy. Postępowało dalsze rozluźnianie dyscypliny. Żołnierze przestali wracać na czas z przepustek do koszar, bo wiedzieli, że dowódca nic im nie może zrobić. Zlikwidowano areszty, nie było cel, więc nie było haka na żołnierza, nie można go było ukarać. A gdy po tygodniu żandarmeria znalazła go na mieście pijanego, pisała raport na dowódcę, który dostawał po łbie. Żołnierz służby zasadniczej, który nie awansował, tylko się cieszył. Wojsko przestało wyjeżdżać na poligon. Dlaczego? A to potrzeby nie było, a to paliwa zabrakło. Z czasem poligony pozarastały, bo leśniczy nie pozwalał wyciąć drzew. Na poligon zaczęli przyjeżdżać cywile, aby zbierać łuski i sprzedawać je na złomie. Jeżeli przykładowo zmotoryzowany batalion strzela z pojazdów podczas ćwiczeń nocnych, to łuski zbiera się następnego dnia rano. Tylko że na drugi dzień żołnierze żadnych łusek nie znajdowali, bo nad ranem poligon spenetrowali cywile. Przecinali płoty, wchodzili na strzelnice i zbierali łuski, a żandarmeria ganiała ich po lesie. Jak kogoś złapali, to spisali. Ale co cywilowi może zrobić żandarm? Może nałożyć karę za wykroczenie w wysokości 50 zł. Dziś myślę, że mówiąc o humanizacji, może nie dotknąłem istoty problemu. Borykamy się po prostu z brakiem reguł w wojsku i w relacji wojska z innymi podmiotami administracji publicznej. Przez dekady podważano też szacunek do żołnierza.

**KB:** Czy legendarna lojalność między żołnierzami sił specjalnych jest faktem, czy kolejnym popkulturowym mitem?

**KS:** W każdej grupie, która ma wspólne cechy i zainteresowania, a dodatkowo żyje razem, bierze udział w akcjach i znajduje się w sytuacji zagrożenia, występuje jakaś więź i szacunek. W zależności od świadomości te więzi są silniejsze lub słabsze. W siłach specjalnych funkcjonują dodatkowo specyficzne reguły. Rekruci są dobierani przez starszych kolegów. Zaś u Amerykanów jest tak, że gdy oficer ma awansować, jest oceniany przez sierżantów, czyli młodszych stopniem żołnierzy. Integracja w takiej grupie jest naturalna. To wszystko się przekłada na zagadnienia związane ze szkoleniem do pracy zespołowej, która jest niesłychanie modna w ostatnich latach. Dziś jednak mówi się, że nie należy niszczyć podejścia indywidualistycznego i zabijać kreatywności. Odpowiada mi to, bo ja jestem indywidualistą. Ale kiedy na początku lat 90. przylecieli Amerykanie, aby nas szkolić, to hasło pracy zespołowej powtarzali jak mantrę. Inna sprawa, że generalnie moim zdaniem snajperzy są częściej indywidualistami. Może właśnie dlatego wielu snajperów, którzy od początku byli w GROM-ie, zajmowało podczas służby stanowiska dowódcze, od majorów do podpułkowników (wysoki szczebel). Praktycznie każdy z nas dowodził dużym zespołem ludzi. W każdej grupie, w tym w wojskach specjalnych, istotna jest jeszcze rola silnej jednostki. Taki był generał Petelicki. Miał słabości, jak każdy, ale był silnym facetem. Dał radę.

# Ogród sztuk

O Galerii Opera w Teatrze Wielkim, wydawnictwie teatralnym i promocji kultury wysokiej z **Marcinem Fediszem** rozmawia Kamil Broszko.



© KINGA KARPAT & DANIEL ZAREWICZ/PRESTIGEPOTRAIT.PL

**Kamil Broszko:** Czy pomysł prowadzenia galerii w Teatrze Wielkim narodził się z koncepcji tworzenia ogrodu sztuk?

**Marcin Fedisz:** Kiedy myśli się o Teatrze Wielkim – Operze Narodowej, oczywiste skojarzenia to muzyka i taniec. Jednak Opera Narodowa to nie tylko arie i balet. W tym olbrzymim budynku, na jednej z największych operowych scen świata, jest miejsce dla koncertów, recitali wybitnych solistów, wystaw muzealnych, a także dla sztuk plastycznych. Galeria Opera powstała pięć lat temu jako wspólny projekt Teatru Wielkiego i warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. Jednak jej idea jest kontynuacją Galerii Studio, którą dyrektor Waldemar Dąbrowski współtworzył z Jerzym Grzegorzewskim ponad 30 lat temu. Tam realizowali romantyczną koncepcję *correspondance des arts* – wspólnoty sztuk i artystów – którą również dzisiaj kultywujemy. Naszym głównym założeniem jest popularyzacja polskiego malarstwa współczesnego, głównie artystów związanych z warszawską ASP, ale nie tylko. Do tej pory

pokazaliśmy prace Jana Tarasina, Jerzego Tchórzewskiego, Terezy Pagowskiej, Łukasza Korolkiewicza, Edwarda Dwurnika, Leona Tarasewicza i Franciszka Starowieyskiego. Na początku Galeria dostępna była wyłącznie dla widzów naszych spektakli, ale odpowiadając na potrzebę publiczności, otworzyliśmy ją jako miejsce niezależne (czynne od czwartku do soboty w godz. 10–17). Okazało się, że jesteśmy jedną z najliczniej odwiedzanych galerii w Polsce. Widownia naszego teatru wypełniona jest w 99 proc., na jednym spektaklu jest blisko 1,8 tys. widzów. Wystawa trwa około dwóch miesięcy i przez ten czas – według prostego rachunku – odwiedza ją około 50 tys. osób. To imponujący wynik dla sztuki współczesnej.

**KB:** Jest to bez wątpienia rekord frekwencyjny, ale czy Galeria, ze względu na miejsce i kontekst, nie jest w pewnym sensie dziełem wtórnym?





**MF:** Tak mogłoby się wydawać. Ale to tylko pozory. Od momentu powstania w 2012 r. idea Galerii została jasno określona. Promujemy klasyków polskiej awangardy, bez których nie byłoby modnych dziś i popularnych artystów młodego pokolenia, jak Wilhelm Sasnal czy Marcin Maciejowski. Zrealizowaliśmy już 30 ekspozycji prezentujących tzw. pokolenie postarsenałowskie, którego prace rzadko trafiają do Muzeum Narodowego czy Zachęty, a według nas zasługują na uwagę. Nie ścigamy się z żadną instytucją wystawienniczą, po prostu znaleźliśmy swoją niszę i ją wypełniamy. Na świecie oferta ekspozycyjna jest bogata i różnorodna. Weźmy Paryż. Jeżeli chcemy zobaczyć artystów najmłodszego pokolenia, to idziemy do Palais de Tokyo, jeżeli chcemy oglądać klasykę, wybierzemy Muzeum Rodina. W Paryżu takie galerie koegzystują.

My nie tylko współistniejemy, lecz także współpracujemy z innymi instytucjami kultury. Wojciecha Sadleya, tworzącego prace z tkanin, namówiliśmy do udziału w warsztatach dla dzieci, które realizujemy wspólnie z Muzeum Włókiennictwa w Łodzi. To idealne połączenie: artysta, który pracuje w tkaninie, i instytucja specjalizująca się w tym materiale. Przy okazji obecnej wystawy, Tomasza Ciecierskiego, program edukacyjny przygotowała dla nas Zachęta.

**KB:** Wystawy często się zmieniają. To duży wysiłek organizacyjny.

**MF:** Narzuciliśmy sobie spore tempo. Wystawy trwają około dwóch miesięcy. Zależy nam, żeby odbiorcy czuli ferment twórczy.



Wystawa „Cały teatr na naszej głowie”

Duża część teatralnej publiczności jest niezmienna, wielu widzów ma wykupiony abonament albo po prostu przychodzi do teatru regularnie, wielokrotnie w sezonie. Dlatego nie wystarcza nam ekspozycja stała ani jedna wystawa rocznie. Działamy inaczej niż wiele instytucji wystawienniczych, właśnie ze względu na fakt, że mieścimy się w teatrze. Wystawy mogą być bardziej teatralne. Można powiedzieć, że bywają inscenizowane. Przy okazji wystawy Tadeusza Dominika, którego inspirowała natura, w całej Galerii umieściliśmy brzozy, a po wystawie zasadziliśmy je w ogrodzie artysty. W przypadku Franciszka Starowieyskiego, który uważał się za malarza barokowego, postanowiliśmy umieścić jego prace właśnie w barokowym wnętrzu. A że najpiękniejszy polski barok można odnaleźć w Pałacu Biskupów Krakowskich w Kielcach, sfotografowaliśmy ten pałac, ściana po ścianie, i tymi fototapetami wykleiliśmy wnętrza Galerii, by na nich dopiero zawiesić prace artysty. Jest nam łatwiej działać niesza-blonowo, ponieważ jesteśmy teatrem i wszystkie pracownice – malarzkie, stolarskie, krawieckie – mamy u siebie na miejscu. Szukamy atrakcyjnego pomysłu dla każdego twórcy, zgodnego z jego sztuką.

**KB:** W tym roku nasza redakcja gościła u Edwarda Dwurnika, który wspominał, jak ważna była dla niego wystawa w Galerii Opera.

**MF:** Cieszę się, że dobrze nas wspomina. Tym bardziej że trudno wymyślić oryginalny pomysł na tak popularnego artystę. Jego domy i miasta znają chyba wszyscy. Dwurnik dworuje z rzeczywistości, czasem wydaje się, że i z widzów. Zgodnie z sugestią samego artysty pokazaliśmy nieznanego szerszemu odbiorcy portrety z cyklu „Sportowcy”, przedstawiające szarych obywateli Polski Ludowej, palaczy papierosów marki Sport. Były też „poloki” i obrazy miejskie. Pomysłem było osadzenie jego prac pomiędzy trzema miastami: Radzyminem, w którym się urodził, Warszawą, w której mieszka i tworzy, oraz Chojną, w której lubi wypoczywać. Postawiliśmy w Galerii rusztowania i na nich powiesiliśmy Dwurniki. Zrobiliśmy kierunkowskazy na Warszawę i Radzymin. Wystawa bardzo się podobała, zarówno artyście, jak i publiczności.

**KB:** Główny profil Galerii Opera to sztuka polska. Czy jest u was miejsce także dla zagranicznych artystów?

**MF:** Galeria Opera to po prostu miejsce dobrych artystów. Akurat tak się szczęśliwie składa, że dobrych polskich artystów jest bardzo wielu. Ale czasem jako dwugłos do działań operowych proponujemy artystę zagranicznego. Tak było w przypadku Hansa Jürgena Syberberga, reżysera i artysty wizualnego, dla którego najważniejsze źródło inspiracji stanowi twórczość Wagnera. Jego instalacje przestrzenne z użyciem marionetek czy fragmentów scenografii do filmów o Wagnerze wydawały się idealnym odniesieniem do premiery opery „Lohengrin” i koncertu pieśni podczas Warszawskich Dni Wagnera w 2014 r. Projekt tworzony był wspólnie z Instytutem Goethego, a przystąpiła do niego także FilMOTEKA Narodowa, organizując w kinie Iluzjon przegląd filmów Syberber-



Wystawa Edwarda Dwurnika. Poniżej: eksponaty z wystawy „Opera od stóp do stóp”

ga. Absolutnie nie rezygnujemy z artystów zagranicznych, szczególnie jeżeli ich twórczość wpisuje się w program repertuarowy Teatru Wielkiego. Natomiast mamy świadomość, że wielu polskich artystów zasługuje na uwagę publiczności.

**KB:** Bardzo ciekawy w Galerii Opera jest także wątek ekspozycji związanych z rzemiosłem teatralnym. Myślę tu o wystawie kostiumów, butów czy kapeluszy. Czy ten lżejszy temat spotkał się z zainteresowaniem?

**MF:** Z ogromnym! Zrobiliśmy te wystawy – można powiedzieć – z premedytacją, ponieważ wydawało nam się, że jest to idealny sposób, aby przyciągnąć szeroką i różnicowaną publiczność. Pierwsza wystawa, pt. „Opera Haute Couture”, to prezentacja kostiumów scenicznych zaprojektowanych do naszych spektakli przez projektantów mody. Jej popularność nas zaskoczyła. Zdarzało się, że w środku tygodnia ustawiały się kolejki! Skoro zainteresowanie było tak duże, postanowiliśmy pójść za ciosem i pokazać buty. Wystawa „Opera od stóp do stóp” również cieszyła się olbrzymią frekwencją. Rzadko widzimy spod długich kostiumów buty, które noszą śpiewacy, aktorzy czy tancerze. Na tej wystawie pokazaliśmy między innymi buty zrobione dla konia, osła czy Myszkę Miki. Naturalnym wyborem po butach były nakrycia głowy. Na wystawie „Cały teatr na naszej głowie” prezentowaliśmy kapelusze i wszystko, co można artyście włożyć na głowę, czyli maski, woalki, przepaski, peruki. Ten cykl wystaw pokazuje kunszt projektantów i arcydzieła rzemiosła teatralnego. Jest uznaniem dla pracy teatralnych krawców, gorseciarek, szewców, modystek, modelatorów – prawdziwych artystów w swoim fachu, których niestety coraz mniej w teatralnym świecie. Obecnie pracujemy nad połą-

zeniem tych trzech wystaw w jedno wydarzenie, aby móc pokazać je w Lublinie podczas przyszłorocznego festiwalu Carnaval Sztukmistrzów, a także w Berlinie w Kunstgewerbemuseum. Tymi wystawami pokazujemy, że przekaz popkulturowy może zachęcić widza do odwiedzenia galerii sztuki.

**KB:** W ten trend doskonale wpisuje się także projekt fotograficzny – od jakiegoś czasu fotografują państwo publiczność.

**MF:** Ten projekt rozpoczął się w 2015 r. i nadal trwa. Pomyślałem, że skoro udokumentowaliśmy trzema wystawami związki mody z operą i baletem, to warto odwrócić oko aparatu i zobaczyć, że moda jest obecna nie tylko na scenie, ale także wśród publiczności. W związku z tym na wszystkich premierach i w czasie niektórych spektakli szeregowych „łapiemy” obiektywem najciekawiej ubranych widzów. Nie chodzi o najnowszą modę czy drogą metkę, ale charakter i wygląd całej postaci. Planujemy wystawę, która będzie dokumentem naszych czasów, a także swoistą kroniką towarzyską. Pokażemy to w przyszłym sezonie.

**KB:** Teatr Wielki to istotnie wielka instytucja kulturalna. Posiada nawet własne wydawnictwo.

**MF:** Jesteśmy z tego dumni. Wydawnictwo teatralne ma już swoją renomę. Wydajemy co roku książkę sezonu w postaci eleganckiego albumu. Otrzymujemy wiele listów z całego świata gratulujących szczególnie tej publikacji. Każda wystawa w Galerii Opera ma swój katalog, każdy spektakl – swoją książkę programową. Wydaliśmy pozycje wcześniej w Polsce niepublikowane, jak biografie Wagnera i Pucciniego czy listy Niżyńskiego. Mamy też propozycje dla dzieci: krótkie





### Wystawa Franciszka Starowieyskiego

Obok: wystawa Tadeusza Dominika



książeczki opowiadające o naszych wystawach, zapoznające dzieci z poszczególnymi artystami i sztuką malarską w ogóle, kolorowanki i puzzle, ale także większe formy. Piszą dla nas m.in. Joanna Bator, Jan Gondowicz, Marek Bieńczyk, Manuela Gretkowska, Mariusz Szczygieł, Grzegorz Kasdepke, Dorota Masłowska, Agnieszka Drotkiewicz.

**KB:** Jest pan także odpowiedzialny za marketing teatru.

Na czym polega promowanie kultury wysokiej? Zazwyczaj marketing kojarzy się merkantylnie.

**MF:** Nie ma nic gorszego dla artysty niż występ przed pustą widownią, musimy więc dbać i o artystę, i o publiczność. Żyjemy w kraju, w którym nie ma wielkich tradycji ani operowych, ani baletowych, a ludzi kultury nie rozpieszcza się finansowo. Mamy stałą publiczność, ale musimy zabiegać też o nowych, młodych widzów. Dlatego chętnie korzystamy z mediów społecznościowych. Aktywnie działamy na Facebooku i Instagramie.

mie. Na spektakle zapraszamy blogerów, którzy potem piszą o naszych projektach. Ta współpraca się sprawdza. W naszym teatrze pracują pasjonaci, dla których przywilejem jest obcowanie z kulturą i jej współtworzenie. Nie uważamy, że jako Teatr Wielki powinniśmy stać na piedestale. Przeciwnie – nie możemy stać na nim ani minuty. Jesteśmy instytucją publiczną, więc pracujemy dla publiczności.

Od ubiegłego roku z okazji Światowych Dni Opery organizujemy Piknik Operowy. Na placu Teatralnym budujemy scenę i przez cały dzień dajemy ludziom możliwość spotkania ze sztuką. Nasze występy (na żywo i na ekranie) obejrzało podczas tegorocznego Pikniku ponad 8 tys. widzów. Popularyzacji służy też platforma [Vod.teatrwielfi.pl](http://Vod.teatrwielfi.pl), na której pokazujemy nasze spektakle. W ubiegłym sezonie „Goplanę” Władysława Żeleńskiego – spektakl nagrodzony International Opera Awards, czyli operowym Oscarem w kategorii Dzieło odkryte na nowo – za pośrednictwem Internetu obejrzało około 30 tys. widzów. To gigantyczna widownia.

Opera łączy. Tak zresztą brzmiało hasło kampanii promocyjnej, którą zrealizowaliśmy w ubiegłym roku. Chcieliśmy pokazać, że opera to miejsce szczególne, ponad podziałami społecznymi, kulturowymi i politycznymi, więc zaprosiliśmy osoby, które właśnie ona połączyła. Zofia Posmysz, autorka książki „Pasażerka”, na podstawie której powstała opera pod tym samym tytułem, spotkała się po raz pierwszy ze śpiewaczką odtwarzającą postać głównej bohaterki. Edwarda Dwurnika opera połączyła z Martą Frej (oboje mieli wystawy w Teatrze w tym samym czasie), a Sebastiana Karpiela-Buleckę z dyrygentem Jerzym Maksymiukiem we wspólnym koncercie „Głosy gór”. Opera łączy, bo jest synestezją wielu różnych dziedzin sztuki, ale także wytwarza niezwykłą więź między artystami i publicznością.

Marcin Fedisz – kurator Galerii Opera, kierownik Działu Literackiego i Marketingu Teatru Wielkiego – Opery Narodowej.





Wystawa historyczna w Podziemiach Rynku Głównego w Krakowie



# Scenografia wystaw historycznych

Często słyszymy, że w czasach dominacji świata wirtualnego kultura tradycyjna cieszy się coraz mniejszym zainteresowaniem, czego skutkiem jest spadek liczby zwiedzających wystawy i muzea. Jednak statystyki mówią co innego. W 2014 r. 20 największych muzeów na świecie odwiedziło ponad 106 mln osób<sup>1</sup>, a wszystkie muzea w Polsce – 33,3 mln osób<sup>2</sup>.

Głównym celem każdej wystawy, w szczególności zaś historycznej, jest zabranie widza do świata z epoki, o której opowiada ekspozycja. Jej treść powinna odwoływać się do emocji, wciągać w świat przedstawiony. Czyni się to za pomocą autentycznych eksponatów oraz rozmaitych środków dodatkowych.

Wśród najciekawszych polskich wystaw trzeba wymienić Podziemia Rynku Głównego w Krakowie. Scenografię do niej tworzył Marcin Pietuch, z wykształcenia konserwator dzieł sztuki, z zawodu scenograf. Wystawa zajmuje przestrzeń pod powierzchnią jednego z najpiękniejszych placów Europy. W podziemiach krakowskiego rynku uruchomiono interaktywną instalację łączącą różne działania artystyczne w jedną formę przestrzenną. Wchodząc na wystawę, przekraczamy parową kurtynę, która symbolizuje bramę do świata nieistniejącego. Robimy krok w przeszłość i od razu

słyszemy gwar średniowiecznego jarmarku, nawoływanie przepukniów i fragmenty rozmów. Jeden z pierwszych eksponatów to reprodukcja kodeksu Baltazara Behema (tekst spisany w 1505 r.). Stylistyka plastyczna wywodzi się wprost z opisów i przedstawień ikonograficznych opowiadających o rzemiośle i kulturze. Marcin Pietuch niejednokrotnie podkreślał, że nie tworzy świata od nowa i nie wymyśla żadnych wirtualnych zabytków. To, co pod Rynkiem Głównym znaleźli archeolodzy, wzbogacone zostało dyskretnie nowymi środkami wyrazu (multimedialnymi rekonstrukcjami scenograficznymi, tzw. sztafażem). Widz aktywnie uczestniczy w spektaklu światła i przestrzeni.

Twórcy wystawy chcieli niejako przenieść zwiedzających w czasie, by pokazać im, jak wyglądało życie 700 lat temu. W tym celu odtworzono ówczesną codzienność. Całe wnętrze zostało wykonane zgodnie ze świadomością technologiczną sprzed wieków, dzięki konsultacji z archeologami i historykami. W przestrzeni muzeum znajduje się jedyna zachowana w całości piwnica Kramów Bogatych. Wstawiono do niej zrekonstruowane wyposażenie kantoru kupieckiego z tamtych czasów, a dzięki projekcji zwiedzający mogą zobaczyć kupca przeliczającego pieniądze, w którego wcielił się znakomity krakowski aktor Jerzy Nowak.

Inny film, wyświetlany na wystawie w formie panoramicznej projekcji, ukazuje dramatyczny moment najazdu Tatarów na Kraków i spalenie miasta. Podczas jego realizacji na poligonie wybu-

<sup>1</sup> The Global Attractions Attendance Report, 2016. 2015 Theme Index and Museum Index. Themed Entertainment Association (TEA).

<sup>2</sup> Kultura w 2015, GUS, Warszawa 2016.



Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku



© MUZEUM 1939 PL (2)

dowano repliki chat zrębowych krytych strzechą tylko po to, aby puścić je z dymem.

Wystawa umieszczona jest w czarnej przestrzeni, która tworzy wrażenie bezkresu, potęgowane przez lustrzany sufit. Światło o równej barwie buduje trzeci wymiar. Całości dopełniają monitory i ekrany multimedialne. Autorzy ekspozycji chcieli, żeby odbiorca nie był tylko pasywnym widzem, ale czynnie brał udział w wystawie. Zwiedzający mają między innymi możliwość poznania swojej wagi oraz wzrostu w jednostkach miary używanych w średniowieczu.

Ruch na wystawie odbywa się tak, jak w przeszłości na krakowskim rynku: wzdłuż oryginalnych traktów drogowych. Sukienice stoją na skrzyżowaniu szlaków handlowych. Prawie każdy przedmiot pokazywany na wystawie ma swoją wyjątkową historię – i nie chodzi wyłącznie o eksponaty archeologiczne. Na przykład w zrekonstruowanym warsztacie złotnika znajdziemy pierścionki wykonywane przez współczesnych rzemieślników według specjalnej technologii z tamtej epoki. Kilka z nich zrobił jeden z najslawniejszych polskich odlewników, śp. prof. Stanisław Rzadkosz. Pewnego dnia, jeszcze przed oficjalnym otwarciem, odwiedził wystawę. W warsztacie złotniczym zobaczył narzędzia z dawnych czasów, wziął do ręki złoty drucik i w kilka minut stworzył pierścienek w technice z XIV w.

Przedmioty są zawsze tłem dla opowieści muzealnej, nie wybijają się na pierwszy plan, a jedynie pomagają wpływać na emocje widzów. Odwiedzający Muzeum II Wojny Światowej, spacerując ulicami z 1939 r., nie zwracają nawet uwagi, że w każdym oknie wiszą autentyczne firanki z tamtych czasów. Choć nie dostrzegamy wielu drobnych elementów, właśnie one budują poczucie autentyczności.

Poszukiwanie eksponatów na tego rodzaju wystawy trwa najczęściej kilkanaście miesięcy. Dominika Pietuch, która zajmowała

się scenografią wystawy o II wojnie światowej, odwiedziła przez różne targi staroci, kolekcjonerów, a także ściśle współpracowała z twórcami: kostiumologami, rzeźbiarzami, malarzami i grafikami, którzy mogliby wykonać elementy niemożliwe do odnalezienia w oryginale. Na historycznych wystawach ważny jest każdy detal. Jeżeli na ekspozycji w szafie wiszą kostiumy, to są to kostiumy historyczne – autentyczne lub uszyte przez mistrzów krawieckich według dawnej technologii.

Wszystkie makiety kościoła Mariackiego, które możemy obejrzeć w Podziemiach Rynku Głównego, zostały wykonane przez jednego z najwybitniejszych krakowskich szopkarzy, Macieja Moszewa. Niestety, coraz mniej jest wysokiej klasy artystów rzemieślników. Gdy przygotowywano wystawę w Gdańsku, znalezienie ślusarza, który potrafiłby wykonać skrobaki do butów, zajęło prawie dwa miesiące.

Wystawa to osobne dzieło sztuki. Łączy wysiłek wielu historyków, naukowców oraz różnorodnych twórców i artystów. W trakcie rozmów i dyskusji szuka się rozwiązań pozwalających w najlepszy sposób przekazać treść oraz odzwierciedlić dany czas. Scenograf zawsze musi zdobyć zaufanie całego zespołu i uzyskać akceptację dla swojej wizji. Musi znaleźć sposób na odtworzenie tego, co autorzy koncepcji merytorycznej wystawy mieli na myśli. Scenografem może być tylko osoba z wielką pasją, bowiem ten zawód to nie przedstawianie dawnych mebli, a tworzenie innego świata i wyjątkowej przestrzeni, która zaprasza do przygody, poznania i nauki.

Weronika Griszal

Marcin Pietuch jest scenografem oraz właścicielem działającej od 1994 r. firmy projektowo-scenograficznej Fabryka Dekoracji. Specjalizuje się w projektowaniu i wykonywaniu ekspozycji dla muzeów, centrów nauki, instytucji kulturalnych oraz scenografii telewizyjnych, teatralnych i eventowych.



Wiele wydarzeń w ciągu  
zaledwie czterech dni,  
artyści z całego świata  
i usatysfakcjonowana  
publiczność – oto białostocki  
festiwal Wschód Kultury  
– Inny Wymiar.

# Inny wymiar kultury

**P**iąta edycja festiwalu Wschód Kultury – Inny Wymiar odbyła się w Białymstoku na początku września 2017 r. O tym, że była to odsłona bardzo udana, świadczy choćby entuzjastyczna opinia Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. „Tegoroczny program obfitował w niepowtarzalne i wyjątkowe projekty doskonale wpisujące się w ideę budowania dialogu międzynarodowego oraz solidarności społecznej. To właśnie dzięki inicjatywom czerpiącym inspirację z dziedzictwa kulturowego i tradycji duchowych Europy Wschodniej możliwe jest kształtowanie wśród ludzi młodego pokolenia wrażliwości na piękno i bogactwo kultury wschodniego regionu oraz świadomości znaczenia relacji z kulturą naszych wschodnich sąsiadów” – napisała Urszula Ślęzak, dyrektor Departamentu Współpracy z Zagranicą MKiDN.

Festiwal, jeszcze jako Inny Wymiar, narodził się przed dekadą z inicjatywy Białostockiego Ośrodka Kultury. W 2007 r. w jego programie znalazły się takie wydarzenia, jak pokazy filmowe, koncerty, wystawy, spacer edukacyjny, spotkania i debaty, a ich wspólnym mianownikiem było ukazanie wielokulturowości miasta w szerokim spektrum – od wydarzeń historycznych po współczesne – w kontekście sąsiadujących ze sobą różnych kultur i narodowości. Festiwal spodobał się białostoczanom, a część z nich zaczęła interesować się przeszłością miasta i chciała dowiedzieć się czegoś więcej o narodowościach niegdyś z nim związanych. Kolejne edycje imprezy tylko utwierdziły organizatora w przekonaniu, że taki festiwal jest w mieście bardzo potrzebny.

W 2013 r. Białystok przyjął zaproszenie Narodowego Centrum Kultury i Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego do współtworzenia (wraz z Lublinem i Rzeszowem) dużego projektu Wschód Kultury, mającego stać się formą współpracy kulturalnej miast Polski Wschodniej z krajami Partnerstwa Wschodniego. Istniejący od kilku lat Inny Wymiar stał się naturalną i dobrą podstawą, na której nowy projekt mógł się rozwijać. Białostocki Ośrodek Kultury został koordynatorem festiwalu Wschód Kultury – Inny Wymiar i rokrocznie zaprasza do współpracy najważniejsze lokalne instytucje kultury (m.in. Galerię Arsenał, Galerię Słędzińskich, Białostocki Teatr Lalek, Teatr Dramatyczny im. Aleksandra Węgierki, Muzeum

Muzyka w Ogrodach Branickiego



© TOMASZ PIENICKI

Podlaskie, Operę i Filharmonię Podlaską), organizacje pozarządowe (m.in. Stowarzyszenie Edukacji Kulturalnej „Widok”, Fundację Pro Anima, Towarzystwo Przyjaciół Kultury Żydowskiej w Białymstoku, Pogotowie Kulturalno-Społeczne) i wybitnych artystów. To chyba jedyny festiwal w Polsce, który jednoczy w działaniu kulturalnym tak wiele różnych podmiotów. We wspólnie tworzonej programie, podzielonym na sześć wymiarów (muzyki, filmu, sztuki, teatru, mody i społeczności), każdego roku znajduje się kilkadziesiąt (w większości premierowych) wydarzeń, w których uczestniczą tysiące osób i na które wstęp jest całkowicie bezpłatny, bo projekt Wschód Kultury od początku objęty jest programem Kultura Dostępna. Dla wielu białostoczan to często jedyna okazja, by za darmo obejrzeć znany spektakl lub film, wziąć udział w koncercie gwiazdy czy obejrzeć pokaz mody. O tym, gdzie akurat odbywają się warte uwagi festiwalowe wydarzenia, zawsze informują soczyście zielone zagle reklamowe – bo zieleń to oficjalny kolor festiwalu.

Przez pięć lat festiwal gościł wielu znakomitych artystów, którzy przyjechali do Białegostoku nie tylko z krajów Partnerstwa Wschodniego (Gruzji, Armenii, Mołdawii, Azerbejdżanu, Białorusi i Ukrainy), ale także m.in. ze Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Bry-





## Kuchnia ormiańska według Diany Volokhovej

Inny Wymiar Mody



© PIOTR CIEREBIEJ



© NATALIA KALINA

tanii, Iranu, Francji, Jemenu, Izraela, Słowenii, Litwy, Rosji, Syrii i Polski. Nic dziwnego, że festiwal przyciąga już nie tylko białostoczan i mieszkańców regionu, ale także wiele osób, które specjalnie przybywają w tym czasie na Podlasie, by nie przegapić najciekawszych festiwalowych wydarzeń. Małgorzata Pawełek przyjeżdża na festiwal z pobliskiego Bielska Podlaskiego. Wybiera głównie koncerty, pokazy filmów i wystawy. – *Namawiam przyjaciół, wsiadamy w jeden samochód i jesteśmy w Białymstoku. Skrzykujemy się na takie wyjazdy tylko wtedy, gdy naprawdę warto przyjechać* – mówi.

Od początku bardzo mocna jest strona muzyczna festiwalu. W Białymstoku do tej pory wystąpili m.in. Troitsa, Alina Orlova, Asian Dub Foundation, Neozbiljni Pesimisti, Milo Kurtis i Orkiestra Naxos, Amsterdam Klezmer Band, Nino Katamadze, Klezmafour, Rzeszów Klezmer Band, Kapela ze Wsi Warszawa, Dagadana, Wojciech Majewski, Ola Bilińska, A-WA, Warsaw Afrobeat Orchestra, The Ufoslavians, Trio Mandili, The Oligarkh, T'ien Lai, Hycz Orkiestra, Justyna Steczkowska, Enej, Marika, Ewa Szlachcic, Bednarek, T.Love, Krambabula, Bożyczy, Dobryna i wielu lokalnych artystów. Na festiwalu pojawiają się także przedstawiciele sceny elektronicznej z krajów Partnerstwa Wschodniego i wschodniej Europy w ramach projektu Taste The East.

– *W festiwalu mam przyjemność uczestniczyć od samego początku. Obserwuję jego rozwój. Z obiecującej inicjatywy wyrósł na imprezę, wobec której można mieć już konkretne oczekiwania i – co ważne – nie zawieść się. Jako organizator wielokrotnie odczułem, że niezwykle trudno jest tworzyć tak interdyscyplinarne wydarzenia kulturalne dla tak szerokiej publiczności, a jako artysta i odbiorca zauważam, jak dużą satysfakcję i radość publiczność czerpie ze Wschodu Kultury. Nic dziwnego, że impreza wpisała się na stałe w kalendarz wydarzeń kulturalnych na wschodzie Polski. Jest to jedna z niewielu okazji, by skorzystać z tak wielu różnych propozycji, m.in. koncertów muzyki elektronicznej w ramach Taste The East* – mówi Jędrzej Dondziło z Pogotowia Kulturalno-Społecznego, który realizuje projekt.

Podczas projekcji archiwalnych arcydzieł kinematografii – w ramach Innego Wymiaru Filmu – w Białymstoku grały na żywo same sławy. Do „Barw granatu” Siergieja Paradżanowa grał Juno Reactor (twórca m.in. muzyki do „Matrixa”), do filmu „Chemi Bebia” (reż. Kote Mikaberidze) – Funki Porcini (legenda brytyjskiej wytwórni Ninja Tune), do filmu „Benya Krik” według scenariusza Izaaka Babla – krakowski zespół Kroke, a do „Ludzi bez jutra” – świetni polscy instrumentalniści: Paweł Szamburski, Patryk Zakrocki i Sebastian Wypych.

W tym roku do ormiańskiego filmu „Zare” zagrał ormiańsko-amerykański artysta Bei Ru, autor muzyki do znanego irańskiego horroru „O dziewczynie, która wraca nocą sama do domu”. Z kolei swoje filmy dokumentalne na specjalnych pokazach prezentowali twórcy z Ukrainy (Oleg Chorny) i Białorusi (Volha Dashuk, Viktor Ashluk).

W Białymstoku można było zobaczyć premierowe wystawy i spotkać się z takimi artystami, jak Nikita Kadan, Ciprian Muresan, Sergey Shabohin, Alevtina Kakhidze, Stas Wolyazlovski, Zhanna Kadyrova, Sergey Kiryuschenko, Maxim Tyminko, Alexei Lunev, Andrei Savitsky, Daniil Galkin, Jarosław Koziara czy ukraiński kolektyw Open Group. W przestrzeni miasta powstało też wiele instalacji artystycznych oraz mural kolażowy.

Na Wschód Kultury – Inny Wymiar przyjechały: Teatr Chorea, Polski Teatr Tańca, Mohylewski Obwodowy Teatr Lalek, neTTheatre – Teatr w Sieci Powiązań, Teatr Czrevo i Teatr A3. Wystąpiły też Grupa Coincidentia i Teatr Latarnia, pochodzące z Białegostoku. – *Przez te kilka edycji festiwalu robiłem w przestrzeni miejskiej rzeczy niezwykle i nietuzinkowe. Mogłem wyreżyserować spektakl teatralny „Dzienniki Majdanu” na nieistniejącym już dworcu PKS, spektakl „Władcy” w olbrzymiej, opuszczonej hali tkackiej w Fastach czy elektroniczno-rytualny koncert grupy T’ien Lai na rzece Białej. Wschód Kultury daje przestrzeń do rzeczy nowych... W swoich realizacjach udało mi się dotknąć istoty białostockiego festiwalu, która zawiera się w nazwie Inny Wymiar – mówi Mateusz Tymura z Fundacji „Teatr Latarnia”.*

W ramach festiwalu odbyło się czytanie dramatu „Noc wilków”, podczas którego muzykę na żywo wykonywały zespoły Karbido i Zero-85. Odbył się także pokaz performatywny inspirowany dramatem „Tlen” Iwana Wyrupajewa. W Auli Magna Pałacu Branickich można było zobaczyć operę marionetkową „Kantata o kawie” J. S. Bacha, w centrum miasta – głośny spektakl „Antyhona”, do którego scenografię zaprojektował wybitny artysta Leon Tarasewicz, a na Rynku Kościuszki – widowisko muzyczno-taneczno-teatralne „The Fairy Queen” H. Purcella. Melomani wzięli udział w koncertach oratoryjnych „Izrael w Egipcie” i „Różne języki – jedna muzyka” oraz w tegorocznym, niezwykle efektownym przedsięwzięciu Muzyka w Ogrodach Branickiego (z dziełami G. F. Hendla „Muzyka na wodzie” i „Muzyka sztucznych ognii”), zakończonym pokazem fajerwerków.

Tym, co od początku odróżniało białostocki festiwal od lubelskiego i rzeszowskiego, jest... moda. Wschód Kultury – Inny Wymiar to niepowtarzalna okazja, by zobaczyć autorskie projekty młodych artystów z Ukrainy i Polski, a także dowiedzieć się, w jakim kierunku rozwija się design naszych wschodnich sąsiadów. Swoje kolekcje pokazywali tu m.in. Galib Gassanoff z Gruzji, Anastasiya Miranovich z Białorusi, Mykytyuk & Yatsentyuk, Vladislav Osipov i Sergey Cherkas z Ukrainy, a także lokalni projektanci. Swoją premierę miała też oryginalna pozycja „Na wschód od Paryża i Warszawy był modny Białystok”. To szczególne wydawnictwo, z którego można się dowiedzieć, jak ubierali się nasi przodkowie, gdzie wypoczywali i jakiego rodzaju rekreacje preferowali, wreszcie – w jakich lokalach się bawili, chcąc uchodzić za modnych.

Jako że gusta te kształtowały się nie tylko lokalnie, książka ukazuje również związki łączące Białystok ze światowymi stolicami mody.

Mimo znanych nazwisk i dużych wydarzeń festiwal Wschód Kultury – Inny Wymiar stara się też zachować swoje pierwotne, nieco niszowe oblicze, czego dowodem jest choćby Inny Wymiar Społeczności, przybliżający białostoczanom narodowości, które dawniej współtworzyły społeczną tkankę miasta. Każdego roku ogromnym zainteresowaniem cieszy się spacer edukacyjny „Znikające miejsca i ludzie”, odkrywający zapomniane miejskie obszary i ważne niegdyś postaci. Dwukrotnie organizowano questingi śladami dawnych mieszkańców (mniejszości żydowskiej i niemieckiej). Odbywały się wykłady, debaty i dyskusje, miejskie potańcówki, promocje albumów (w tym roku wydawnictwa „Białystok w migawce fotograficznej” ze zdjęciami z lat 1928–1939) i książek, a także warsztaty i artystyczne działania rodzinne. Artyści z Polski i Ukrainy zajmujący się field recordingiem i innymi technikami z pogranicza sound artu w ramach projektu Listen to The East wspólnie z osobami zaproszonymi do udziału w spacerach dźwiękowych odkrywali nieznane do tej pory akustyczne oblicze miasta. Białostoczanie mogli też uczestniczyć w cieszących się ogromnym powodzeniem prezentacjach i warsztatach kulinarnych; kuchnię ukraińską przybliżała Aniela Redelbach, tatarską – Dżenneta Bogdanowicz, molekularną – Robert Harna, zaś ormiańską – Diana Volokhova, finalistka drugiej edycji polskiego „Master Chefa”.

Co ważne, festiwal wychodzi poza Białystok. Historię podlaskich Tatarów można było poznać podczas specjalnego wyjazdu do Mużułmańskiej Gminy Wyznaniowej w Bohonikach. W Supraślu odbywały się koncerty oraz spektakle Teatru Wierszalin, a w Krynkach swój projekt „Beth Ha Kneseth. Wielka Synagoga. Reanimacja” zrealizował Mirosław Bałka. Z kolei w Wielkiej Synagodze w Tykocinie w ramach festiwalu wystąpił Baruch Finkelstein, koncert muzyki chasydzkiej zagrali Alan Bern, Paweł Szamburski i Ksawery Wójciński, „Noc Nigunów” zaprezentowali Vocal Varshe i Adeb Chamoun. Odbył się tam także pokaz „Dybuka”, pierwszego filmu nakręconego całkowicie w języku jidysz.

W tym roku podczas czterech festiwalowych dni odbyło się ponad 40 wydarzeń (niektóre dwukrotnie), w tym m.in. 22 koncerty, pięć spektakli, cztery pokazy mody i cztery wystawy. Wschód Kultury – Inny Wymiar honorowym patronatem objęła Ambasada Republiki Armenii, a do Białegostoku specjalnie przyjechał ambasador Republiki Armenii w Polsce Edgar Ghazaryan, by wraz z prezydentem Rafałem Rudnickim i dyrektorem Białostockiego Ośrodka Kultury Grażyną Dworakowską otworzyć uroczyste festiwal, a przy okazji wystawę „Historie z podróży” ormiańskiego fotografa Davita Hakobyana.

Białostocki festiwal tradycyjnie zakończył tegoroczną edycję Wschodu Kultury. Jak co roku projekt rozpoczął się w Rzeszowie wraz z nastaniem wakacji, by w czasie letniej kanikuły przenieść się do Lublina, a początek roku szkolnego – w bardzo kulturalnej atmosferze – spędzić na Podlasiu.

Katarzyna Połec

# Konkurs na okładkę magazynu „Teraz Polska” rozstrzygnięty

Stanisław Gajewski wygrywa piąty konkurs na okładkę magazynu „Teraz Polska”. Nagrodę specjalną jury otrzymuje Magdalena Grodzka.



Praca Stanisława Gajewskiego



Praca Magdaleny Grodzkiej

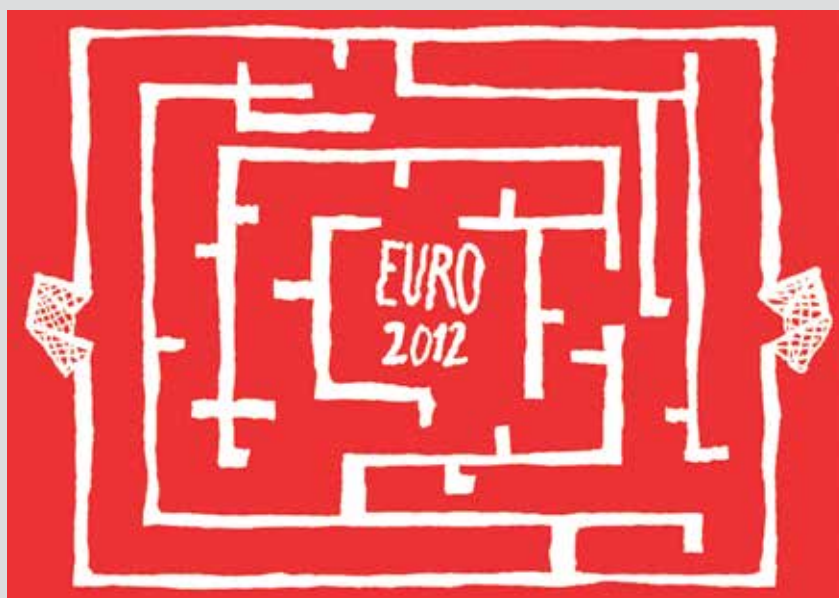
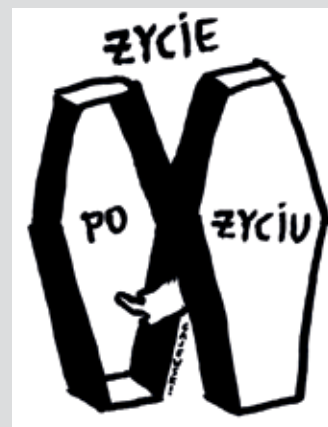
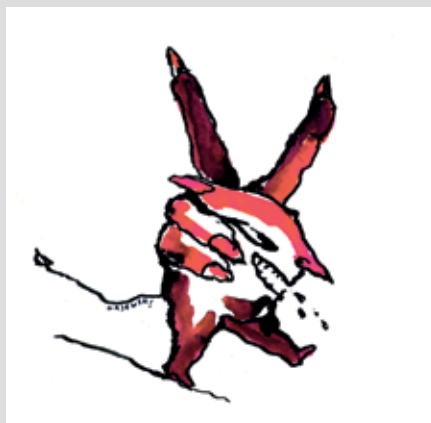
Okładka magazynu „Teraz Polska” jest swoistą formą galerii, miejscem prezentacji wypowiedzi polskich twórców na temat patriotyzmu i polskości, ale bez patosu i zbędnych uniesień. Okładkę pierwszego numeru magazynu przygotował Jan Sawka – była to ostatnia praca artysty przed śmiercią w 2012 r. Następne okładki przygotowali: Andrzej Pągowski, Waldemar Świerzy, Ryszard Kajzer, Henryk Chyliński, Rafał Olbiński, Małgorzata Lazarek, Ryszard Horowitz, Natalia Olbińska, Piotr Młodożeniec, Tomasz Opasiński, Rostaw Szaybo, Józef Wilkoń, Michał Batory, Edward Dwurnik, Chris Niedenthal oraz Lubomir Tomaszewski. Wraz z rozwojem pisma redakcja postanowiła udostępnić miejsce na okładce także młodym twórcom z wyższych szkół artystycznych. W ten sposób narodził się pomysł na konkurs, w którym nagrodą jest publikacja pracy i promocja młodych artystów na równi z najlepszymi!

Do tegorocznej, piątej edycji zgłoszono 68 prac z całego kraju. Oceniało je jury w składzie: Ryszard Kajzer – grafik, plakacista, wykładowca warszawskiej ASP, założyciel Zerkaj Studio; Wojciech Palczewski – projektant, grafik, założyciel agencji Tamburyn; Krzysztof Przybył – redaktor naczelny magazynu „Teraz Polska” i prezes zarządu Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego.



## Stanisław Gajewski

Absolwent Wydziału Grafiki Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, aktualnie w trakcie studiów doktoranckich na macierzystym wydziale. Mieszka i pracuje w Warszawie, specjalizuje się w ilustracji, rysunku prasowym i plakacie. Zajmuje się rysunkiem satyrycznym, a także prowadzi warsztaty z ilustracji i plakatu. Związany zawodowo z warszawską ASP. Autor artykułów naukowych poświęconych tematyce plakatu i rysunku satyrycznego. Uczestniczył w ponad stu wystawach krajowych i zagranicznych, zbiorowych i indywidualnych. Jego prace znajdują się w zbiorach publicznych i w prywatnych kolekcjach w Polsce, Anglii, Irlandii, Niemczech, Rosji, Ukrainie, Estonii oraz Chinach. Laureat nagród w konkursach międzynarodowych i krajowych (m.in. Złoty Medal w Międzynarodowym Konkursie Satyrykon 2017), stypendysta prezydenta RP oraz ministra kultury i dziedzictwa narodowego, członek współzałożyciel Polskiego Oddziału Międzynarodowego Stowarzyszenia Artystów Satyryków FECO Poland.



## Magdalena Grodzka

Ma 22 lata, pochodzi z Rudy Śląskiej. Jest absolwentką Liceum Plastycznego w Zabrze. Studiuje na drugim roku na Wydziale Grafiki Akademii Sztuk Pięknych im. Jana Matejki w Krakowie. Interesuje się ilustracją, malarstwem, grafiką warsztatową oraz fotografią. Bardzo lubi poruszać tematy, które ją ciekawiły, gdy była dzieckiem. Dzięki temu czerpie radość z tworzenia ilustracji do książek dla najmłodszych. Chętnie wraca do tematu swojej tożsamości, której nadal poszukuje jako młoda twórczyni. W wolnych chwilach poświęca się pracy nad kolażami i szkicami. Choć w jej pracach świat jest raczej kolorowy, lubi zagłębiać się w ponurą treść porywających powieści kryminalnych i teksty dziennikarzy śledczych.





Adam  
Szejnfeld

Posel do Parlamentu  
Europejskiego  
[www.szejnfeld.pl](http://www.szejnfeld.pl)

## Nie od razu Kraków zbudowano

*Boże, daj mi cierpliwość, bym pogodził się z tym, czego zmienić nie jestem w stanie. Daj mi siłę, bym zmieniał to, co zmienić mogę. I daj mi mądrość, bym odróżnił jedno od drugiego.*

Marek Aureliusz

**W**iele jest w historii przykładów powstania, rozkwitu i w końcu upadku międzynarodowych organizacji, kultur czy państw. Choćby Polska. Przeżywała wzloty, ale też zniknęła z mapy na 300 lat. Nie istniała przez 182 lata (w okresie rozbicia dzielnicowego, od 1138 r. aż do koronacji Władysława Łokietka w 1320 r.), a następnie przez 123 lata – od III rozbioru w 1795 r. aż do odzyskania niepodległości po I wojnie światowej w 1918 r. Trzysta lat... Czy teraz, kiedy narzekamy na sprawy dotyczące naszego kraju, Europy czy świata, myślimy o tym, że Polska mogłaby nie istnieć przez 300 lat?! Albo o okropnym, z naszego punktu widzenia, średniowieczu, które trwało przecież w Europie ponad tysiąc lat? Rozpoczęło się wraz z upadkiem cesarstwa zachodniorzymskiego, a zakończyło wraz z nadejściem epoki renesansu. Czy dzisiaj umiemy sobie wyobrazić, że jakaś sytuacja, którą negatywnie oceniamy, mogłaby trwać 50, 100 czy 1000 lat? Nie? A przecież w historii to norma, standard.

Patrzmy na rzeczywistość przez pryzmat własnego życia. Chcemy funkcjonować w czasach rozwoju, dobrobytu, spokoju i bezpieczeństwa. Uważamy, że wszelkie trudne dla nas chwile powinny się zakończyć w mgnieniu oka. Nasza świadomość w podobny sposób układa wspomnienia. Pamiętamy zwykle tylko przyjemne sytuacje z przeszłości, zapominając o bolesnych. Wybiela my zresztą w umyśle nie tylko naszą przeszłość,

ale i teraźniejszość. Dlatego oczekujemy, że nasze żądania i plany ziszczą się natychmiast, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Zapominamy, że podobne oczekiwania w przeszłości spełniały się przez dziesięciolecia, inne przez wieki, nigdy zaś w ciągu dni, miesięcy czy lat.

Nasze prywatne punkty odniesienia każą nam z podobną niecierpliwością patrzeć w stronę Unii Europejskiej, która w tym roku obchodzi 60. urodziny. Co chwila słysząc głosy, że nadal Wspólnota nie jest doskonała i nadal nie potrafi sobie poradzić z wieloma problemami. Ba, że z tych powodów należałoby ją być może zlikwidować, skoro nie spełnia naszych oczekiwań... A przecież za nami nie aż 60, lecz tylko 60 lat budowania zjednoczonej Europy. Mało kto też pamięta, że dzięki tejże „niedoskonałej” Unii zapewniliśmy sobie pokój i wzrost gospodarczy, a społeczne i kulturowe procesy integracyjne potwierdziły tylko wagę europejskich wartości otwartego społeczeństwa, demokracji, tolerancji, praw człowieka i różnorodności. Musimy sobie uświadomić, że nie ma szybkiego sposobu na zbudowanie Unii naszych marzeń. Nowa Wspólnota musi ukształtować się w starciu różnych wartości, idei i celów, a na to potrzeba czasu. Takiego mierzonego w pokoleniach, a nie w latach. Jeśli będziemy tego świadomi i będziemy działali mądrze, to poradziemy sobie i z problemami w Polsce, i z kłopotami w Unii. Cierpliwości więc miłośnikom Unii życzę, wszak nie od razu Kraków zbudowano!



Marcin  
Rosołowski

*Rada Fundacji  
Instytut Staszica*

## Kurs na ścianę

**M**am wrażenie, że dyskusja nad projektami ważnymi społecznie toczy się torami akademickimi. Tak, jakby chodziło o rozważania nad modelami określonych rozwiązań prawnych w jakiejś teoretycznie istniejącej rzeczywistości, a nie w państwie, które istnieje tu i teraz. Klótnia o zakaz handlu w niedzielę jest tego najlepszym przykładem.

Uważam, że istnieje tyle samo argumentów za zakazem handlu w niedzielę, co i za odrzuceniem tego pomysłu. Natomiast obecna dyskusja w dużej mierze skupia się na emocjach, a nie na merytorycznych argumentach. Owszem, prawdą jest, że często pracownicy nie mają wyjścia i muszą podporządkować się żądaniu pracodawcy. Ten zaś musi dbać o to, by obsługa pojawiła się za ladą w teoretycznie wolny dzień. Ale tak samo jest prawdą, że – zwłaszcza w mniejszych miejscowościach – jest wielu chętnych, by w niedzielę dorobić sobie do skromnych zarobków. Szczególnie

zapobiegnie zmuszaniu do zrzekania się dnia wolnego. Niestety, jak to coraz częściej w polskiej rzeczywistości bywa, propozycje kompromisowe nie przebijają się przez emocjonalny krzyk.

Pamiętają Państwo sprawę podatku handlowego? Od początku eksperci alarmowali, że preferowanie sklepów o mniejszej powierzchni musi spotkać się z zablokowaniem pomysłu przez Brukselę. I tak też się stało. Jeżeli zakaz niedzielnego handlu będzie inspirowany taką samą koncepcją, to również należy się spodziewać, że Komisja Europejska da czerwone światło. Nie dlatego, że nie kocha polskiego rządu, ale dlatego, że podobne próby w innych krajach UE spotykały się ze stanowczą reakcją. Poza tym, jeśli już mamy dbać o wolną niedzielę, to dlaczego z tego dobrodziejstwa korzystają mają jedynie pracownicy sieci handlowych?

Różnicowanie zakazu ze względu na wielkość sklepu czy jego formę działania to droga donikąd. Musi zakończyć się spektakularną

Różnicowanie zakazu handlu w niedzielę  
ze względu na wielkość sklepu  
czy jego formę działania to droga donikąd.  
Musi zakończyć się spektakularną klapą.

że można zarobić więcej, wszak mamy dziś do czynienia z rynkiem pracownika.

Na pewno interesującym pomysłem jest modyfikacja Kodeksu pracy, która pozwoli na podejmowanie pracy w niedzielę i zagwarantuje wyższe wynagrodzenie, a jednocześnie

klapą. Chyba że chodzi o to, by puścić oko do zwolenników niedzielnego handlu, a przeciwnikom powiedzieć: chcieliśmy, ale wiecie, kto w tej Brukseli siedzi... Ani zwolennicy, ani przeciwnicy nie są aż tak naiwni, by wziąć podobne zapewnienia za dobrą monetę.



© FORUM-EKONOMICZNE.PL



## 7 września

W Krynicy zakończyło się XXVII Forum Ekonomiczne. W tym roku odbywało się pod hasłem „Projekt Europa. Jaki przepis na następne dekady?”. Człowiekiem Roku została premier Beata Szydło, a Firmą Roku – Alior Bank SA. Nagrodę specjalną otrzymał prezydent Gruzji Giorgi Margwelaszwili.

© SPALA.PL



## 17 września

W Spałę zakończyły się Dożynki Prezydenckie pod patronatem Andrzeja Dudy. Dożynki zostały zorganizowane po raz pierwszy w 1927 r. przez prezydenta Ignacego Mościckiego, zaś wznowione w 2000 r. przez Aleksandra Kwaśniewskiego. Wydarzenie jest okazją do przedstawienia dziedzictwa kultury regionalnej. Bierze w nim udział wiele firm, w tym laureaci Konkursu „Teraz Polska”.

© POLAGRA FOOD



## 25 września

W Poznaniu rozpoczęły się coroczne targi Polagra Food, podczas których można było zapoznać się z ofertą ponad 200 wystawców, w tym wielu laureatów Godła „Teraz Polska”. Ekspozycję zdominowała polska branża mleczarska i przetwórstwa mięsnego. Badania Ministerstwa Rolnictwa i Rozwoju Wsi potwierdzają prymat znaku „Teraz Polska” wśród promotorów polskiej żywności.

© KAMIL BROSZKO.BROSZKO.COM



## 28 września

Podczas Wschodniego Kongresu Gospodarczego w Białymstoku Fundacja „Teraz Polska” przyznała tytuł Promotora Polskiej Gospodarki. Wyróżniono laureatów Godła „Teraz Polska”: ChM Sp. z o.o., Spółdzielnię Mleczarską Mlekovita oraz firmę Suempol Sp. z o.o., a także startup MAD Bicycles. Tytułem Promotora Polski uhonorowano Grażynę Dworakowską (dyrektorkę Białostockiego Ośrodka Kultury), Witolda Karczewskiego (prezesa Izby Przemysłowo-Handlowej w Białymstoku), Krzysztofa Pruszyńskiego (twórcę marki Blachy Pruszyński) oraz Andrzeja Szumowskiego (prezesa Stowarzyszenia Polska Wódka).

© JACEK GULCZYŃSKI/ARTSCINEMA



## 5 października

W Ambasadzie RP w Paryżu odbyła się uroczysta gala IV edycji Konkursu „Wybitny Polak we Francji”. Laureatami zostali: Michał Batory (w kategorii Kultura), Bożena Bertaud (w kategorii Osobowość), Alicja Stańska (w kategorii Młody Polak). Wyróżnienia w kategorii Młody Polak otrzymali Dariia Day i Marcin Kokowski. Nagrodę specjalną ambasadora RP we Francji otrzymał Casimir Pierre Zaleski.

## 10 października



© KAMIL BROSZKO/BROSZKO.COM

Na stadionie PGE Narodowym w Warszawie odbyło się spotkanie Klubu „Teraz Polska”, podczas którego ogłoszono rozpoczęcie XXVIII edycji Konkursu „Teraz Polska”. Zgłoszenia produktów i usług, gmin oraz przedsięwzięć innowacyjnych będą przyjmowane do 22 stycznia 2018 r. Gala finałowa odbędzie się 18 czerwca 2018 r. w Teatrze Wielkim w Warszawie. W tym roku prawo do posługiwania się Godłem „Teraz Polska” odnowiło blisko 80 firm, m.in. Fakro, Blachy Pruszyński, Spółdzielnia Mleczarska Lazurowa, Bolix, Zakłady Mięsne Henryk Kania, Mlekovita, sieć kin Helios, a także linie produktów Pikok i Pilos. Przedsiębiorcy doceniają Godło „Teraz Polska” jako potwierdzenie najwyższej jakości oferowanych produktów i usług. Ubiegają się o nie ze względu na wysoki prestiż, rozpoznawalność oraz zaufanie, jakim obdarzają je konsumenci.

## 6 listopada



© SEJM RP

W Sejmie RP odbyła się ogólnopolska konferencja „Zrównoważony rozwój społeczno-gospodarczy jednostek samorządu terytorialnego”, zorganizowana przez Fundację Polskiego Godła Promocyjnego, Politechnikę Warszawską oraz Komisję Samorządu Terytorialnego i Polityki Regionalnej Sejmu RP. Podczas konferencji wręczono statuetki samorządom – laureatom Rankingu Zrównoważonego Rozwoju (opracowanego pod kierunkiem prof. Eugeniusza Sobczaka). W tym roku zwyciężyły samorządy: m.st. Warszawy, Karpacz, Polkowice i Kleszczowa.

## 12 listopada



© KONSULAT RP W DUBLINIE

W Konsulacie RP w Dublinie odbyły się uroczystości z okazji Święta Niepodległości, podczas których wręczono nagrody w Konkursie „Wybitny Polak w Irlandii”. Laureatami zostali: Marcin Kulik (w kategorii Biznes), Małgorzata Dulny (w kategorii Kultura), Adrian Szejka (w kategorii Młody Polak) i Ewa Ikwany (w kategorii Osobowość). Wyróżnienia trafiły do rąk Sylwii Gołębiewskiej-Jakubas, Katarzyny Kowalskiej i Anety Kubas.

## 17 listopada



© KUBA KILIAN/KETTIP.PL

W Rzeszowie zakończył się Kongres 590, objęty honorowym patronatem prezydenta RP Andrzeja Dudy. W tym roku odbywał się pod hasłem „Uwalniamy polski potencjał”. Zgromadził przedstawicieli wielkiego i małego biznesu, nauki, polityki oraz administracji publicznej. Podczas kongresu wręczono Nagrodę Gospodarczą Prezydenta RP.



dołącz do nas!

[www.siecmysli.pl](http://www.siecmysli.pl)





Poczta Polska



ZAUFANA  
BLISKA  
BEZPIECZNA

# WYJĄTKOWYCH ŚWIĄT BOŻEGO NARODZENIA ORAZ SZCZĘŚCIA W NADCHODZĄCYM NOWYM ROKU



Znaczki emisji „Boże Narodzenie” dostępne są we wszystkich placówkach pocztowych oraz za pośrednictwem internetowego sklepu filatelistycznego [www.filatelistyka.poczta-polska.pl](http://www.filatelistyka.poczta-polska.pl)  
Zachęcamy do zamówienia abonamentu filatelistycznego na rok 2018

Poczta Polska laureatem konkursu „Teraz Polska”

